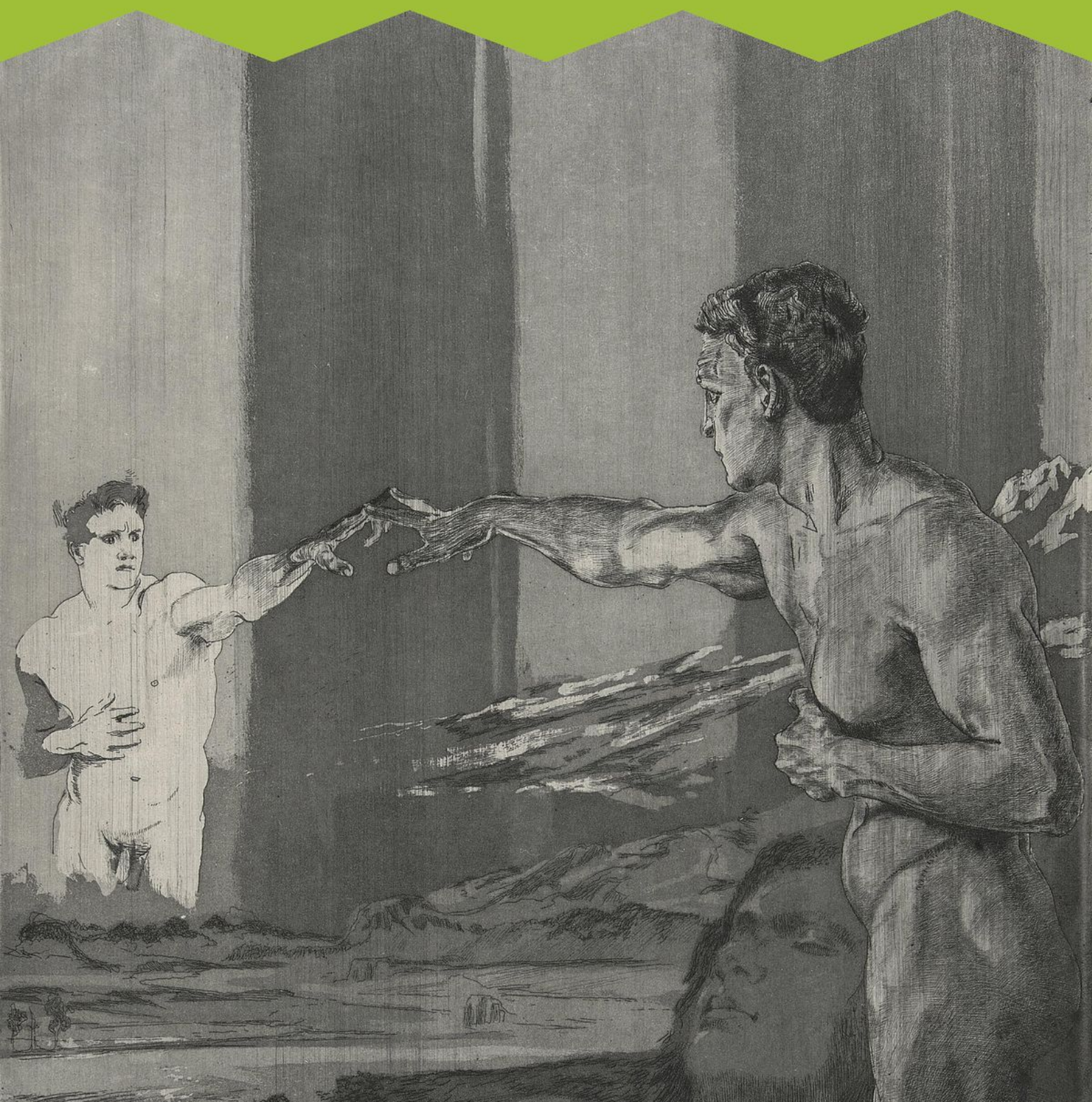


Zwierciadlana zagadka



DEOTYMA

Zwierciadlana zagadka

Dawniej patrzyłam na zwierciadła tak, jak wy wszyscy patrzycie, wzrokiem roztargnionym, obojętnym, bo i czymże ma zaciekać sztuczne odbicie przedmiotów, które możemy widzieć w ich prawdzie i rzeczywistości?

Jeżeli czasem baczniej spoglądałam w lustro, to chyba kiedy chodziło o poprawienie źle wpiętej kokardy lub jakąś dziwną grę światła i perspektywy, która nieraz bawi oko w mieszkaniach, gdzie liczne zwierciadła i wielkie szyby okienne odsyłają sobie wewnątrz komnat jakby przeinaczone, poustawiane pod różnymi kątami.

Ale i takie widowisko zawsze dla oka było tylko zabawką i wzrok, choć badawczy, zawsze pozostawał spokojnym.

Teraz dzieje się inaczej.

Od niejakiego czasu nie mogę spojrzeć w zwierciadło bez wzdrygnięcia się i rodzaju trwogi, której nawet najgorętsza ciekawość niezdolna jest przemóc.

Wśród przygotowań do jakiej uroczystości lub zabawy, kiedy ceremoniał stroju przymusza mię¹ do dłuższego siedzenia przed gotownią, o ile tylko mogę, trzymam oczy spuszczone, ażeby przypadkiem nie spojrzeć i nie zobaczyć...

Wprawdzie nic jeszcze nie widziałam nadzwyczajnego, nadludzkiego, ale wiem, że może... mogłabym zobaczyć i wy byście mogli...

A niech mi wypadnie wieczorem iść ze świecą naprzeciw zwierciadlanej tafli, o! wtedy naprawdę serce mi bije jak dziecku w ciemnym pokoju.

No, to jeszcze można by położyć na karb damskich nerwów, ale — powiadam wam — i w biały dzień, w najweselsze południe, ile razy przechodzę koło zwierciadła, to z takim wzruszeniem, z jakim przechodzimy koło zamkniętych drzwi domu, w którym właśnie zaszedł jakiś tragiczny lub osobliwszy wypadek. Drzwi zamknięte; przechodzień na progu ich nic nie widzi, ale wie, że się za nimi coś dziwnego dzieje, i mówi sobie: A gdyby się też otworzyły?

O mój Boże! Gdyby się wszystkie te kryształowe drzwi pootwierały, cóż byśmy nie zobaczyli?

A całej tej biedy, tej gorączkowej ciekawości, tych postrachów, których się wstydzę, narobił mi pewien list na szerokim bibulastym papierze, pisany drżącą ręką, przypieczutowany kołdowym opłatkiem, który przed rokiem pocztą miejską mię² doszedł.

Każda osoba uchodząca za majątną, jeżeli jeszcze mieszka na jednej z pokąźniejszych ulic, odbiera niezawodnie raz albo i kilka razy na tydzień listy, tak zwane „z prośbami”.

Nie chcę ja źle mówić o miejskiej poczcie, która z wielu względów jest użytecznym wynalazkiem, jednak muszę przyznać, że ma jedną stronę nieznosną: zmusza nas do przyjmowania wszystkiego, cokolwiek nam z łaski swojej narzuci.

Dawniej, kiedy list przyniesiono i nie chciano powiedzieć, od kogo pochodzi, łatwo było pozbyć się natręta prostą odpowiedzią, że „od nieznajomych nie przyjmuje się listów.”

Dziś, kiedy koperta spada jak z obłoków, opatrzona marką³, tym znaczkiem czaro-dziejskim, co wszystkie drogi jej otwiera, kiedy spada z rąk urzędowego roznosiciela, co jak Przeznaczenie jest istotą nic niewiedzącą i za nic nieodpowiedzialną. Cóż robić? Kogo się pytać? Komu zwrócić tajemniczą przesyłkę? Trzeba wszystko przyjmować i każde

List

¹mię — dziś popr. forma: mnie. [przypis edytorski]

²mię doszedł — dziś: do mnie doszedł; przyszedł do mnie. [przypis edytorski]

³marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

pismo otworzyć na wszelki wypadek, bo trudno z samego zewnątrz odgadnąć, czy nie należy do rzędu listów potrzebnych?

A co się też to niepotrzebnych naotwiera! Ja nie mówię o wytworach złośliwości ludzkiej, o tych zjadliwych anonimach, co spoza warowni pocztowej strzelają sobie wygodnie na spokojnych przechodniów, o tych nie chcę mówić, bo dzięki Bogu w naszym społeczeństwie ta *vendetta*, jak i wszelkie inne, niełatwo się przyjmuje, ale samych owych pokornych, potulnych listów z prośbami co za foliały gromadzą się bezużytecznie!

Najczęściej bezużytecznie, bo jeżeli na podpisie zobaczymy nazwisko nieznane, a na wstępie sakramentalne wyrazy: „Szlachetna osobo!” albo: „Znane echo wspaniałomyślności czuwającej nad cierpiącą ludzkością...”, odkładamy list na bok, nie czytając dalej, a nie chcemy czytać nie z żadnej pogardy, ani też z jakiejś zatwardziałości serca, ale z obawy, aby litość nie wciągnęła nas w przedsięwzięcia przechodzące rozsądek i zasoby; każdy ma tyle nędzy do ratowania wokoło siebie, tyle koniecznych podatków rodzinnych, towarzyskich lub społecznych, że gdyby chciał słuchać wszystkich głosów, co się do niego wznoszą, ach! i Krezusowym bogactwem nie obdzieliłby rzeszy, musiałby nieraz poświęcić bliskich dla dalekich, ująć obowiązkom dla zbytku, bo i w miłosierdziu bywają wysoki zakrawające na zbytek, rozkosze nadetatowe, których tylko najszczęśliwsi mogą sobie pozwalać.

Kto nie posiada Golkondy⁴, ten musi nieraz bronić się od współczucia jakby od pokusy, więc już woli i nie czytać i nie słuchać, kiedy wie naprzód, że nie może wysłuchać.

Jednak i między tymi stosami papierów, bez namysłu przeznaczonych na niepamięć, trafi się czasem karta, która od pierwszych wyrazów chwyta za serce taką rozdzierającą prawdą albo wśród chwastów prośbowego stylu odsłania takie wspaniałe ruiny wielkiej duszy, że choć obojętnym nazwiskiem podpisana, przyciąga jakby dawna znajomość; nie możemy tej kartki puścić z ręki, póki jej nie doczytamy do końca, a doczytawszy, mówimy z westchnieniem: Ileż musiał cierpieć człowiek, co tak pisze, ileż musiał z sobą walczyć, nim się odważył to napisać i wysłać!

Takim był ów list, który przed rokiem odebrałam. Zamiast w długich omówieniach dawać o nim niedokładne pojęcie, wolę go dosłownie wypisać:

Szanowna Pani!

„Wiele jest rzeczy w niebie i na ziemi, o których mędrcom nawet się nie śniło.”

Tak powiedział jeden z największych mędrców, i to jest jedną z największych prawd, jakie wypowiedział.

Co dzień widzimy, że dzisiaj się spełnia to, o czym wczoraj wątpiono, o czym onegdaj nikomu się nie śniło.

A jednak ludzie zawsze wątpią!

Zadziwi, może i zrazi Panią tak niezwykle zaczęcie listu. Ale bo też i moje życie niezwykle... Ja jestem chodzącym przykładem i naocznym świadkiem owych rzeczy, o których dzisiejszym uczonym się nie śni... Widziałem zjawiska niepojęte, straszne, zachwycające, nie powiem „nadprzyrodzone”, bo wszystko, co istnieje, podchodzi pod prawa przyrody, ale które wydają się takimi, dopóki rozum nie przeniknie ich przyczyn. Otóż właśnie, ująć te zjawiska w karby nauk ścisłych, spożytkować je dla społeczeństwa, to jedyne i ostatnie marzenie mojej duszy, zresztą na wszystko zamarłej.

Jestem na drodze wielkiego wynalazku, co wywoła nieobrachowane skutki i następstwa, nie tylko w zakresie nauk przyrodzonych, zwłaszcza optyki i astronomii, ale i w innych gałęziach wiedzy ludzkiej; trudno obliczyć, jakie skarbnice otworzy dla dziejopisów i archeologów, jakie cudowne ułatwienia przyniesie podróżnikom w dokładnym poznaniu globu. I nie dosyć, że wzbogaci umysł ludzki, wpływ jego rozciągnie się i na czynną stronę społeczeństwa, da się uczuć w wewnętrznym życiu rodzin, sprowadzi niejeden przewrót w polityce, może nawet rzuci nowy promień na moralność, metafizykę i psychologię.

⁴*Golkonda* — starożytne miasto w środkowej części Indii, słynne ze swojej szlifierni diamentów; tu przen.: niewyczerpane źródło bogactwa. [przypis edytorski]

Że ten wynalazek jest możebny, za to mogę ręczyć, bo *widziałem go na własne oczy*, ale go widziałem w ręku obcym, zazdrośnym, które go trzymało w ukryciu nieużytecznym dla ludzkości.

Ja bym sobie postąpił inaczej, podzieliłbym się nim z bliźnimi — ale dla wprowadzenia go w rzeczywistość potrzeba środków materialnych, których mi zupełnie brakuje.

Niegdyś byłem bogaty, bardzo bogaty... Dostatki rozeszły się na poszukiwanie owej tajemnicy, a nie powiem, aby poszły na marne, dociekleń wiele, ach! prawie wszystkiego, ale właśnie w epoce, w której ostatnia zasłona już miała opaść, resztki mego mienia okazały się wyczerpane.

O Pani! Twoje serce odczuje całą rozpacz, cały żal człowieka, co w wigilię tak wielkiego, wyczekiwanego święta musi wrócić się od progów świątyni, człowieka, co u kresu tyłu usiłowań, tyłu zwycięstw i rojeń widzi się ubezwładnionym przez nędzny brak środków...

Nędzny, a jednak wszechwładny! Bez pieniężnej pomocy nie potrafię dokonać ostatnich prób, z których wyjdzie w całym blasku owo odkrycie, ważne dla was wszystkich w ogólności, a dla mnie w szczególności jeszcze stokroć ważniejsze, bo w nim tylko znajdę — a przynajmniej mam nadzieję, że znajdę — rozwiązanie strasznych zagadek mego życia.

Tak, życie moje było straszne. Każdą pomyślność, każdą wyjątkową wielkość trzeba na tym świecie okupić wyjątkowymi cierpieniami. I mnie ręka przeznaczenia wtajemniczyła w sfery innym ludziom nie znane, ale mi ten fatalny zaszczyt kazała opłacić nieszczęściami tak okropnymi, że nawet nie śmiem ich opowiadać, bo nikt mi nie wierzy! Ludzie się uśmiechają... Moje dzieje, aż nadto rzeczywiste, biorą za przywidzenia schorzałego umysłu. Niestety! Czemuż tak nie jest? Czemuż ja muszę służyć za żyjący dowód, że nieprawdopodobne może być prawdziwym?

Gdybym jeszcze miał zdrowie i młodość, wziąłbym się energicznie do pracy, połowę życia poświęcił na zbudowanie nowego majątku, a drugą na spełnienie wielkiej myśli. Ale nieszczęścia i zawody stargały moje siły; o ile mogę wnosić z opłakanego stanu mego zdrowia, dni moje są już policzone. Trzeba śpieszyć z pomocą, jeżeli się chce uratować skarb, jakiego jedyną tradycję posiadam. Szkoda byłaby, nie nagrodzona szkoda, gdybym go miał zanieść bezużytecznie do grobu. I to do jakiego? Do wspólnego dołu ubogich!

Pani! Echo wspaniałomyślności, jaka... itd. ośmiela mię... itd...

Tu omijam ustęp czysto osobisty, zawierający kilka słów pochlebnych; trzeba jednak przyznać, że w porównaniu z innymi listami, obecny zawierał ich bardzo mało, i te nawet, które w nim znalazłam, były zestawione niezręcznie, jakby przymusowo; znać człowieka, co jeszcze nie przywykł do *prośby*. Po kilku ziarnkach kadzidła, rzuconych oszczędnie i prawie niechętnie, autor wraca do swego dumnego, zbolanego tonu:

Żebrak

Gdyby — pisze — chodziło tylko o moją osobistą nędzę, nie trudziłbym nikogo jękami, nie kołatałbym do żadnych drzwi, od których słusznie mogę być odesłany do źródeł miłosierdzia publicznego, umyślnie na ten cel przeznaczonych. Złożyłbym głowę pod smutnym dachem którego z zakładów dobroczynnych i tam resztę dni moich przecierpiał w milczeniu.

Ale tu chodzi o naukę! Ona to daje mi odwagę najtrudniejszą ze wszystkich, odwagę żebrania.

Ciężka to ostateczność dla człowieka, co znał dni szczęśliwsze, co zwykł dawać, a nie przyjmować. Ale kto chce dojść do celu, nie może w drogach przebiegać.

W imię więc nauki błagam was o ratunek. Mówię *was*, bo dobrze wiem, że jałmużna z jednej ręki dana nie wystarczy na spełnienie mego przedsięwzięcia. Nie wymagam zatem od Pani tak wygórowanej ofiary, proszę tylko, abyś zechciała tę myśl rzucić i szerzyć w kole Twoich znajomych; wiem, że w tym kole są ludzie uczeni, ludzie miłujący postęp i światło. Upraszam,

abyś im Pani mój los przedstawiła, zezwalam, abyś nawet mój list pokazała. Może wezmą do serca krzyk bóleści i wykonają zbiorowo to, co pojedyn-
czymi siłami nie da się wykonać.

Cokolwiek uczynicie dla mnie, uczynicie dla samych siebie, i mogę śmia-
ło obiecać, że znajdziecie nagrodę nie tylko w innym życiu, ale już tu, w nie-
spodzianym zubożeniu umysłu i nieopisanych rozkoszach dla duszy.

Oczekując na wyrok, co ma rozstrzygnąć ostatnią moją nadzieję na zie-
mi, pozostaję

z głębokim szacunkiem
Cezary S.

ulica Mylna nr 11

Taki list każdego by zastanowił. Już sam nagłówek z Szekspira zadziwił mnie jakby perła na drodze znaleziona. Pomimo nieodzownego „echa wspaniałomyślności” i kilku innych stereotypowych wyrażen, całą swoją treścią, całym — że tak powiem — swoim kamertonem, ów list wyróżniał się między współbraćmi jak Belizariusz⁵ między żebrakami. Nawet z tą dumą było mu jakoś do twarzy. Wprawdzie w podobnych razach дума nie jest ani właściwą, ani zręczną, bo — jak słusznie powiedziano — „pokora niebiosą przebija”, a dumą rzadko się wygrywa, zwłaszcza kiedy się potrzebuje drugich; jednak na ten raz, wyjątkowo, ów królewski styl zdradzał taką wiarę w samego siebie, taką pewność przekonania, taką niezłomną choć zawiedzioną nadzieję, że i w czytelnika powoli wpajał wiarę.

Duma

Nazwisko podpisanego uderzyło mnie także. Przez uszanowanie dla nieszczęścia ozna-
czyłam je tylko pierwszą głoską, ale jest to nazwisko znakomite, nie bez pewnych zasług
w przeszłości, a dziś już takie rzadkie, że aż do odebrania prośby uważałam je za wygasłe.

Widok tego podpisu obudził nawet we mnie jakieś zamglone wspomnienia. Zdaje
mi się, że w dzieciństwie słyszałam o człowieku noszącym podobne imię i nazwisko ja-
ko o świetnym bywalcu światowym, który chwilowo dom otwarty prowadził w naszym
mieście. Kiedy to było? Kto mi mówił o nim? Na te pytania wyraźnej odpowiedzi nie
mogłam znaleźć, pomimo najmożniejszych wysileni pamięci. Wiem tylko, że w opo-
wiadaniach starszych osób nieraz się ta figura przesuwiała, wprawdzie wcale niepodobna
do autora dzisiejszego listu, bo jaśniejsza bogactwem i swobodą, ależ trzydzieści czy więcej
lat czasu to przerwa, po której się i przyjaciele nie zawsze poznają.

Te wrażenia, wspomnieniami poparte, coraz mocniej przyciągały mnie do listu. Jednak,
po kilkakrotnym odczytaniu, zaczęłam się zatrząsać wielkością roszczeń w nim zawar-
tych. Widziałam, że proszący małym datkiem się nie zadowoli, może się nawet i obrazi?
A myśleć o spełnieniu wszystkich jego żądań, byłoby to puszczać się na przedsięwzięcie
równie ogromne jak niepewne, brać na siebie odpowiedzialność za cudzy pomysł, który
może jest czystą mrzonką.

Odłożyłam więc na bok bibulastą ćwiartkę i przez kilka dni usiłowałam o niej zapo-
mnąć.

Ale w tej ćwiartce był wyraźnie zaklęty duch jakiś, który za mną chodził i nie dał mi
spokoju.

Co wezmę książkę do ręki, to między liniami czytam: „Że ten wynalazek jest możebny,
za to ręczę, bo widziałem...”

Co wezmę pióro do ręki, to same mi się piszą słowa: „Jest wiele rzeczy w niebie i na
ziemi...”

A niech się zamyślę, zaraz mi w oczach staje pamięć wszystkich wielkich wynalazców,
nie poznanych, nie ocenionych za życia. Przeciągają przede mną na burzliwym oceanie
dziejów żalosne postacie Watta, Bernarda Palissy⁶, Galileusza i tysiąca innych. Ich ręce

⁵Belizariusz, właśc. *Flavius Belisarius* (ok. 505–565) — wódz bizantyjski z czasów cesarza Justyniana I Wiel-
kiego, dowodził armią bizantyjską, która w 536 r. wyparła Gotów z Italii i samego Rzymu. Według legendy
pod koniec życia miał zostać oślepiiony i zmuszony do życia żebraczego. [przypis edytorski]

⁶Palissy, *Bernard* (ok.1510–ok.1589) — fr. chemik, fizyk i geolog. Wydał rozprawę, w której skamieniałe
muszle, odnajdowane na terenie centralnej Francji, identyfikował jako pozostałości po autentycznych skorupia-
kach, żyjących w czasach prehistorycznych. Został oskarżony o herezję i zmarł w więzieniu. [przypis edytorski]

pełne skarbów, ale jak je utrzymać, kiedy burza miota ich wątlm członkiem? Wołają o pomoc, tłum stoi na brzegu, przygląda się ciekawie walce geniuszu z losem, lecz nikt się ani ruszy. Już łódka niknie... już pęka z łoskotem... rozbitek woła o ratunek, o jedną linę zbawienia, już prąd go porwał, on jeszcze skarbu nie puszcza, w zaciśniętych rękach trzyma go namiętnie, cały już pogrążony, jeszcze ręce podnosi... Aż nadbiegł bałwan czarny, przerażający, uderzył i wszystko schłonał⁷. Tłumy syknęły, zrozumiały, że to już koniec, a jednak jeszcze stoją i czekają. O, nie próżno czekają! Niedługo coś na wodzie błysło... puszczonej z martwej ręki skarb wypływa na wierzch. Skarb wypłynął, ale rozbitek nie wypłynie.

Ciekawość widzów rośnie, skarb coraz bliższy, fala go podnosi i na brzeg wyrzuca. Tłumy cisną się ku niemu, chcą na koniec sprawdzić, czy to skarb rzeczywisty. Bo póki im go z daleka pokazywano, nie chciały wierzyć, mówiły, że to szych i fałsz. O, teraz się poznali! To skarb niezaprzeczony, wartość jego przechodzi nawet oczekiwanie. Rozrywają go sobie, obnoszą w tryumfie, śpiewają hymny na chwałę rozbitka, ale rozbitek już hymnu nie słyszy, doczekał wszystkiego prócz tryumfu. Całe pokolenia będą się wzbogacały i żywiły jego odkryciem, a on skończył w bezdennościach nędzy i opuszczenia. Tysiące przez niego uwierzą w moc geniuszu, a on skończył, wątpiąc o sobie.

Czemu się najczęściej tak dzieje? Czemu nie znajdzie się ani jedna ręka, co by na czas przyniosła pomoc, już jeżeli nie z litości, to z mądrej rachuby, bo przecież ten, co ratuje posiadacza skarbu, zbierze pierwsze korzyści i wdzięczność pokoleń?

„Aha! Trzymam cię za słowo!” — odzywa się głosik podobny do sumienia. — „Poetka dobrodziejka snuje łzawe elegie nad losem geniuszów nie poznanych w przeszłości, rozczuła się w teorii, a kiedy przyjdzie do praktyki, kiedy los ci pozwala podać zaraz, w tej chwili, ową linę zbawienia, to zamykasz oczy i prośbę w kąt rzucasz! Któż ci powiedział, czy ów człowiek z ulicy Mylnej nie jest jednym z owych genialnych rozbitków? I tamte nie inaczej wołały, i tamte nie byłyby zgineły, gdyby nie odkładano z dnia na dzień ratunku, gdyby chciano raz tylko sprawdzić ich nieszczęście.”

Co dzień powtarzane te morały niepomału mię niecierpliwiły. Na próżno odpowiadałam: „Ba! to może tylko przywidzenie szaleńca albo zręczna pułapka na łatwowiernych zastawiona... Dobrze czułam, że głos ma słuszność, jeżeli nie we wszystkim, to przynajmniej wtedy, kiedy twierdzi, że nie można żadnej wątpliwej rzeczy potępiać, dopóki się jej nie sprawdziło.”

Chcąc raz się już pozbyć i Szekspira, i Galileusza, i roztargnień myśli, i nauczek sumienia, zaczęłam szperać w stosie papierów, odnalazłam ów list uprzykrzony, wypisałam z niego dokładny adres i człowieka wielce zaufanego wysłałam na wywiady.

Jak poszedł, tak na pół dnia przepadł. Wieczorem dopiero wrócił zmordowany i rozdrażniony.

— Ach, co ja się też nalatałam! Nie próżno ta ulica nazywa się Mylna. Ani domu znaleźć, ani numeru doczytać. Co ja obszedłem dziedzińców, piętér i pięterek, to i na wołowej skórze by nie spisał. Na koniec znajduję, ale co? Widmo... okropność... Ach, pani, jeżeli ten człowiek jeszcze dwa tygodnie przetrzyma na tym świecie, to powiem, że dokazał sztuki. Od pół roku już prawie samym tylko mlekiem żyje, na inną strawę go nie stać. Bo co też to za nędza, co za trzeszcząca nędza! Mieszka na facjatce, izba odrapaną, wprawdzie dużo tam rupieci, ale to wszystko dwóch złotych nie warte; jakieś stare obraziska poddawane do ściany, pozakrywane łatanymi szmatami, jakaś czarna książka, jakieś w kącie flaszki i banie szklane z wykręcanymi szyjami, wszystko to trochę tak wygląda, jak te mieszkania czarnoksiężników, które przedstawiają na teatrze, ale z rzeczy potrzebnych do życia nic, zgoła nic. Pytałem się, czy ma to albo owo? Wszystko posprzedawał, nawet łóżko; biedak, będzie musiał umierać na słomie. A ledwo śmiałem się o co pytać, taka harda w tym człowieku dusza. Jedną nogą już w grobie, a czoło nosi wysoko, jakby miał jeszcze świat podbić. A mówi jak z książki. Niewiele ja tam zrozumiałem o czym, to jedno wiem na pewno, że jeżeli go kto ma ratować, oj! musi się śpieszyć, bo śmierć z każdego kąta tam wygląda.

Po sprawozdaniu tak żalosnym nic nie pozostawało, tylko śpieszyć z pomocą; wprawdzie odstręczał mię obraz czarnoksięskich przyrządów zakrawających na budę szarlatana,

⁷schłonać — dziś: pochłonać. [przypis edytorski]

ale — mówiłam sobie — wszystko jedno, szarlatan czy nie szarlatan, zawsze to pewne, że z nędzy umiera.

Szczęśliwym trafem tego dnia właśnie spotkałam się z panią Martą, ząną matroną, która całe życie poświęca dziełom dobroczynnym.

Dziś, niestety, już jej między nami nie ma, od kilku miesięcy wyjechała w dalekie strony i nie wiem, czy kiedy wróci; a szkoda, Warszawa jej pożałuje; nie Warszawa myśląca, pizująca lub tańcująca, ale Warszawa cierpiąca; znało ją nie czoło miasta, ale serce miasta, znała ją dobrze ta warstwa towarzystwa cicha, niewidzialnie a skrzętnie zapracowana, która snuje olbrzymią sieć miłosierdzia, ogarniającą wszystkie zbolące członki społeczeństwa. W tym osobnym świecie, którego istnienia wielu się nawet nie domyśla, pani Marta zajmowała wybitne stanowisko, sprawując jednak nie tyle prawodawczą, ile wykonawczą władzę. Bo też to umysł na wskroś praktyczny, nie bawiący się w żadną czułościowość; nie ma w nim ani krzty zapалу. Teorie filantropijne zostawia ludziom książkowym, a sama tymczasem uwija się jak mrówka, bez planu z góry wytkniętego, rachując na Opatrzność, która jakoś jej nigdy nie zawodzi; więc daje z dnia na dzień, wspierając każdą biedę, co jej pod rękę wpadnie, byle zaraz, byle bez odkładek, bo zawsze powtarza: „Dwa razy daje, kto prędko daje.” Ma jeszcze i drugie ulubione wyrażenie, które na swoje kopyto przerobiła ze znanego przysłowia; mawia ona: „Oko dającego tuczy ubogiego”. Według niej nigdy nie trzeba się spuszczać⁸ na nikogo i tylko ta sprawa dobrze pójdzie, gdzie człowiek własną osobą nadłoży. Toteż nie lubi działać przez posłów, a że mimo lat jest rześka i zdrowa, wszędzie sama chodzi, wszystkiego sama się dotknie, co przynajmniej o połowę skraca jej czynności, bo widząc na własne oczy, wie od razu, czego się trzymać, nie da się oszukać ani pozorom nędzy, ani pozorom dostatku.

A co to za rządność w szafowaniu czy swoim, czy cudzym groszem! Nic jej nie porwie za granice rozsądku; daje pod kredką, ażeby jak największą liczbę potrzebujących obdzielić; daje mało, ale za to często, i tą ciągłą pieczę może więcej sprawia uciechy, niżby sprawiła jednorazowym sypnięciem, po którym jeszcze okropniej boli opuszczenie. Toteż nie ma przedmieścia, nie ma zaułka, gdzie by jej odwiedziny nie były wyczekiwane i błogosławione, jak gdyby jakiś wschód słońca.

Pokazałam jej list mego tajemniczego rozbitka z pełną wiarą w jej doświadczenie i bystrość, nie bez obawy jednak, czy pani Marta nie ruszy ramionami i nie wyśmiej szumnych obietnic marzyciela.

Na wielki mój podziw i wielką radość wcale nie ruszyła ramionami, ale porządnie składając na powrót ćwiartkę i wsuwając ją do koperty, powiedziała:

— Tu są dwie rzeczy do zrobienia: najprzód⁹ człowieka ratować od głodowej śmierci, a potem, co do odkrycia, zobaczymy. Kto wie? Może on rzeczywiście co użytecznego wynalazł? W każdym razie trzeba pójść, zobaczyć, a nade wszystko wypytać się bez powątpiewań, bez sztydzenia, tak jakby mu się najzupełniej wierzyło; u człowieka zranionego niepowodzeniem należy i ambicję uszanować, to jałmużna dla duszy.

Nazajutrz więc rano wybrałyśmy się na ulicę Mylną.

Nie wiem, czy ulica Mylna posiada złośliwą własność omylania, czy (jak półżartem twierdziła moja towarzyszą) złe duchy przeszkadzały nam w spełnieniu litościwego uczynku, dość że z godzinę chodziłyśmy od ulicy Karmelickiej do ulicy Przejazd, nie mogąc i nie mogąc wynaleźć owej facjatki. Cośmy się nastały przed domami, napytały po sieniach, co się ludzie naogłądali za nami! Pani Marta, która pomimo ciągłego stosunku z nieszczęśliwymi jest nadzwyczaj wesoła, śmiała się do rozpuku i mówiła mi, że w ciągłych dreptaniach po mieście bardzo często ją ściga podobna przekora; „to, dodała, wyraźnie diabelski figiel, bo tylko uważaj, moja kochana, ile razy człowiek czego szuka, wszystko prędzej znajdzie niż to, czego szuka.”

Że jednak w księgach świętych powiedziano: „Szukajcie a znajdziecie”, więc nie traciłyśmy fantazji i oto z nagle jakieś przeczucie tknęło nas obie razem; zatrzymujemy się przed nędznym dworkiem, który dotąd mijałyśmy z dziwną nieuwagą; tak, dziesięć razy przeszłyśmy pierwaj koło niego, zawsze nam się zdawało, że „to nie może być tu”. A to właśnie było tu. Nawet, wzięwszy szkiełko, doczytałyśmy ów jedenasty numer, mocno

Społecznik

⁸spuszczać się na kogoś (daw.) — polegać na kimś, liczyć na kogoś. [przypis edytorski]

⁹najprzód — dziś popr.: naprzód; najpierw. [przypis edytorski]

zatarty i szyldem przycieniony. Teraz już umiem doskonale opowiedzieć: parkan z bramą i furtką, na dziedzińcu studnia z zieloną gałką, w głębi dworek z jakąś odrębną, niedzisiejszą cechą, przed stu laty mógł być bardzo ładny, ale dziś niepokoi oko tą sypkością, co właściwa jest każdej ruderze; znać, że jeżeli się trzyma, to tylko dzięki różnym podpórkom, jak staruszek o kiju. Jedyne okno pięterka tak jest misternie wprawione w rodzaj Oka Opatrzności, że wydaje się raczej nagłówkiem drzwi wejściowych niż osobną facjatką.

W sieni spotkałyśmy krzątającą się kobietę, szczupłą, zwiędłą, ale z miłym wyrazem twarzy. Pokazało się, że to właścicielka dworku. Pytamy o pana Cezarego, czy tu mieszka?

— A mieszka, na górze. Człowiek nie ma serca go wypędzić, boć to temu biedactwu już niedługo na świecie, a przy tym nie taki on straszny, jak mówią. Z początku nam się bali sąsiedzi, teraz już przywykli.

— Do czego przywykli? — zapytałyśmy z podziwieniem. — Cóż w nim tak straszno?

— A! więc panie jeszcze nie wiedzą! — to mówiąc, gospodyni uśmiechnęła się jakoś dwuznacznie i palec podniosła do czoła. — On tak jest... jakby to powiedzieć... chory na głowę, ale tylko trochę. Jeżeli panie chcecie go wspomóc, nie dawajcie mu dużo na raz, bo tam istne sito, co wrzucić, to i przeleci. Różni państwo już tu bywali, sto razy go zaopatrzyli, no i cóż? Wszystko przemarnował.

Spojrzałyśmy po sobie, zaniepokojone tym nawałem nieprzyjemnych wiadomości. Pani Marta ciszej zapytała:

— Powiedz nam, pani, tak szczerze: jeżeli ten człowiek ma pomieszenie, może nie jest bezpiecznie chodzić tam osobom, których nie zna jeszcze?

— A broń Boże! A toć to łagodne jak baranek. Wariat, ale nieszkodliwy. Zresztą, prawdę mówiąc, na taką wariację chorują prawie wszyscy, tylko ci, co mają przytomność, nie śmieją tak bardzo do niej się przyznawać.

— Cóż to za rodzaj obłąkania? — zapytałam ciekawie.

— Ano, chciałby mieć dużo pieniędzy, a wtedy obiecuje, że cudów dokaże. Albo to on jeden? Każdemu tak się wydaje. Każdy mówi: Oho! żeby ja był bogaty, zrobiłbym to i tamto! Tymczasem widzimy ludzi bardzo bogatych, i ci najmniej robią. Otóż ja paniom powiem, co według mnie musiało naszemu biedakowi napędzić tej choroby: i on podobno dawniej miał miliony, stracił wszystko, desperacja pomieszała mu zmysły i nie dziwota, że teraz śni mu się o milionach. Tak to, kto za młodu nie przywykł do biedy, nie umie jej potem znosić. Ale zawsze jeszcze będzie mu lepiej niż drugim, bogaci o nim nie zapomną, a o tych, co nigdy nic nie mieli, to i pamiętać kto nie ma.

Z tą gorzką sentencją gospodyni zamknęła drzwi od kuchni, na której progu toczyła z nami rozmowę.

Dochodząc do schodów, pani Marta rzecze:

— Cóż ci się zdaje z gadania naszej kuchennej filozofki? Co to będzie za rodzaj człowieka?

— Prawdę mówiąc — odpowiem — preliminaria niezbyt zachęcające. Jednak w tym całym obrazie nie widzę jeszcze dowodów obłąkania. Prawie wszyscy wielcy ludzie uchodzili u współczesnych...

— Oho! — przerwie moja towarzyszka — to już zdanie z książek; wierz mi, więcej było i będzie wariatów, co chcą uchodzić za wielkich ludzi, niż wielkich ludzi, co by uchodzili za wariatów. Zresztą nie upieram się, zobaczymy. Co mię sto razy więcej zastraszyło, to owo porównanie do sita... Jeżeli z niego utracysz, kląniam uniżenie, wszystko, co zrobimy, na nic się nie przyda. Ale nie przesądzajmy z góry; trzeba nam się tylko zachować bardzo, oj, bardzo ostrożnie...

Tymczasem wstępowałyśmy na schody, które wcale nie są kręte ani drabiniaste, jak by kto mógł przypuścić; wprawdzie źle utrzymane i popaczone od starości, porządnie skrzypią pod nogami, ale bardzo wygodnie i prędko doprowadziły nas do szarych drzwiczek, poza którymi przedstawił nam się pokój, także zupełnie odmienny od obrazów, jakich się spodziewałam.

Sądziłam, że znajdę jedno z owych ciemnych, ukośnie ściętych poddaszy, gdzie trzeba się co chwila schylać, aby głowę uchronić od kanciastych belek, gdzie oko się błąka w kątach, do których światło nigdy nie dochodzi, a stopy grzęzną w jakiejś warstwie miękkiej, której dna nie można nigdy znaleźć.

Ruiny, Upadek

Tymczasem zobaczyłam prawdziwy pokój, widny, suchy, z podłogą i sufitem. Ściany nie tylko bielone, ale malowane; wprawdzie to malowanie musi liczyć przynajmniej z pół wieku, można przecież jeszcze rozeznaczyć niebieskawe cętki. W głębi okno spore i całe. W rogu piec z zięjącym kominkiem, obłamanym i straszliwie okopconym.

Przy wszystkich ścianach stały jakieś ogromne ramy czy dekoracje, starannie zakrywane zbutwiałymi oponami¹⁰, z których kilka było kirowej czarności.

Dziwna rzecz, mimo śladów dawniejszej wygody, mimo pełnego oświetlenia, te cztery kąty i piec piąty, wiejące nieopisanym pustkowiem, te nieodgadnione rusztowania, a nade wszystko czarne plamy na murach przejęły mnie takim wstrętem, że zawahałam się u progu.

Prawdziwa ruina ma swoją poezję, ale takie zniszczenie jeszcze nie dokończone to jakby gangrena tocząca żywe ciało.

Podziemie lub poddasze, gdzie jakiś Job¹¹ dogorywa, to okropność zupełna, to tragedia, przed którą dusza korzy się, uznając Nemezis lub Opatrzność.

Taki pokój to połowiczna okropność, mieszanina prozy i patosu, melodramat, z którego widz wychodzi pełen goryczy i zwątpienia. Zdaje mi się, że w takich pokojach najczęściej spełniają się samobójstwa i najłatwiej rodzą się legendy o strachach.

Może do tego wstrętu przyłożyła się i atmosfera pokoju, cała przesycona dziwnymi gazami, jakby w laboratorium chemicznym lub aptece.

Oho! pomyślałam sobie, jeżeli mój uczony bawi się w alchemię, to nic nie pozostaje, tylko kieszeń dobrze trzymać i co sił uciekać, bo wiadomo, że na robienie złota trzeba złota i jeszcze złota, do nieskończoności. Ej, chyba nie... Któż by w naszym wieku śmiał jeszcze odgrzewać ten przestarzały koncept? A jednak...

To „jednak” błysło mi w myśli na widok szklanych naczyń poustawianych przed kominkiem; były to owe „banie z wykręcanyymi szyjami”, w których, na wielki mój postrach, poznałam prawdziwą retortę i dwa alembiki.

Nie stało jednak czasu na dłuższe rozmyśły. Zapomniałam o wszystkim, spostrzegłszy mieszkańca pokoju.

W głębi, pod oknem, stał fotel, a raczej szkielet fotelu, który musiał pochodzić z jakiejś pańskiej siedziby; na poręczach, niegdyś połączanych, świeciły jeszcze prątki czerwone, a na wysłaniu wyblakły safian wisiał w strzępki, spoza których włos wylewał się kudłatymi pękami. Na fotelu siedział człowiek, a raczej cień człowieka, z twarzą jak wosk żółtawą, przejrzystą, obumarłą, tylko oczy świeciły, sprawiając przerażające wrażenie, jakby kto żywe źrenice obsadził w głowie lalki. Przód czaszki, zupełnie obnażony, świecił na kształt słoniowej kości, tylko przy skroniach włosy siwiuteńkie spływały dwoma białymi kosmykami.

Ubrany był w tużurek niegdyś aksamitny, tabaczkowy, pod samą szyją zapięty. Od stóp do głów ubiór jego wyglądał już także na cień odzieży doprowadzonej do ostatecznych granic znoszenia i wycieńczenia. Zdawało się, że dosyć dmuchnąć, aby cała ta postać razem z pokojem i z domem w pył się rozsypała.

Toteż przystępowaliśmy do niego z obawą i jakby z ostrożnością. Przybity osłabieniem czy myślami, nie spostrzegł naszego wejścia; dopiero ujrawszy nas przed sobą ocknął się, uśmiechnął z uprzejmością człowieka światowego i obie ręce wpił w poręcze dla podźwignienia się z fotelu. Pani Marta swoim grubym pocziwym głosem zabroniła mu tej grzeczności niewczesnej u chorego; z ogromnej sakwy, którą wiecznie nosi pod salopą¹², wydobyła flaszkę starego wina, świeże bułki, funt bulionu i różne inne praktyczne przysmaki, które się zwykle w takich razach przynosi.

Ustawiliśmy wszystko na kulawym stole, pełnym jakichś pudełek i gracików o nieopisanych kształtach, a namówiwszy chorego na kieliszek kordiału, zaczęliśmy się dopytywać powolutku, jak najdyplomatyczniej, dla nieobrażenia jego miłości własnej, o jego przeszłe koleje, o sposoby zaradzenia dzisiejszym niedostatkom, o rodzaj lekarstw, jakie by mogły mu posłużyć.

¹⁰opona (tu daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

¹¹Job — dziś: Hiob. [przypis edytorski]

¹²salopa — długa, ciepła peleryna z kapturem i szerokimi rękawami, noszona przez damy w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

Pan Cezary odpowiadał z grzecznością i umiarkowaniem człowieka dobrze wychowanego, a przy tym z jakąś rezygnacją łagodną i jakby innym światem już tchnącą, która nas głęboko wzruszyła. Na wszystko się uśmiechał, za wszystko dziękował potulnie jak dziecko, ale pytania o przeszłość zbywał milczeniem lub ogólnikami, a z naszych pocieszeń i obietnic nie widziałam, aby choć jedno słowo sprawiło mu prawdziwą radość.

Dopiero kiedy się dowiedział, że przybyliśmy wskutek listu, twarz jego nieco się rozjaśniła.

— Wiecie więc, panie, o co głównie, o co jedynie mi chodzi...

— Wiemy, wiemy — prędko odparła pani Marta — ale o tym potem, teraz nam tylko pan wyzdrowiej...

— Szanowne panie — odezwał się mocniejszym głosem — rozmówmy się szczerze: jeżeli przyszłycie, jak już niejedna litościwa osoba przychodziła, nie dla urzeczywistnienia mojej myśli, ale dla chwilowego wsparcia mojej nędzy, dla podtrzymania moich sił fizycznych, o! to lepiej opuśćcie mnie od razu. Ja nie jestem zwyczajny Łazarz. Szkoda waszych zachodów. Dopóki nie będę mógł wrócić do mego przedsięwzięcia, dopóty i nie odzyskam zdrowia, bo tylko ta niemożność mnie zabija. Jeżeli nie możecie spełnić mego żądania, po co na próżno oddalać śmierć i tak dość powolną? Po co gwałtem przytrzymywać mnie na tym świecie, który nie chce dobrodziejstw, jakie Bóg miał mu zesłać przeze mnie? Czyż nie lepiej zaprzestać już tej bezużytecznej walki i co prędzej podążyć na te inne światy, gdzie znajdę od razu rozwiązanie wszystkich zagadek, nad którymi tutaj bezsilnie się męczę?

— Fe, co też to asan¹³ gadasz!... — ofuknęła go pani Marta, która w przystępach złego humoru z „pana” zwykle przechodzi na „asana” — co też to asan wygadujesz! Dopóki Pan Bóg żyć każe, to trzeba żyć i basta.

Pan Cezary spojrzał na nią z niewymowną rzewnością i odpowiedział solennie:

— Toteż, jak pani widzi, żyję.

W tych kilku słowach była przepaść bóleści. Te słowa zawierały w sobie tyle nie wypowiedzianych komentarzy!

— Łatwo mówić tym, co nie przebyli takich jak ja kolei! O gdybyście wiedzieli, com ja przeżył! A jednak czekam i proszę, i ufam, chociaż na moim miejscu już stu innych byłoby sobie życie odebrało albo się puściło na złe drogi...

To wszystko dosłyszałam w tych kilku słowach i przejęło mnie uszanowaniem dla majestatu nieszczęścia. I pani Marta widocznie odczuła wyrzut zawarty w jego głosie, a zwłaszcza w spojrzeniu, bo nagle rzekła:

— No, może się pomyśli i o tym, o czym pan mówisz. Ale pierwaj by trzeba wiedzieć przynajmniej, o co chodzi?

Wyzwanie było wyraźne. Chwilę poczekała na odpowiedź. Ja czekałam także z ciekawością. Ale zagadnięty nic nie odpowiedział, głowę skłonił na piersi i znów zapadł w dumanie czy omdlenie. Na chorego trudno się obrażać, nie nastawaliśmy więc dalej, a chcąc wyjść z zakłopotania, zaczęliśmy się krzątać, niby porządkując pokój. Wśród tej gospodarki skorzystałam z chwili, w której znalazłyśmy się na drugim końcu pokoju, ażeby szepnąć towarzysze:

— Cóż pani myśli? Nieszczęścia i ubóstwo doprowadziły go do rozpacz, ale na umyśle zdrów zupełnie. Wszak prawda?

Pani Marta spojrzała na mnie uspokajająco i odpowiedziała:

— Zdaje mi się, że najzupełniej.

Ośmielona jej poparciem, przystąpiłam znowu do okna.

— Dobrze byłoby — odezwałam się głośno — pomyśleć też o jakim takim odnowieniu tego mieszkanka; nie mówię o żadnych zbytkach, ale po prostu o schludności; wiadomo, jak czyste utrzymanie mieszkań silnie wpływa na zdrowie ludzkie, to jedna z największych zdobyczy dzisiejszej higieny, a tutaj... niedbalstwo doprawdy przechodzi pozwolenie. Pana, jako chorego, trudno o to obwiniać, ale właściciele dworku mogliby też choć raz na lat dwadzieścia kazać te ściany odświeżyć albo też piec naprawić.

— O nie! — zawołał, żywo podnosząc głowę i oglądając się dokoła, jakby zaniepokojony, czyśmy czego nie poruszyły. — Niech Bóg broni, ja tu nic nie pozwałam tykać...

¹³asan a. acan (daw.) — starop. tytuł grzecznościowy: pan, waćpan. [przypis edytorski]

Zresztą, można co jeszcze wymagać od ludzi, którzy i tak mi tu przez całe lata pozwalają mieszkać, chociaż od całych lat nie widzieli grosza komornego? Z początku płaciłem, o! i mocno! Byłbym ten pokój wybrukował złotem, byle w nim pozostać... tego pokoju nie zamieniłbym za pałac. Ach! owszem, to dobrzy ludzie, przecież mogliby ten pokój odnająć za gotówkę, a oni trzymają mnie i trzymają, wzruszeni moimi prośbami, bo dobrze wiedzą, że tylko tu jeszcze żyć mogę... tu mam wspomnienia, po których może na koniec trafię do tajemnicy... w tych ścianach może spoczywa klucz tego odkrycia...

Na te ostatnie wyrazy mimowolnie podniosłam oczy, byłabym chciała wzrokiem poprzesywać te cegły, sprawdzić, czy między nimi nie tai się jakiś skarb zamurowany, jakiś rękopis drogocenny. A pod urokiem tego zaciekawienia cały pokój wydał mi się innym, rozświecił się tęczowymi promieniami obietnic i zrozumiałam, że wszędzie człowiekowi dobrze, gdzie przywiązuje go jakaś nadzieja.

Zaczęłam pilniej się rozglądać. Najwięcej uwagę moją zwróciła księga leżąca tuż przy chorym na oknie; było to *in folio* bardzo grube, oprawne w skórę niegdyś czarną, dziś popękaną i wygryzioną od zniszczenia; wielka liczba różnobarwnych papierowych zakładek, brzegi kart wyżółkłe i poskręcane świadczyły o długim jej użyciu. Patrząc na nią myślałam sobie: Oho! Z tej księgi dowiedziałybyśmy się pewnie wszystkich sekretów, których posiadacz tak zazdrośnie strzeże... A wzrok mój musiał wyrażać wielką chciwość, bo chory nagle podniósł rękę, położył ją i przycisnął na księdze, jakby chciał bronić drogich kartek od napastowań ciekawości.

Widząc, że tą drogą nic nie otrzymam, zapytałam nagłe:

— Czy pan czasem nie byłeś malarzem?

— Ja, malarzem! Dlaczego? — odparł widocznie urażony.

— Bo tu przy ścianach widzę mnóstwo obrazów; myślałam, że to dzieła pańskie. Czy nie? Może to utwory jakich dawnych mistrzów? Trudno o nich sądzić, póki są odwrócone, ale muszą być chyba nieoszacowanej wartości, kiedy pozbywając się wszystkiego, nawet rzeczy najpotrzebniejszych do życia, z tymi jednak pan się nie mogłeś rozstać?

— To nie są obrazy — odpowiedział — a raczej owszem, dobrze pani mówisz, to są obrazy, ale nie ludzką ręką malowane...

Mówiąc, wychylił się z fotelu, sięgnął po jeden z najbliższych, pomniejszych obrazków i obróciwszy go dobrą stroną ku światłu, pokazał nam nieduże okrągłe zwierciadło.

— A!... — zawołałyśmy obie z podziwem. — I wszystko to są zwierciadła?

— Wszystko.

— Na miłość boską, co panu po nich?

— To moja tajemnica.

Pani Marta, która w ogóle nie lubi czekać, zniecierpliwiona małomównością pana Cezarego, dawała mi z daleka znaki zachęcające do szybszej inkwizycji. Zaczęłam więc mówić głosem coraz bardziej stanowczym:

— Każdą tajemnicę zwykło się szanować. Jednak, na ten raz, przyznaj pan, czyż nam się nie należy troszkę więcej zaufania? Gdyby jeszcze tylko o nas chodziło, ale pan żądasz, abyśmy drugich namawiały. Cóż my tym drugim powiemy? Któż zechce łożyć na poszukiwania, póki nie wie, czego pan szukasz?

— Tak, tak — poparła mnie towarzyszka — żebyś pan jeszcze chciał tylko zachęty, rady, ładnych słówek, nawet artykułów gazeciarskich, no, to może na chybi trafi niejeden by je sypnął. Ale kiedy sięgasz do worka, oho! dotykasz czulej struny ludzkiej. Kto płaci, chce doskonale wiedzieć, za co płaci.

— Łaskawe panie! — odrzekł chory, składając ręce ruchem wzruszającej błagalności — macie słuszość, zupełną słuszość. Ach, żebyście wiedziały, co mnie wstrzymuje! To właśnie wasza dobroć, którą chciałbym niejako wypróbować, aby wiedzieć, do jakiego stopnia mogę liczyć na waszą wyrozumiałość. Jeżeli ociągam się i waham, to nie z braku zaufania, ale z obawy, aby za prędko was nie zrazić, tak jak zraziłem już wielu! Bo nie raz, i nie dwa, ale dziesięć razy próbowałem opowiedzieć historię mego życia. Cóż panie powiecie? Jeszcze nie znalazłem człowieka, co by ją wysłuchał do końca. Zwykle w połowie opowiadania goście moi przypominali sobie nagle jakiś gwałtowny interes i odkładali resztę do przyszłych odwiedzin, które nigdy nie następowały, albo też mrozili mnie taką lodowatością, kłuli takim zoilostwem, że sam nie chciałem dalej mówić. A! W książkach to największe cudactwo połykają chciwie, byle drukowane, to już wierzą, a kiedy człowiek

Książka

opowiada, co przeżył osobiście, na co patrzył własnymi oczami, to kręcą głową, nigdy im nie dosyć dowodów. Pewien jestem, że gdyby moje dzieje ukazały się w książce, upstrzone błyskotkami modnego stylu, pod różową okładką, niejeden by się do nich zapalił. Ale że to mówi biedak schorzały, trzęsącym się głosem, w izbie obdartej, wszyscy ruszają ramionami.

— No, już my nie będziemy ruszały, my wysłuchamy cierpliwiej, nawet z prawdziwym współczuciem.

Tak odpowiedziałam, i mówiłam szczerze. Głębokie przekonanie tego człowieka udzielało się mimowolnie, uprzejmość jego i zupełna przytomność rozpędzały wszelkie przypuszczenia jakiejś choroby umysłowej. Naprawdę zaciekawiona, upatrzyłam rodzaj ławy czy szlabana zasłanego słomą i mnóstwem ślusarskich, a może złotniczych narzędzi; zgarbawszy to wszystko na jeden koniec, siadłam i przyzwałam panią Martę. Ale ona była zajęta zwierciadłami, zaglądała pod wszystkie szmaty i kiry, wołając:

— Fiu, fiu! Co tu pyszności! Żadne nie stłuczone, a co za ramy! O, te na przykład, zwierciadlane! Mój panie — dodała siadając na ławce — nie pojmuję doprawdy takiej wytrzymałości. Jak to? Pan z głodu przymierasz, a masz pod ręką przedmioty, za których cenę przynajmniej rok wyżyć można? Ja, na miejscu pańskim, byłabym je dawno sprzedała, a za lepszych da Bóg czasów nowe sobie kupiła. (Gdybym się *nota bene* tak przepaściście w nich kochała.) Przecież zwierciadeł nigdy nie zabraknie?

Pan Cezary gorzko się uśmiechnął.

— Z przeproszeniem pani — odrzekł — słowa te przypominają mi scenę, jakiej raz byłem świadkiem na popasie, w podróży po kraju; czekałem, aż konie przyjdą z łąki; tymczasem do karczmy weszli ludzie wracający z pogrzebu; gospodarz pochował żonę i — co rzadko można widzieć między ludem — zdawał się nieutulony w żalu. Przyjaciele namawiali go do kieliszka, pocieszali żartami, wszystko na próżno, aż jeden odezwał się niecierpliwie: „E, kumie, nie żałujta znów tak bardzo kobiety; jak tylko zechcecie, będzie druga, i jeszcze ładniejsza, przecież o żonę nietrudno”. A wdowiec odpowiedział: „Tak, będzie druga, ale już nie tamta!” A on właśnie tamtą kochał. Ach, czyż to jedna drugą tak łatwo zastąpić? Przecież każda ma swoją duszę, swoją osobistość?

— No — zawołała, śmiejąc się, pani Marta — jeżeli pan zwierciadło obrałeś sobie za żonę, jeżeli według pana zwierciadło ma duszę...

— Nie, pani, tego nie twierdzę, zwierciadło nie ma duszy ani osobistości, żona...

Tu wzdrygnął się i ręką przesunął po oczach.

— Nieszczęśliwa ofiara... ach, jeszcze o tym nie mówmy... Nie, pani, użyłem tylko porównania, ale sam teraz widzę, że nie było szczęśliwe. Poszukajmy właściwszego: przypuszczam na przykład, że pani posiadasz manuskrypt rodzinny, tak zwane *Silva rerum*¹⁴, gdzie dziady i pradziady spisywały wszystkie koleje domu, albo dajmy na to, sama pani przez lat wiele pisałaś *Pamiętnik*, gdzie możesz odnaleźć myśli, rozmowy i obrazy całego twego życia; gdyby kto przyszedł i radził: Sprzedaj, pani, rękopism¹⁵, za tę cenę dostaniesz kilka innych, przecież i to, i to papier zapisany; zawołałabyś z oburzeniem: A co mnie po innych? Nie chodzi mi o papier, ale o treść. Tak i mnie tu nie chodzi o taflę szklaną, ale o treść w niej zawartą. Każde zwierciadło także jest rodzajem księgi, i to olbrzymiej, liczącej krocie, tysiące, miliony kart malowanych, do których ciągle nowe przybywają — cała sztuka umieć otworzyć tę księgę.

Wstrzymał się przez chwilę, po czym dokończył mocnym już i pewnym głosem:

— Każdy wie, że zwierciadło *odbija* wszystko, co się przed nim dzieje, ale czego nikt nie wie — oprócz wtajemniczonych — to, że *zatrzymuje* w sobie te wszystkie obrazy, jakby miliardy odbić fotograficznych. Nie możemy wszystkich widzieć od razu, bo każdy nowy wizerunek zasłania dawniejsze, tak jak na obrazie olejnym ostatnia farba zakrywa pierwsze; ale zmywszy farbę wierzchnią, dostrzega się tamte. Otóż wywołać ze zwierciadła na powrót wszystkie te obrazy, odciąć je kolejno od tła, na jakim przyległy, oto odkrycie, za którym gonię, odkrycie doskonale znane kilku dawnym mistrzom, wiele

¹⁴*Silva rerum* (łac.: las rzeczy) — rodzaj notatnika-pamiętnika, prowadzonego przez polskich szlachciców (często kolejno przez różnych członków danej rodziny) w XVII–XIX w. Wpisywano tam ważne wydarzenia rodzinne i polityczne, przemówienia, sentencje itp. [przypis edytorski]

¹⁵*rękopism* — dziś: rękopis. [przypis edytorski]

razy zdobywane i tracone, a które dzisiaj znów może zaginąć na długo, jeżeli nie potrafię skorzystać ze wskazówek, jakie mi przypadek w ręce podał.

Zamilkł. Pani Marta zwróciła ku mnie wzrok niepewny i badający, jakby odwoływała się do mego sądu, bo dla niej podobne zadania były prawdziwą *terra incognita*. Ja także, niestety, za mało jestem biegła w naukach przyrodniczych, ażeby się ośmieliła najmniejszą w nich wątpliwość rozstrzygać. Zdawało mi się jednak, że pomysł rzeczony nie ma w sobie nic takiego, co by się wyraźnie sprzeciwiało prawom rozsądnej możebności. Kto wie? Ileż innych wynalazków musiało daleko nieprawdopodobniej wyglądać, dopóki je odkrywca ciemnymi słowami zapowiadał?

— I pan to widziałeś? — zapytałam.

— Widziałem, słowo honoru.

Kiedy mężczyzna jakiegokolwiek twierdzenie pieczętuje słowem honoru, uniemożliwia dalszy ciąg rozprawy; od tej chwili najmniejsza wątpliwość staje się ubliżeniem.

Toteż już nie do niego, ale do niej zwróciłam się, odpowiadając niejako na ciągle, nieme pytanie jej oczu:

— Tak, pani, żyjemy w wieku, gdy dzieje się tyle rzeczy cudownych, że człowiek o niczym już nie śmie wątpić. Co by ludzie przed wiekami byli powiedzieli, gdyby im jaki prorok wróżył cuda dzisiaj spowszedniałe, armaty, koleje żelazne, statki parowe, telegrafy!...

— A byli tacy prorocy! — zawołał pan Cezary. — Taki na przykład Roger Bacon¹⁶ z trzynastego wieku, trzeba uważać, że nie mówię o drugim Baconie, z Werulamu¹⁷, co żył w wieku szesnastym, ale o pierwszym, Rogerze, mnichu franciszkańskim, który urodził się, coś tak... jeśli dobrze pamiętam... w tysiąc dwieście czternastym... Pozwólcie, panie, abym wam przeczytał króciutki urywek z jego genialnych, proroczych utworów; to będzie najlepsze potwierdzenie słów pani.

Tu zdjął z okna księgę i rozłożył ją na kolanach, opierając o poręcz fotele, bo ogromna była i ciężka.

Spojrzałam na kartki.

— Co to jest? — rzekłam — rękopism? A jaki nabity! Ja sądziłam, że pan masz drukowaną edycję Bacona?

— Nie, pani, to nie sam Bacon. To wszystko przeze mnie tłumaczone i moją ręką wypisywane z tysiącznych autorów, a jest też tu niemało i moich własnych wspomnień. To moje *Silva rerum*. Od lat wielu miałem zwyczaj robić wyciągi ze wszystkich dzieł, gdzie znalazłem jakiegokolwiek szczegół stosujący się do mego pomysłu. Tu spisałem także przygody mego życia, opowiedziałem wszystkie sceny widziane w zwierciadłach, wszystkie legendy i tradycje ściągające¹⁸ się do nich. I szczerze sobie teraz wieszuję tej pracy, bo kiedy party przez biedę musiałem kolejno powyzybywać się wszystkich ksiązek, dziś ta księga stanowi całą moją bibliotekę, i nie bardzo tamtych żałuję, tu jest wyskok wszystkiego. Zacząłem tę robotę po amatorsku, trochę dla zabawki, trochę z lenistwa, bo mi się nie chciało zaglądać co chwila do dziesięciu różnych pisarzy; dziś ona jest skarbem. Żadna praca nigdy nie stracona, ani człowiek się spodziewa, kiedy i gdzie ją odnajdzie.

— Ciekawa ksiązka, nie ma co mówić — przerwała pani Marta. — Proszę pana, przychodzi mi na myśl, czyby jaki księgarz jej nie kupił? Przecież to jednak ma wartość.

— Myślałem i ja o tym, jednak boję się, czy takim przedczesnym wystąpieniem nie popsułbym raczej sprawy? Ta księga ma wartość olbrzymią, nieobliczoną, ale dotąd ma ją tylko dla mnie. Gdybym kiedy moje odkrycie doprowadził do urzeczywistnienia, o! wtedy dopiero ta księga zostałaby oceniona należycie. Dzisiaj świat gotów by ją wziąć za czysty wybryk wyobraźni, ogłosić mię za wizjonera, i po wszystkim.

Ale otoż są owe ustępy z Bacona. Jest na przykład recepta na robienie prochu, uważcie, panie, że to na półtora wieku przed Schwartzem, wprawdzie podana w kształcie sfinksowej zagadki, ale dziś łatwo ją rozwiązać, a co więcej, przy końcu autor umieszcza te słowa już zupełnie jasne:

¹⁶Bacon, Roger (ok. 1214–1292) — ang. filozof i naukowiec, franciszkanin, jeden z pierwszych w nauce europejskiej zwolenników empiryzmu. [przypis edytorski]

¹⁷O drugim Baconie, z Werulamu — Francis Bacon (1561–1626), angielski filozof epoki odrodzenia i baroku, prawnik i polityk. Zwolennik empiryzmu. Nosił tytuł m.in. barona Verulam. [przypis edytorski]

¹⁸ściągać się (daw.) — odnosić się. [przypis edytorski]

„Jeżeli można kawałkiem takiej mieszaniny¹⁹, nie większym od palca, wywołać światła i huki wyrównyujące piorunom, cóż by to było dopiero, gdyby jej użycie w ilości i jakości właściwej?”

Teraz inny ustęp, jeszcze nierównie ciekawszy. W pysznym dziele, *De secretis operibus artis et naturae et nullitate magiae*, w pierwszym rozdziale mówi:

„Teraz chciałbym zwrócić waszą uwagę na kilka zjawisk przyrodzenia i sztuki, z których się przekonacie, ile one przewyższają wszelkie wymysły magii. Do żeglowania można budować maszyny takie, że największe okręty, kierowane ręką jednego człowieka, będą przepływały rzeki i morza z większą nierównie szybkością, niż gdyby je tłum wioślarzy popychał. Można jeszcze — uważajcie, panie — można jeszcze robić wozy, które bez żadnego zaprzęgu będą pędziły z szybkością nieobrachowaną. Można stworzyć przyrząd, za pomocą którego człowiek w postawie siedzącej, pewną dźwignią poruszając pewne sztuczne skrzydła, podróżowałby w powietrzu na kształt ptaka... Są też przyrządy, z którymi wędruje się bez niebezpieczeństwa po dnie oceanu. Wszystkie te rzeczy były już znane, albo u starożytnych, albo za dni naszych, wyjąwszy mechanizm do latania, który został dopiero teraz odkryty przez pewnego mędrca dobrze mi znanego. Można jeszcze wynaleźć wiele innych rzeczy, jak na przykład mosty, co się przerzucają przez najszerze rzeki bez żadnych pośrednich filarów ani podpór...”

— Aha! — zawołała pani Marta — nasz nowy most kraciasty przy zjeździe do Wisły coś już na to zakrawa.

Czytający skinął głową i ciągnął dalej:

— „Ale spomiędzy tych wszystkich cudowności, co najbardziej zasługuje na uwagę, to rozmaite gry światła. Możemy szkła przezroczyste i zwierciadła poustawiać w taki sposób...”

Na tych słowach pan Cezary się zatrzymał.

— Tu — dodał — Bacon wyraźnie przepowiada mikroskop i teleskop, i różne jeszcze inne dziwy optyczne, których teraz wolę nie tykać...

To rzekłszy zamilkł i zamknął księgę.

— Jak to? — zawołałam szczerze zdumiona. — I to było pisane w trzynastym wieku?

— Ale proszę pana — pytała pani Marta — jeżeli ten ksiądz znał już te wszystkie wynalazki, czemuż ich ludziom nie wytłumaczył wyraźnie? Czemuż zaraz ich nie przystosował?

— A? Czemu? Czy to tak łatwo? Najprzód²⁰, w owych wiekach, byliby go ludzie spalili na stosie jako czarownika. I tak całe lata przesiedział w więzieniu. Dziś już uczonych świat nie pali ani więzi, ale ich bierze na powolne tortury opuszczania, ironii, odmawia im środków, a bez środków żadna idea nie może się urzeczywistnić. I co okropne, to że owe środki muszą być ogromne, muszą się powtarzać wielokrotnie, bo każde odkrycie przechodzi tysiąc prób nieudanych, nim się raz na koniec uda. Te pierwsze niepowodzenia zniechęcają tłumy, ba! i nie tylko tłumy. Napoleon nie chciał słuchać Fultona. Tak, i Fulton pisał, prosił, czekał...

Na tych słowach pan Cezary położył nacisk i spojrzał ku mnie znacząco.

— A wszechwładny konsul co? Wahał się, radził różnych mierności, kazał robić próby, po których ostatecznie odrzucono pomysł jako niewykonalny. I Napoleon nic nie przeczuł! O zaślepiony, wielką szkodę wyrządził Fultonowi, ale jeszcze stokroć większą sobie! Ani się domyślał, że w chwili, w której odsuwa tę skromną prośbę, podpisuje wyrok swojej zatury. Bo tylko uważaj pan: gdyby Napoleon umiał skorzystać dla swego kraju z nieobrachowanej potęgi pary, której żaden inny kraj nie znał jeszcze, nic by mu się nie oparło. Byłby globem zawładnął. Sam Bóg w tej zagadce podawał mu berło świata, a on nie zrozumiał Boga.

— Proszę pana, gdybym rozporządzała Napoleońską władzą, nie czekałbyś pan długo na pomoc. Przy moich wielce ograniczonych środkach to tylko mogę solennie obiecać, że

¹⁹mieszanina — dziś popr.: mieszanina. [przypis edytorski]

²⁰najprzód — dziś popr.: naprzód; najpierw. [przypis edytorski]

będę myśl pańską rozszerzała, i w tym celu mam ochotę poprosić, abys mi pan pozwolił wypisać owe ustępy z Bacona; będzie to wyborna broń przeciw niedowiarkom.

Wyrażając to życzenie, miałam i drugi, ukryty cel na myśli; chciałam gwałtem zajrzeć do owej księgi, której widok rozbudził we mnie różne literackie ciekawości; chciałam także przyjrzeć się z bliska pismu pana Cezarego, kierowana powszechnym wyobrażeniem, że można z pisma sądzić o duszy, a przynajmniej o stanie umysłowym piszącego. W każdym razie winszuję sobie pomysłu, dzięki któremu dzisiaj mogłam się przed wami pochwalić cytata, co będzie największą, jeżeli nie jedyną ozdobą tego pisemka.

Zazdrosny posiadacz księgi nie zdawał się bardzo rad memu żądaniu, jednakże nie śmiał odmówić i podał mi ją, cedząc przez zęby:

— Służę pani.

Wydobyłam pugilaresik z ołówkiem i położywszy księgę na kulawym stole, zabrałam się do roboty, powolutku studiując wszelki szczegół; pismo było śmiałe, ale spokojne i okrągłe, nie zdradzające żadnych zbroceń nerwowych. Dwa urywki z Bacona stały w dwóch osobnych działach, co mi pozwoliło przerzucić kilkanaście kartek i uchwycić kilka tytułów niezaprzeczenie zaciekawiających, jak na przykład:

Historja dogaresy widziana w weneckim zwierciadle.

Prawdziwy portret Barbary Radziwiłłówny, oraz osobliwsza scena między Boną a kabalarką (vulgo czarownicą), wszystko podług zwierciadła znajdującego się niegdyś w Wiśniczu, dawnej własności Kmitów.

Niektóre nieznane szczegóły Kongresu Wiedeńskiego, znalezione w zwierciadle.

Sposób w jaki panna Rachel dochodziła do swoich poz klassycznych, podchwycony w zwierciadle, przed którem się ról uczyła.

Itd. Itd.

Przypuściwszy raz możebność wynalazku, wszystkie te opowiadania mogły być wiarogodne. O! cóż bym nie była dała, aby je wypisać! A tu nawet czytać nie wypadało. Czułam wzrok pana Cezarego ciężący na mnie jak chmura. Wstrzymałam oczy, ale postanowiłam tak dobrze zasłużyć się argusowi, ażeby kiedyś otworzył mi te skarbnice, w każdym razie powabne, jeżeli nie dla dziejopisa, to dla poety i powieściopisarza.

Podczas przepisywania straciłam nić rozmowy; kończąc, słyszę panią Martę żywo wodzącą:

— Jest racja, nie ma co mówić; może też to dlatego zwierciadła bardzo stare bywają takie mętne i, jak zwykle mówimy, *falszywie pokazują*; nie dziwota: obraz pakuje się na obraz, robi się na koniec jakaś bohomaza²¹, w której nic już rozeznac niepodobna. Gdybyś pan umiał zdejmować te niepotrzebne warstwy, byłby to wyborny sposób odnawiania starych zwierciadeł i przynajmniej wynalazek pański na coś by się przydał.

Pan Cezary brwi ściągnął; dostrzegłam, jak uśmiech wzdorliwy już rysował się na jego ustach. Ale pewno wspomniał, że niebezpiecznie jest obrażać możną protektorkę, i widoczny sobie gwałt zadając, odpowiedział:

— Nie pomyślałem jeszcze o podobnym przystosowaniu. Z czasem nie omieszkam korzystać z łaskawych rad pani.

Skończyłam wypisy. Nie było już sposobu na dłuższe zatrzymanie księgi. Oddałam ją, mówiąc:

— Dziękuję, ale jeszcze jedno pytanie: chciałabym też wiedzieć, co pana mogło naprowadzić na podobne poszukiwania? Wspominałeś pan, że przypadek podał pierwsze wskazówki?

— Moja pani, zwykliśmy nazywać przypadkiem wszelki szereg zdarzeń, których łączności dobrze nie pochwytujemy. I mnie dziwne moje życie przez długi czas wydawało się pędzone ślepą siłą; dziś jednakże, kiedy zaczynam nań spoglądać z wysokości mogiły, która już przede mną narasta, gotów jestem uznać w nim bieg Opatrznościowy...

— Otóż takie słowo lepiej mi się podoba — wtrąciła pani Marta.

— Czekajcie, panie... powiadam: gotów jestem uznać, *jeżeli* ujrzę spełnienie mojej myśli. O! wtedy i zwichnięcie mego osobistego szczęścia, i długie lata przemęczone w niedoli, wszystko wyda mi się niczym wobec przekonania, że byłem narzędziem wyższej ręki, ale jeżeli przyjdzie umrzeć przed spełnieniem życzeń, tyle burz przetrzymać, a w porcie

²¹ *bohomaza* — dziś popr.: *bohomaz*. [przypis edytorski]

zatonąć, o! wtedy... zaprawdę nie wiem, jak potrafię sobie wytłumaczyć zagadkę mego życia? Po co ta nieszczęśliwa nauka przyszła kusić mię jak istny szatan, obsypała mię z początku bogactwem i pomyślnością? Bo że mię obsypała, tego nie zaprzeczam, ale to były tylko sidła, aby mię wciągnąć w pogoń za niedoścignionym, za którym biegnąc, rzuciłem po drodze wszystko, co jest rzeczywiste i drogie, uczucia, dostatki, spokój. Jam tej nauki nie szukał. W młodości ani mi się śniło o żadnych odkryciach, urodziłem się z odmiennymi zupełnie skłonnościami, chciałem żyć jak inni ludzie, kochając, bawiąc się, gospodarując, a jeżeli jaki rodzaj wiedzy mię nęcił, to raczej rodzaj czysto myślowy, teorie filozoficzne, gdzie dusza buja swobodnie po wolnych światach przypuszczeń i wszystkie sprzeczności związuje sobie złotym węzłem syntezy. Do analizy owszem, do nauk przyrodniczych zwłaszcza, które ślepo się trzymają ciasnych dróg doświadczenia, czułem wstręt i nieledwie wzgardę; z uśmiechem pysznej litości słuchałem o badaczach, co lata całe trawią na studiowaniu jednej gwiazdy albo jednego wymoczka, i pytałem z nieudanym podziwieniem, jak ludzie poważni mogą roznamiętniać się do takiej mrówczej pracy, kiedy stoją przed nimi kwestie globalne²² i wszechświatowe, od których bezpośrednio zależy los ich społeczeństwa i tajemnicza przyszłość ich własnego ducha? A! wtedy nie rozumiałem, że każdy atom jest światem, i że tylko praktycznym studiowaniem form dochodzi się do poznania ducha, który sam przez siebie jest nigdzie niepochwytany. Nie próżno Hermes²³ powiedział: „Co jest w dole, to jest w górze, a co jest w górze, to jest w dole.” Słowo to wygląda na paradoks, jednakże doskonale określa myśl, że w oczach bezstronnych nic nie jest niższym ani wyższym; czy cedr czy hyzop²⁴, czy muszelka czy słońce, czy chłop czy Cezar, każda rzecz na swoim miejscu i w swoim czasie potrzebna. W zegarze świata nie ma kółka zbytniego²⁵, wszystkie konieczne, czy małe, czy wielkie, często nawet małe bywa najużyteczniejsze. „Co jest w górze, to jest w dole...”, a wszystko równie ważne w oczach Boskich i tych, co sądzą po bożemu. Toteż niczym nie wolno pogardzać... Karząca logika przeznaczenia sprawia, że człowiek zwykle w to wpada, czego się najmocniej odrzekał. Ja także... Jeszcze w kolebce straciłem rodziców; nawet ich nie pamiętam; pozostałem sierotą bez opieki i najmniejszego majątku, wszystko się rozprysło w odwiecznym procesie, który nasze dawne znaczenie z wolna pochylił do upadku. Byłem ostatnim z mego rodu; po ojcu nie pozostał nikt, co by mógł wziąć mię w opiekę; ale z linii macierzystej znalazł się daleki krewny, który zajął się mną jak synem.

Tu pani Marta poprawiła się na ławce i zaczęła uważniej słuchać, bo dotąd siedziała jak na niemieckim kazaniu. Ja, przyznam się, gdyby nie jej niecierpliwość, która mię korciła, byłabym do nocy słuchała filozofii chorego, dziwnej nieraz, ale będącej prostym wynikiem jego położenia; od lat całych zamknięty sam na sam z tajemną ideą, nędzą oddzielony od świata żyjących, zapomniał, jak się trzeba w tym świecie obracać, rozmawiał z nami jakby ze swymi myślami, nie zważając, że nie wszyscy czytali Hermesa *et Compagnie*²⁶.

Ale teraz, natrafiwszy na potoczne przedmioty, wrócił i do stylu zrozumialszego:

— Ów krewny, kawaler bardzo bogaty, bardzo rozumny i pocziwy, miał kilku synowców²⁷ swego nazwiska, daleko bliższych mu ode mnie, ale sercem nierównie dalszych, o! najzupełniej oddalonych. Przez fatalny wpływ okoliczności czy ludzkiej złości, od swojej rodziny doznał samych zawodów i fałszu; owi synowcowie zwłaszcza, którzy nie myśleli o niczym, tylko jak by starego obedrzeć i na dożywocie skazać, stali się plagą jego dni samotnych. Po wielu szlachetnych, a zawsze bezskutecznych usiłowaniach odsunął ich zupełnie od siebie i mną się wyłącznie zajął, nie wiem czy dla dania nauczki niedobrym krewniakom, czy z rozczulenia nad moim sieroctwem. Uczucie to z latami rozwinęło się w prawdziwe ojcostwo. Ja od dzieciństwa pokochałem go z całej duszy, z początku ślepo, nie pojmując nawet, ile mu winienem, potem coraz świadomiej, więc i coraz mocniej. Czułem, że nigdy nie potrafię mu się odplacić za samo dobrodziejstwo

²²globalowy (daw.) — dotyczący globu ziemskiego, ogólnosiwiatowy. [przypis edytorski]

²³Hermes Trismegistos — bóstwo hellenistyczne, czczone w pierwszych wiekach n.e., powstałe z połączenia tradycji egipskich (Thot) i greckich, uosobienie mądrości i wiedzy tajemnej, wg legendy autor tysięcy ksiąg. [przypis edytorski]

²⁴hyzop — niewielka roślina zielna, zawierająca silne olejki eteryczne. W starożytności używana jako środek leczniczy oraz w rytuałach oczyszczenia, dziś głównie jako przyprawa kuchenna. [przypis edytorski]

²⁵zbyttni — niepotrzebny. [przypis edytorski]

²⁶et Compagnie (fr.) — i spółka. [przypis edytorski]

²⁷synowiec (daw.) — bratanek. [przypis edytorski]

starannego wychowania; przy tym opiekun nieraz mówił, że uczyni mnie swoim ogólnym spadkobiercą, a choć nie lubiłem dotykać przedmiotu połączonego z żalobnymi myślami, jednak ten spokój o przyszłość rzucał na moje młode lata wielką pogodę i odwagę. Można sobie wyobrazić, jakie prześladowania zacny starzec cierpiał za opiekę nade mną; cała jego familia nosiła się z żalami, przedstawiała mnie jako intryganta, nie pomnąc, że od lat wielu, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, już niepolitycznym dokuczaniem zraziła sobie wujaszka-milionera. Moi kuzynkowie byliby mi w łyżce wody utopili; ja, silny moją niewinnością i łaską opiekuna, żartowałem sobie z ich bezowocnych spisków. Po skończeniu szkół mój nieoceniony dobroczyńca wysłał mnie za granicę; zbadawszy kierunek mojego umysłu, wskazał mi do przebycia najpierw kurs filozofii, następnie naukę agronomii; posiadał wielkie dobra na granicach Pomorza i pragnął, abym kiedyś umiał nimi zarządzać.

— Więc — zapytałam — to wszystko nie w Warszawie się działo?

— Nie, pani, jesteśmy z Wielkopolski. Pobyt w stolicach niemieckich bardzo mi się podobał. Studia filozoficzne szły jak z płatka; tam czułem się w moim żywiole; dusza mi się rozszerzała i rozwidniała. Z agronomią szło ciężiej; szczególnie część chemiczna, ściśle z nią związana, nie mogła mię szczerze zająć. Chcąc jednak zadośćuczynić życzeniom dobroczyńcy, pracowałem sumiennie. Obok pracy dużo też było i zabawy; młodość ma tyle sił, że wszystkiemu razem umie poddać. Naużywałem się swobody burszowskiej, nakosztowałem różnych rozrywek i upojen, a mogłem ich sobie nie żałować, bo suta pensja dochodziła mię wiernie. Muszę sobie jednak przyznać, że nigdy szal młodzieńczy nie porwał mię poza ostateczne granice, nigdy nie wydałem grosza nad wyznaczony mi dochód i rozsądek ten szybko przynosił nagrodę: z każdym rokiem pensja bywała powiększana, a co jeszcze milsze, listy od tego, którego nazywałem ojcem, przychodziły coraz łaskawsze i pełniejsze zadowolenia. W jednym z nich mój opiekun pisał:

„Byłem w tych czasach trochę niezdrów i pod naciskiem poważnych myśli sporządziłem testament, z którego świat się dowie, kto był godzien mego przywiązania, a kto nie. Tobie zostawiam wszystko, tamtym tylko po odrobinie, na odczepne, ażeby cię nie zagryźli. Testament schowałem do biurka, pokażę ci, jak wrócisz. Miło mi, że na koniec zabrał się na tę czynność, która jest świętym obowiązkiem, a którą ludzie zwykli z dnia na dzień odkładać, zupełnie jakby mieli być wieczni. O moje zdrowie bądź spokojny, chwilowe cierpienie minęło i teraz czuję się lepiej niżeli kiedykolwiek.”

Ach, pamiętam każdą sylabę, każdą kropkę tego listu, kiedyś tak obfitego w następstwa!

Pobyt mój za granicą miał już trwać tylko pół roku. Cios niespodziany skrócił jeszcze termin. W parę tygodni po owym liście odbieram wiadomość, że mój opiekun umarł śmiercią nagłą, na aneuryzm²⁸. Wszystko rzucam, pędzę — zdążyłem jeszcze na pogrzeb. Już familia była się zleciała jak stado kruków, ale władze miejscowe pomyślały o zabezpieczeniu domu, zastałem pokoje zapieczętowane. W pierwszej chwili boleść kazała o wszystkim zapomnieć; boleść głęboka, prawdziwie synowska; to rozstanie bez pożegnania zakrwawiało mi serce.

Po smutnych obrzędach otworzono mieszkanie. Tak wielki spadek budził powszechne zajęcie, nawet pomiędzy obcymi; wszyscy byli nadzwyczaj ciekawi ostatniej woli nieboszczyka, chociaż każdy, co znał przeszłe zdarzenia, już prawie nie miał wątpliwości i wszystkie oczy zwracały się na mnie.

Ja z owym listem w kieszeni siedłem zupełnie spokojny wśród kuzynków drżących i powarzonych; nie mogłem wstrzymać litośnego uśmiechu na widok gorączki, co ich ogarnęła, gdy przyłożono klucz do biurka. Przeszukano wszystkie szuflady i skrytki, a było ich dużo w staroświeckim kantorku, co to jest? Nie ma testamentu.

Zdziwiłem się; pomyślałem sobie: Musiał go przełożyć w inne miejsce. Przetrząsnięto wszystkie szafy, półki, komody; papierów było mnóstwo, ale testamentu ani śladu; nigdzie nawet ani świstka z wyrażeniem jakichkolwiek postanowień lub życzeń. Oczy krewnych zaczęły błyszczeć. Wtedy oświadczyłem głośno, jako wiem z pewnością, że testament został sporządzony, pokazałem na dowód list. Krewni pospuszczali głowy. Zaczęto szukać

²⁸aneuryzm — tętniak, choroba polegająca na miejscowym rozszerzeniu tętnicy; w XIX w. nazywano tak również różne dolegliwości nerwowe. [przypis edytorski]

po raz drugi, trzeci i dziesiąty. Urzędnicy ciągnęli śledztwo ze służby, opukiwali mury, nadpruwali meble, nigdzie nic. Po całych nie tylko godzinach, ale i dniach takiej pracy uznano, że testament albo nigdy nie istniał, albo został zniszczony przez nieboszczyka, który nie zdążył napisać nowego.

Mnie inne przypuszczenia przechodziły przez głowę; pomimo przedsięwziętych ostrożności, kto wie, czy w pierwszych godzinach nieszczęścia nie znalazła się ręka bliska albo przekupiona, która ów papier zręcznie uprzątnęła? Byłem prawie pewien, że tak się stać musiało, ale jakże poznać winowajcę, jakże mu zwłaszcza dowieść winy? Zaczął niezawodnie od spalenia dokumentu, i tak z garstką popiołu wionęła moja przyszłość.

Porażony, musiałem ustąpić przed rzeczywistością i nagle zmieniła się scena... W braku testamentu rodzeni synowcowie stawali się spadkobiercami, ja, który byłem krewnym nieboszczyka bardzo dalekim, jak to mówią, po dziesiątym kisielu, nie miałem odtąd żadnych, ale to żadnych praw. Z pierwszej roli schodziłem na ostatnią. Tryumf moich kuzynów był zupełny, zawrotny, przechodził ich marzenia. Toteż użyli go w całej rozciągłości, okrutnie, po grubiańsku. Wymówili mi długoletnią czułość dla starca jako pochlebstwo i rachubę, ale, wołali, na nic się nie zdała, tak zawsze kończą intryganci, stary poznał się na koniec na żmii, którą przytulał do serca, choć późno, jednak wymierzył sprawiedliwość, ruszyło go sumienie, i tym podobne obelgi, które spadały na mnie jakby grad kamieni. Osobiste krzywdy byłbym zniósł milcząco — krzywdzenie pamięci opiekuna wyprowadziło mnie ze wszelkich granic, spiorunowałem ich słowami oburzenia i wzgardy, i wyszedłem z podniesioną głową.

Ale co się stało, tego żadna duma i filozofia odrobić nie mogła. Spadkobiercy żartowali sobie z moich oburzeń, a co trzymali, to trzymali. Mnie z początku bolało tylko moralne poniżenie; po kilku dniach jednak inne troski także zaczęły zaglądać, rzeczywistość stanęła przede mną w swojej wstrętnej nagości. Z resztek pensji umieściłem się w najtańszej izdebce najtańszego hotelu i chciałem zostać rządcą dóbr jakich lub nawet pisarzem przy wójcie, ale miejsce, choćby najskromniejsze, trudno dostać na poczekaniu, a tymczasem żyć trzeba. Wprawdzie ludzie zajęli się mną gorliwiej, niż sądziłem. Przewrót w moim losie był tak dramatyczny, wzięcie się moich kuzynów takie nieszlachetne, że widok mego położenia wzruszał nawet obcych. Ach, i to współczucie było mi bolesne, bo słyszałem nieraz mówiących: „Czy to się godzi wychować chłopca na panicza, a potem go zostawić bez grosza? Mógł nie zapisać mu wszystkiego, ale przynajmniej częśćkę; to w każdym razie wielka niesprawiedliwość”. Bronilem opiekuna, jak mogłem, cóż, kiedy fakta²⁹ zaprzeczały.

Z kilku stron ofiarowano mi posady; były nadzwyczaj niskie, nie przystające do mego wychowania ani moich zwyczajów, przecież jedną przyjąłem, byle wziąć się do pracy, byle uciec z tych miejsc, gdzie moi nieprzyjaciele naigrawali się zwycięsko.

Miałem za dwa dni wsiąść na brykę i jechać, tymczasem odważyłem się raz jeszcze odwiedzić mieszkanie dobroczyńcy, te pokoje, gdzie wzrosłem, gdzie przed wyjazdem za granicę odebrałem jego błogosławieństwo, ach! któż mógł przewidzieć, że ostatnie? Szedłem nie bez powodu: synowcowie rozdzielili między siebie dobra, gotówkę i kosztowniejsze przedmioty, resztę mebli puszczali na licytację; ta reszta były to właśnie dla mnie najdroższe pamiątki, sprzęty z sypialnego pokoju; dla synowców żadnej nie miały wartości jako niemodne i zniszczone, bo starzec w innych pokojach utrzymując przepych, w swoim gabinecie nic nie lubił zmieniać. Nie miałem już pieniędzy na ocalenie chociażby jednej z tych pamiątek, ale pragnąłem przynajmniej się dowiedzieć, kto je ponabywa, aby za pierwszy zarobiony fundusz je wykupić.

Pewien, że spadkobiercy, tylko co wyrosli na wielkich panów, nie raczą być obecnymi przy licytacji, szedłem śmiało. Pokoje zastałem puściuteńkie. Biedne mebelki wyniesiono już na dziedziniec, który był pełen handlujących. W kącie o mur się oparłszy, wszystko żegnałem smutnymi oczami, zieloną sofę, gdzie niegdyś włoczyłem się na czworakach, łóżko o lwich nogach, przy którym tyle razy mówiłem wesoło dzień dobry, biurko z pozieleniałymi brązami, zwierciadło wiszące nad kominkiem, do którego w dzieciennych latach nie mogłem dosięgnąć, na wielkie moje utrapienie, tak że nieraz opiekun brał mię

²⁹fakta — dziś popr. forma M. lm: fakty. [przypis edytorski]

na ręce i podnosił, a ja ciesząc się do mego wizerunku, wyrabiałem różne figle i minki, które nadzwyczaj bawiły kochanego staruszka.

Właśnie to zwierciadło targował jakiś jegomość barczysty, o czarnych oczach i czarnych włosach, oliwkowy, zarosły, z typem wyraźnie południowym. Mówił też łamaną polszczyzną. Pomyślałem sobie: Pewnie wędrowny antykwariusz, i smutno mi się zrobiło na myśl, że nim potrafię co zarobić, już on może te sprzęty gdzie daleko wywiezie. Pod naciskiem tyłu wspomnień i żalu ła mimowolnie z oczu mi się puściła.

Cudzoziemiec spojrzał na mnie z uwagą, może odgadł, kim jestem, bo dziwna moja historia już z ust do ust krążyła. Przystąpił i grzecznie zdejmując kapelusz spytał: „Czy to pan jesteś ten sukcesor pokrzywdzony, ten wychowanek nieboszczyka?”

Skinieniem głowy dałem znak potwierdzający.

On ciągnął dalej: „Przepraszam za pytania może niedyskretne, ale o tej całej sprawie ludzie opowiadają takie rzeczy niepojęte, że trudno uwierzyć... Czy to prawda, że pan posiadasz list własnoręczny, gdzie nieboszczyk mówi o testamencie?”

Nowy znak potwierdzenia z mojej strony.

A on znowu: „Wiesz pan, że ja, na miejscu pańskim, podobny list mając w ręku, nie ustąpiłbym tak łatwo praw moich?”

„A cóż mam robić?” zapytałem z goryczą. Zaczepka wydawała mi się istotnie troszkę niedyskretną, jednak byłem taki samotny, taki opuszczony, że to gorące zajęcie się moją sprawą ze strony człowieka zupełnie mi obcego wzruszyło mnie i przejęło rodzajem wdzięczności. Na usilne jego nalegania wyjąłem ów list i pokazałem.

Przeczytawszy, powtarzał: „W biurku, aha, w biurku. Czy w tym samym biurku, co stoi przy studni? W tym samym, dobrze. A teraz uważnie pan słuchaj: przychodzi pytanie najdziwniejsze a zarazem najważniejsze, dla nas obu... To zwierciadło wisiało w tym samym pokoju, wszak prawda? Ale jak wisiało? Czy można było w nim widzieć biurko i osobę przy nim siedzącą?”

Na to zagadnienie przez chwilę się zawahałem, ale krótki namysł wystarczył, aby znaleźć stanowczą odpowiedź: biurko stało naprzeciw kominka, zwierciadło było ukośnie pochylone, odbijało całą przeciwną połowę pokoju, a więc i biurko z pisaćym. Przypomniała mi się nawet okoliczność jeszcze dowodniejsza: na kilka dni przed moim wyjazdem za granicę, poprawiając ogień na kominku, spojrzałem w lustro i spostrzegłem, że mój opiekun zdrzemnął się na fotelu za biurkiem, a w tej nieruchomości wydał mi się taki błady i zmieniony, że wtedy pierwszy raz na myśl mi przyszło, czy jeszcze żywym go zastanę?

Nieznamomy, usłyszał ten szczegół, klasnął w ręce i zawołał: *Bravo! bravissimo!*”

Wmieszał się między kupujących i pędząc bez namysłu ceny, zakupił biurko i zwierciadło; kazał oba nieść za sobą na tagach i do mnie rzekł: „Chodź pan ze mną.” Widząc moje wahanie, dodał: „Choćbyś pan przez tę godzinę spóźnienia miał stracić jaki wielki urząd albo rękę bogatej dziedziczki, jeszcze bym ci powiedział: pójdz ze mną, bo tu chodzi o szczęście, o honor, o sławę nieboszczyka. Zresztą, co to panu szkodzi? Pan już nie masz nic do stracenia.”

Ten ostatni argument najlepiej mnie przekonał, poszedłem ciekaw, co nabywca chce zrobić z moimi kochanymi pamiątkami?

Przez drogę wypytywał się jeszcze gorąco o moją przeszłość, a widząc, ile jestem zdziwiony tą nagłą życzliwością, stanął i uchylając kapelusza wyrzekł: „Przepraszam za uchybienie prawom towarzyskim, które w tak wyjątkowych okolicznościach wyszły mi z pamięci; ja wiem, kto pan jesteś, a pan dotąd nie wiesz mojego nazwiska; jestem profesor Hallucini, do usług pańskich.”

— A cóż za nieszczęśliwe nazwisko! — zawołałam ze śmiechem. — To jakby na żarty.

— Ja to samo pomyślałem, ale rozumie pani, że trudno przy pierwszym poznaniu czynić uwagi nad czyim nazwiskiem, zresztą już i czasu nie stało; zatrzymaliśmy się właśnie przed kamienicą, wcale niepozorną, gdzie w głębi trzeciego dziedzińca profesor zaprowadził mnie i tagarzy do małej oficynki. Była tam izba niewiele różna od tej, w której siedzimy; ściany obnażone, mebli prawie żadnych, tylko mnóstwo zwierciadeł pookrywanych czarnymi zaponami³⁰, a po kątach różne szkiełka i narzędzia. Gdy oba sprzęty

³⁰zapona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

ustawiono, zamknął drzwi na rygiel, wyjął i położył przede mną księgę, w której poznałem Ewangelię, i objawszy mię ognistym wzrokiem, zaczął mówić:

„Młodzieńcze! od pierwszego spojrzenia poznałem w tobie duszę niezłomną i szlachetną, taką właśnie, jakiej od dawna szukam. Dziwny zbieg wydarzeń sprawia, że może będę mógł ci oddać wielką, bardzo wielką przysługę... mówię »może« ,bo nie jestem pewien, czy drobne jakie okoliczności nie staną jeszcze na przeszkodzie? Posiadam sekret..., który dawniej uchodził za cudowny. Jego posiadacze umyślnie otaczali go tym urokiem, aby go zachować wyłącznie dla siebie. Nie ma w nim jednak nic nadprzyrodzonego; jest to zjawisko najczystszej nauki. Sekret polega na wywoływaniu ze zwierciadeł obrazu wszystkich osób i przedmiotów, co się przed ich szkłem przesunęły. Kiedy więc udało nam się ocalić to zwierciadło, może z niego się dowiemy, czy testament był istotnie w biurku, a jeżeli go już nie ma, zobaczymy, kto go wyjął i zabrał. W każdym razie więc czeka cię ogromna korzyść i niezmierna rozkosz, albo odzyskasz ten szacowny papier, a z nim cały majątek i całą świetną przyszłość, albo przynajmniej będziesz wiedział, kto ci ją wydarł i na kim się możesz zemścić.”

Chciałem odpowiedzieć, że nie pragnę zemsty, ale ten dziwny człowiek, jakby odgajając moje myśli, szybko przerwał:

„Nie mów, młodzieńcze, że zemsta cię nie pociąga, o! to wielka rozkosz, choćby dla możliwości przebaczenia. To nie sztuka nie mścić się, dopóki nie wiesz, kto cię skrzywdził, ale wiedzieć i nie szukać zemsty, a! to zasługa i wewnętrzne zadowolenie, które także coś warte, zwłaszcza kiedy nic nie kosztuje.”

Patrzyłem na niego ze zdumieniem, chcąc odgadnąć, czy mówi z przekonania, czy z ironii? Dwuznaczny jego uśmiech zostawiał mię w wątpliwości, a przy tym nie mogłem sobie wytłumaczyć, dlaczego ten nieznajomy tak zajmuje się moim losem, jaką w tym widzi dla siebie korzyść?

Szybko wyprowadził mię z niepokoju, mówiąc: „Ale nic darmo na tym świecie. Jesteśmy obaj w nędzy i możemy wzajemnie oddać sobie przysługę. Mam nadzieję, że jeżeli odzyskasz przeze mnie majątek, częścią jego choćby najmniejszą mię nagrodzisz, i tym darem wesprzesz moje naukowe prace. Jak ma być wielką ta nagroda, to już zostawiam twojej szlachetności.”

Z mimowolnym zapalem ścisnąłem jego rękę i przyrzekłem, że nie zawiedzie się na mnie, a nadzieja ma tak wszechwładny urok, że przez chwilę uniosłem się na jej skrzydłach i pomyślałem sobie: Rzeczywiście, jeżeli ten człowiek wróci mi majątek, stanie się moim dobroczyńcą. Po chwili uśmiechnąłem się z mojej łatwowierności, ale obietnicy nie cofałem, bo i po co? Obiecanka za obietankę.

Profesor ciągnął dalej: „Byłbym łatwo mógł bez twojej pomocy wykonać doświadczenie i papier znaleziony w tryumfie ci oddać. Ale jeżeli go kto zniszczył, nie mógłbym poznać škodnika, bo nie znam twojej rodziny. Chciałem więc, abyś na własne oczy widział przeszłość, a przy tym... dawno szukam adepta.”

„A teraz, dodał uroczyście, oto jest Ewangelia. Przysięgniesz mi, młodzieńcze, że cokolwiek zobaczysz i cokolwiek znajdziesz, nikomu nie opowiesz twoich widzeń, dopóki ja będę na tym świecie lub dopóki nie zwolnię cię z obietnicy. Przysięgniesz jeszcze, że nigdy nie będziesz podpatrywał mego sekretu ani sposobów, jakimi go się wykonywa³¹, że się zadowolnisz³² tą częścią tajemnicy, do której cię przypuszczę; kiedyś może wszystko ci odkryję... pierwszej muszę dobrze poznać twoją duszę, bo nie każda jest zdolna do zniesienia takich objawień. Tymczasem niech ci i to wystarcza, że ci nastęrczam korzyści doczesne.”

Byłem dziwnie opanowany jego przekonaniem, przy tym, według mądrych słów profesora, nie miałem nic do stracenia, próbować nic nie kosztowało, przysiągłem.

Hallucini klasnął w ręce, wołając: „No, teraz do dzieła. A najprzód zacznijmy od środków czysto ludzkich, może obejdziemy się bez cudów. Obejrzyjmy raz jeszcze biurko.”

Stał biedny kantorek przy drzwiach. Wysunąłem wszystkie szuflady i kryjówki; były puściutkie, papiery już powyrzucano. Hallucini machnął ręką, ustawił zwierciadło na sztalugach naprzeciw okna, trochę skośnie; na drugich sztalugach, daleko wyższych

³¹wykonywa — dziś popr. forma: wykonuje. [przypis edytorski]

³²zadowolnić — dziś popr.: zadowolić. [przypis edytorski]

i szerszych, rozwiesił sztukę czarnej materii podobnej do płachty, jaką tu panie widziecie, tylko tamta była świeższa, jakaś błyszcząca i chrzęszcząca jakby kitajka³³ angielska. W kilku miejscach miała małe okrągłe otwory podobne do okienek wycinanych w kortalnie³⁴ teatralnej. Professor to wszystko przesuwiał, nastawiał pod różnymi kątami, na koniec dobrze mu wypadło, cała przestrzeń szklana nic nie odbijała, tylko jednolite tło czarne.

Przypatrywałem się ze źle ukrytym uśmiechem i uczyniłem uwagę, że przynajmniej wypadłoby postawić inaczej biurko, bo stojąc za lustrem, na nic nam się nie przyda.

Hallucini roześmiał się wzgardliwie: „A to po co? Biurko mogłoby wcale nie stać w tym pokoju, mogłoby o sto mil od nas się znajdować, jeszcze je zobaczymy, i wiele innych rzeczy.”

Następnie wyjął z szafy swoją machinę cudotwórczą; bardzo ona skromnie wyglądała z pozoru, mogę paniom pokazać tę samą, a przynajmniej taką samą, bo parę ich posiadał.

Pan Cezary, zelektryzowany opowiadaniem, lekko wstał z fotelu i spomiędzy tysiącznych rupieci wyciągnął skrzynkę czarną, podobną do przyrządu fotografa albo do latarni czarnoksiężskiej³⁵.

— Patrzcie, panie, oto całe zakłęcie. Kto by powiedział, że tyle dziwów leży w tej ubogiej skrzynce? A były w niej, były!... Owego dnia Hallucini na małym stoliku przystawił ją do czarnej zasłony; tę wystającą lunetkę wsunął w jedno z okienek, a do innego otworu kazał mi oko przyłożyć. Pierw jednak dawał mi różne przestrogi, na przykład mówił: „Pamiętaj, że wszystko będzie nam się przedstawiało w stosunku *odwrotnym co do czasu*, i tak najprzód zobaczymy ubiegłe godziny dnia dzisiejszego, potem dzień wczorajszy, potem onegdajszy i coraz dalej, zawsze cofając się w przeszłość.” Przy tym ostrzegał mnie, abym się nie lękał, abym nad sobą panował. Na koniec kluczem nakręcił skrzynkę, jak się nakręca szkatułki grające, zawołał: „Baczność!” i puścił w ruch tajemny przyrząd, w którym coś zaczęło z lekka warczeć.

Patrzyłem przez otworek, dusząc się od śmiechu. Owe napomnienia, abym się nie lękał, jak najgorzej mi usposobiły, pewien byłem, że zobaczę jakieś straszidło na dzieci, jakąś prostą szarlatanerię.

Po chwili na czarnym tle kryształu zobaczyłem część pokoju, ale tę, co była za zwierciadłem, tę, którą zwierciadło odbijało, zanim profesor postawił je na sztalugach. Widziałem siebie rozmawiającego i... przysięgającego na księżde.

Dreszcz mię przeszedł.

Potem pokazały się jakieś ręce i twarze. Były to postacie tragarzy odbite w chwili, kiedy ustawiano lustro.

Później mignęło kilka ścian, sionek, zrobiło się nagle wielkie światło, zobaczyłem otwarte niebo i szereg kamienic, które przelatwały szybko jakby w oknie wagonu. „Co to jest?” pytałem. Profesor, który także patrzył przez jeden z otworów, odpowiedział, że to są wszystkie ulice, przez które niesiono za nami zwierciadło.

Jedną razę³⁶ pokazał mi dziedziniec z licytacją, nogi mnóstwa osób długo migotały, aż z nagłą znów nastąpiło inne oświetlenie i ujrzałem, ach! wystawcie sobie, co ujrzałem — pokój mego opiekuna.

Pod tym wrażeniem zaćmiło mi się w oczach, jednak rozgorączkowanie ciekawości przemogło, patrzyłem dalej: właśnie wynoszono meble; wkrótce znów odnalazłem je wszystkie na miejscu i nastąpiła spokojność, nikt nie wchodził, nikt nie wychodził, tylko przez okna widać było kilkakrotnie wschód i zachód słońca; nastawały pory zupełnej ciemności, były to noce, po których dni schodziły szybko, bo machina była puszczona wielkim pędem i wszystko w zwierciadle działo się daleko prędzej, niż działo się w rzeczywistości. Kilka razy o zmierzchu spostrzegłem jakiś słup szarawy, który się przesuwiał przez pokój; dla szybkości wizji nie mogłem dobrze go rozeznaczyć, zapytałem, co to jest?

³³kitajka — delikatna jedwabna tkanina. [przypis edytorski]

³⁴kortalnia — dziś popr.: kurtyna. [przypis edytorski]

³⁵latarnia czarnoksiężska a. latarnia magiczna — rodzaj projektora, znanego już w XVII w., rzutującego obrazy ze szklanych przeźroczy. [przypis edytorski]

³⁶jedną razę — dziś popr.: jednym razem; pewnego razu. [przypis edytorski]

Hallucini chwycił mię za rękę i odprowadzając do krzesła, powiedział: „To pewno złudzenie zmęczonego wzroku... nie trzeba za długo patrzeć... odpocznij, teraz się przesuwają dni bez wielkiego znaczenia, dni, w których dom stał pustkami.”

Ścisnąłem jego rękę, mówiąc: „Wielkie odkrycie! Olbrzymie odkrycie!” I siadłem porażony, złamany. Nie, najokropniejsze strasydła nie mogłyby mocniej mię przerazić niż takie wierne, proste powtórzenie przeszłości. Siedziałem długo, z twarzą ukrytą w rękach, z myślami wirującymi w tysiącu przewidywań i przypuszczeń.

Nagle profesor zawołał: „Teraz patrz!” Skoczyłem i spostrzegłem scenę, w której moi kuzynowie natrzęsali się ze mnie. Obelgi nie dochodziły moich uszu, ale z gestów poznawałem, patrzyłem na samego siebie jakby na obcą osobę, dziwując się dumie moich ruchów i spokojowi mojej twarzy, bo ja jeden wiedziałem, co się wówczas działo w mojej duszy. Cały ów ohydny dramat odegrał się po raz drugi przede mną, tylko jakiś dziwny, nielogiczny, bo w odwrotnym porządku chwil. Widziałem obszukiwanie mebli, różne pomniejsze ruchy, potem zrobiło się ciemno, tylko przez szpary zamkniętych okiennic wpadał czasem ukośny promień; weszliśmy w te dni, kiedy pokoje stały zapieczętowane.

Jedną razą coś błysnęło — to gromnice... żałobnicy wnoszą w otwartej trumnie zwłoki. To on! to mój opiekun! I znowu widzę te zwłoki, ale na łożu, świece w nogach się palą, ksiądz siedzi u wezglowia, a służba i kilka osób z rodziny kręci się w pokoju. Profesor woła: „Teraz uważajmy, bo jeżeli kiedy skradziono owo pismo, to w tym dniu.”

Ja jednak nie mogłem ciągle patrzeć na biurko, inny przedmiot odciągał moje oczy, rzecz straszna i zachwycająca... ale o tym dziś wolę nie mówić... sam wówczas nie dowiedziałem oczom, a z wielkiego wrażenia nawet pytać nie śmiałem.

Przyszła chwila, w której okrzyk straszny wydarł mi się z piersi... zobaczyłem nieboszczyka nie na łożu, ale na podłodze, i to wpół żywego, pasującego się z cierpieniem... była to chwila nagłej śmierci.

Widziałem popłoch w domu, sfrasowanych lekarzy, cały próżny ratunek. A potem... widzę mego opiekuna żywego! Siedzi przy stoliku, pije kawę z wesolą twarzą; ach! to owo ostatnie śniadanie, po którym padł bez duszy. Na ten widok łzy mi się z oczu puściły, byłbym chciał rzucić się do zwierciadła i całować nogi dobroczyńcy; nagle w przyrządzie coś trzasnęło, wszystko w zwierciadle znikło i samo czarne tło zostało.

Profesor objaśnił, że sprężyna wyszła i trzeba cały przyrząd na nowo nastawić. Ja ledwo rozumiałem, co do mnie mówił; rzuciłem się w jego objęcia, całowałem go po ramionach, wołając: „O wielki człowieku! o mój dobrodzieju!... Choćbyś mi już nic więcej w życiu nie wyświadczył, nigdy ci nie zapomnę tej chwili. Przez ciebie widziałem raz jeszcze tego, co był mi ojcem! I to żywym!”

Chodziłem po pokoju, nie wiedząc ani co mówię, ani co wyrabiam. Hallucini, widząc mię tak wzburzonym, nie nastawił drugi raz przyrządu, tym bardziej że się już zmierzchało. Zmartwiła mię okropnie ta przeszkoda, byłbym chciał dzień i noc patrzeć, błagałem, czy nie można użyć lamp i przy nich dalej badać? Profesor mi odpowiedział, że można, że nieraz próbował doświadczeń przy wielkim sztucznym oświetleniu, ale obrazy wówczas bywały mniej pewne, a zdarzenia, dodał, które chcemy widzieć, są nadto ważnymi, aby je puszczać na traf niewyraźnego światła.”

„Przenocuj, mówił, u mnie, teraz noce krótkie, jak tylko zaczniesz świtać, nastawimy przyrząd.”

Chcąc nie chcąc przystałem. Obaj też potrzebowaliśmy wytchnienia. Od ciągłego schylania się i nieruchomego wpatrywania kości nam zmartwiały. Czczość niewymowna przypominała, żeśmy cały dzień pościli. Mnie się zdawało, że po takich wzruszeniach nic w usta wziąć nie potrafię; tymczasem kiedy gospodarz ze swojej odrapanej szafki wydobył wieczerzę, odnalazłem nie tylko głód, ale najzdrowszy apetyt, który mię był opuścił od chwili pogrzebu i owej sceny z kuzynami. Byłem podniecony, rozradowany, zdawało mi się, że opiekun mój chyba nie umarł. Hallucini całymi piersiami używał swego tryumfu, uśmiechał się tajemniczo, a przy tym częstował mię ze znanstwem wytrawnego smakosza. Istotnie, przy nędzy zewsząd wyglądającej nie mogłem się wydziwić zbytkowności jedzenia: był zimny pasztet ze zwierzyny, parę butelek wyborowego wina, jakieś sery, ja-

kieś konfekt³⁷ wykwentne. Po sutym posiłku dobył fajki i paradny sułtański tytuń³⁸; kilka nocnych godzin przesiedzieliśmy kurząc i gadając, a było o czym! Z całego dnia badań profesor wyciągał ostateczny wniosek, że testament nie został skradzionym, gdyż we wszystkich obrazach, co się przed nami przesunęły, nie widzieliśmy, ażeby ktokolwiek dobierał się do biurka ani płądrował po mieszkaniu, „chyba, dodawał, że go jeszcze za życia testatora podchwyciono. To zobaczymy jutro.”

Jak tylko rozwidniało, otworzył skrzynkę, coś do niej dosypywał, coś dolewał, nakręcił przyrząd; ja się rzuciłem do okienka i znów stanął przede mną ukochany pokój.

Cały ten dzień przeżyłem z moim opiekunem, widziałem go zdrowym, wesołym, studiowałem jego życie domowe przez ciąg ostatnich tygodni, jakie na tym świecie przebył. Tak, w jednym dniu przelecieliśmy całe tygodnie; od naszej woli zależało skracanie albo rozszerzanie czasu; w chwilach ważnych profesor zwalniał bieg sprężyny, wtedy obrazy przesunęły się z wolna, trwały długo, może nawet dłużej niż w rzeczywistości. Ale było wiele godzin nie przedstawiających nic a nic ciekawego; na przykład ile razy gospodarz wyszedł na miasto, pokój przez kilka godzin stał pustkami; ile razy słońce wschodziło, popędzaliśmy bieg maszyny co żywo, aby prędzej noc przeskoczyć i doczekać dnia poprzedzającego. Te wschody i zachody słońca liczyłem starannie, dzięki czemu łatwo mogłem wiedzieć, w jakim dniu przeszłości się znajduję. Z kolei przedstawił się dzień, w którym był pisany ostatni list do mnie; rzeczywiście, widziałem, jak starzec pisał, a że to było do mnie, o tym nie mogłem wątpić, bo na ćwiartce dostrzegłem tenże sam deseń i też samą dewizę, jakie z szacownym listem jeszcze dotąd miałem w kieszeni. Nikt nie może sobie wyobrazić, jak jest wzruszającym widok drogiej osoby tak wskrzeszonej w swoich najdrobniejszych czynnościach, a zwłaszcza też w chwilach, kiedy myślała o nas i zajmowała się nami! Widziałem, jak co wieczór się rozbierał i długo w łóżku czytał, jak się gorąco modlił, jak się schodzili do niego starzy znajomi, których z wykrzykiem poznawałem, jak co rano szedł do zwierciadła dla zawiązania krawatu; ach! kiedy patrzył w lustro, mnie się zdawało, że on patrzy na mnie... wtedy łkanie ścisnęło mi piersi i mówiłem do Hallucinięgo: „Ach! ja na miejscu pana objawiłbym całemu światu moje odkrycie. Ileż rozkoszy dla tęskniących, ileż pociech dla osieroconych!” A mój profesor uśmiechał się jakimś uśmiechem, który mi nie trafiał do serca.

Według wszelkich obrachowań zbliżaliśmy się już do chwili, w której musiał być pisany testament, bo list wyraźnie mówił: „W tych czasach byłem niezdrow”... Ale znowu nas wieczór zaskoczył i musieliśmy najważniejsze widowisko odłożyć do jutra. Już też i okropne znużenie odejmowało nam przytomność, teraz potrzebniejszą niż kiedykolwiek. Mój towarzysz posłał po ciepłą strawę, ja rzuciłem się na starą sofę i sen kamienny mię zmorzył.

Pamiętam, że kiedy promień słońca prosto bijący w oczy obudził mię rano, długo nie mogłem zrozumieć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, bo też istotnie wszystko, co zaszło od mego powrotu z zagranicy, wyglądało na ciężką zморę, a te dwa dni ostatnie na sen zaczarowany.

Ale już profesor nakręcał przyrząd. Przyłożyłem oko do otworu, spostrzegłem zmiany w postaci i w zwyczajach mego opiekuna; widocznie był niezdrow; rano się nie ubierał, cały dzień chodził w szlafroku; widzieliśmy, jak zażywał lekarstwa.

Nagle profesor krzyknął: „Oho! oto coś ciekawego!” Szybkim rzutem zatrzymał bieg sprężyny, ruch obrazów także się zatrzymał w zwierciadle i ostatni obraz pozostał nieruchomy. Co przedstawiał, tego nikt by się nie domyślił, choćby sto lat myślał...

Nieboszczyk stał przy biurku; przed nim była szeroko wysunięta środkowa szuflada; jedną ręką trzymał papier zapieczętowany, drugą przyciskał małą lwią główkę znajdującą się między brązami, a pod tym naciśnięciem dno szufladki odsłaniało.

Hallucini krzyknął: „Podwójne dno! Podwójne dno! Chodźmy sprawdzić!”

Rzuciliśmy się do biurka, drżącą ręką wyciągnąłem ową szufladkę, którą dawniej sto razy na próżno wyciągałem, naciskam lwią główkę, wystawcie sobie... rzeczywiście, fałszywe dno odsłakuje, a na drugim, prawdziwym dnie spostrzegamy świeżuchną, niektkniętą kopertę z podpisem: *Do rąk Cezarego po mojej śmierci.*

³⁷konfekt (daw., z niem.) — słodycze. [przypis edytorski]

³⁸tytuń — dziś popr.: tytoń. [przypis edytorski]

Gdyby nie zwierciadlane objawienie, byłby ten papier leżał tam do skończenia świata, bo skrytka była wykonana z misternością, jaką się spotyka tylko w meblach z osiemnastego wieku, z owych czasów Regencji, Masonów i Cagliostro, kiedy ludzie mieli tyle sekretów do przechowywania. Była szeroka na całą szerokość szufladki, ale bardzo płaska i wybornie dopasowana. Nikt o niej nie wiedział oprócz nieboszczyka. Miał on na pewno zamiar mnie jednemu ją odkryć, bo nic innego nie mogły znaczyć te dziwne wyrazy listu, które wówczas dopiero stały się dla mnie jasnymi: *Testament schowałem do biurka, pokażę ci, jak wrócisz*. Śmierć niespodziana wszystko pomieszała.

Ujrawszy błogosławiony papier, rzuciłem się Halluciniemu na szyję, ścisnąłem go, nazywając moim wybawicielem, wyznając, że do śmierci nie potrafię mu się odsłużyć.

Nie odpowiedział mi uściskiem tak szczerym, na jaki zasługiwało moje głębokie rozczulenie, odepchnął mnie nawet lekko i z sardonicznym uśmiechem wyrzekł: „Dobrze... zobaczmy, jak długo potrwa ta wdzięczność.”

Do żywego tknięty, zawolałem: „Tak, zobaczmy! Przyjmuję wyzwanie.”

W takiej chwili trudno było się na niego obrażać, ale uczułem ze smutkiem, że to jakieś serce, do którego się nie dopukam, wyższe od serc zwykłych, a może niższe?

Prędko jednak rozproszył moje zasmucenie nowym dowodem życzliwości; ten człowiek myślał o wszystkim.

„Czy wiesz, spytał, co teraz mamy najpilniejszego do zrobienia? Oto na słowo sprzedaję ci to biurko razem z tym papierem; przy pierwszych pieniądzach zapłacisz mi za nie, ile zechcesz. Teraz każ je do siebie zanieść, opowiedz wszystkim, że je na licytacji zakupiłeś, że *przypadkiem* znalazłeś skrytkę, i tak wszystko najprościej, najprozaiczniej w świecie przed ludźmi się wytłumaczy.”

Uśluhałem go ślepo. Za powrotem do siebie przed bramą spostrzegłem konie pocztowe i dopiero wtedy mi się przypomniało, że tego dnia miałem wyjeżdżać na wieś; odesłałem konie z uśmiechem; niedoszły rządcą już ich nie potrzebował. Gospodarz hotelu przyjął mnie z okrzykami radości: od półtrzecia dnia jak zniknąłem, zachodził w głowę i chciał już policję poruszać w przekonaniu, że się utopił lub zastrzelił.

Testament zaniósłem do władz sądowych, gdzie go odpieczętowano i wobec familii odczytano. Przyszła na mnie kolej tryumfu, i to podwójnie słodkiego, bo nie tylko dla korzyści materialnych, ale dla stokroć droższej rehabilitacji moralnej. Treść rozporządzeń i wyrazy błogosławieństwa zawarte w pośmiertnym piśmie świadczyły o przywiązaniu, jakie opiekun do końca mi zachował, zaprzeczały nazwom „żmii, niewdzięcznika, intryganta”, którymi świat próbował mnie napiętnować.

Moja historia narobiła ogromnej wrzawy; teraz mnie na rękach noszono, jak zwykle tego, któremu się powiedzie. Spiorunowani kuzynkowie chcieli zaprzeczyć testamentu, ale się to nie udało, był cały własnoręczny, opatrzone we wszelkie formuły ostrożności. Musieli wszystko zwrócić. Widząc ich rozpacz przechodzącą ludzkie pojęcie, wydzieliłem im ze spadku więcej, niż testament wskazywał, ale i to ustępstwo ich nie rozbroiło. Ach! pamiętam, jak na widok owej kryjówki, którą wszystkim pokazywałem, pozielenieli i usta do krwi przygryźli; nie mogli sobie darować, że owo nieocenione biurko puścili na licytację. Tak nieposzanowanie pamiątek zburzyło ich szczęście, o mnie zaś mówiono po świecie, że Bóg mnie wynagrodził za przywiązanie, jakie zachowałem dla nieboszczyka i jego wspomnień, pomimo wszelkich pozorów pokrzywdzenia.

Tu nie mogłam się powstrzymać, aby nie przerwać panu Cezaremu:

— Ach, panie, cóż to za pyszna historia! Cóż za cudowne odkrycie!

— To prawda — poparła pani Marta, która zdawała się nie mniej ode mnie zachwyconą. Historia wzruszająca a razem budująca; wyraźnie Pan Bóg chciał wybawić sierotę i nie żałował środków nieledwie nadziemskich. Widzę, że ten wynalazek ze zwierciadłami może się nieraz przydać w niejednym kłopotcie. Ale na miłość boską, powiedź mi pan, jakim sposobem, dobiwszy się milionów, dziś znowu popadłeś w tak oplakane położenie?

— Bóg widzi, że nie z mojej winy. Nie mam żadnego nadużycia, żadnej nawet zbyt-
kownej fantazji na sumieniu. A jednak pokus nie brakowało. W dwudziestym trzecim roku życia ujrzałem się nagle panem ogromnej fortuny. Świat mi zakwitał samymi różami i laurami. Kobiety na mnie spoglądały wzrokiem, w którym łatwo było wyczytać, że gdzie zechcę, tam znajdę wzajemność i tryumf. Mężczyźni zaciągali mnie na pałacy grunt poli-

Testament

Pokusa

tycznej areny; byłbym znalazł bez trudności dosyć życzliwych głosów, aby wejść pomiędzy posłów mojej prowincji; czułem w sobie dość bystrości i mocy, aby wdać się w walkę społeczną i stanąć u samego źródła wypadków, skąd nieprzerwanie bije strumień historii. Byli inni, co chcieli mię zaciągnąć do nieskończonej orgii, do tych olśniewających rajów Mahometa, które nasz wiek tak wydoskonalił, że Mahomet sam by ich nie poznał, a moja młodzieńcza krew na te wezwania odpowiadała burzliwym kipieniem. Wszystkie złote genjusze i różowe szatanki życia otoczyły mię zawrotnym kręgiem, a ja jednak wszystkie odepchnąłem, wyrwałem się z koła żyjących i usiadłem sam na ustroniu, bo wąż wiadomości złego i dobrego ukąsił mię pod samym sercem.

Od chwili, jak przeszłość w zwierciadle³⁹ stanęła przede mną żywa, obecność⁴⁰ straciła dla mnie urok. Po co miałem zamykać się w kółku mego jednego żywota, kiedy mogłem przeżywać tysiączne żywoty, nagromadzać lata na tygodnie? Po co mi było męczyć się w maleńkich pracach jednego pokolenia, kiedy mogłem wywołać całe szeregi pokoleń, kazać im przed sobą działać, bawić się, pracować, kochać się, płakać, rodzić się i umierać? Wartoż było zwracać uwagę na ten jeden punkcik dziejów, który nazywamy „naszym czasem”, kiedy mogłem studiować wieki, i to nie według mdłych przypuszczeń albo przeznaczonych opowiadań, ale po prostu chwytając je na gorącym uczynku, z ich kostiumami, ruchami niepodobnymi do dzisiejszych, z tysiącem szczegółów nie znanych najmożolniejszym badaczom? Ręczę wam, panie, że jedno zobaczenie kilku takich obrazów lepsze daje pojęcie o dawnych czasach niż całe biblioteki pisane z posłuchu.

— O, rzeczywiście! — zawołałam z rodzajem żalostnej zazdrości. — Dla poety na przykład, chcącego malować przeszłość, a toż prawdziwe objawienia! Co za szkoda, co za okropna szkoda, że tak późno zaczęto robić zwierciadła! Gdyby można w podobny sposób odnaleźć domowe i towarzyskie życie Greków, Rzymian, Egipcjan, cóż by to za nowe światy się odkryły! Ale to już wszystko przepadło; ich metalowe zwierciadła były małe i niewyraźne, wątpię, aby się na co przydały...

Pan Cezary błysnął dziwnym spojrzeniem i odrzekł z uśmiechem:

— Nigdy nie można twierdzić, aby coś bezpowrotnie przepadło. Jeżeli nasz wynalazek zostanie posunięty do swoich ostatecznych wyników, może i na te niedostatki znajdzie się lekarstwo. Tymczasem bądź pani pewna, że samo wybadanie kilku ostatnich wieków już dostarczy niemałej roboty kilku innym wiekom, tym bardziej że będzie trzeba ciągle doganiać przeszłość, która ciągle przyrasta. Nikt sobie nie wystawia, jak podobne widowisko zmienia nasz pogląd na życie i historię; z początku rozgorączkowują⁴¹ i przeraża, potem nagle uspokaja. Człowiek widzi, jak ludzie jedni po drugich uwijają się za drobnostkami, jak tysiące godzin tracą w beczynności lub fałszywych zabiegach, jak wszyscy po kolei próbują tych samych rozkoszy i omamień, wszyscy wpadają w te same błędy i rozczarowania, ach! i wszyscy się dziwią, kiedy przychodzi im umierać. Człowiek widzi to i uśmiecha się litośnie. Ale dłużej patrząc, dostrzega, że każdy żywot, choćby z pozoru najmarniejszy, wydaje kiedyś niespodziane owoce, że samo złe wychodzi na dobre, człowiek zaczyna pojmować, że wszystko tworzy łańcuch przyczyn i skutków, gdzie snuje się jakaś treść logiczna. A jeżeli jeszcze dłużej popatrzy, robi jeszcze dziwniejsze odkrycie: spostrzega, że co brał za skutki, to znów przeradza się w przyczyny, że tu są same początki, a nigdzie nie widać końca, i że cały ten łańcuch to znowu jedno tylko ogniwo innego, większego łańcucha. Natenczas dusza nagle się uspokaja, zasiada na obłokach bezstronności i zaczyna patrzeć już ze stanowiska nie ludzkiego, ale... nieledwie boskiego.

Dla mnie długie lata przeszły w takim usposobieniu. Odebrawszy spadek, urządziłem sobie życie wygodnie i dostatnio, ale bardzo samotnie. Profesor przeniósł jedną ze swoich cudownych machin do mego mieszkania i pozwolił mi jej używać. Korzystając z pozwolenia, całe dni i wieczory spędzałem przed zwierciadłami.

A najprzód⁴² wróciłem się jeszcze do owej pierwszej, nieoszacowanej szyby, przez którą mogłem patrzeć na przeszłość dobroczyńcy i na moją własną; to jedno studium zajęło mi długie miesiące. Widziałem samego siebie przed wyjazdem za granicę, w mundurku studenckim, potem coraz mniejszym dzieckiem, doszedłem do owych czasów, kiedy

Historia

Wspomnienia

³⁹zwierciadło — dziś popr. forma Msc. lp: zwierciadło. [przypis edytorski]

⁴⁰obecność — tu: teraźniejszość. [przypis edytorski]

⁴¹rozgorączkowują — dziś popr.: rozgorączkowuje. [przypis edytorski]

⁴²najprzód — dziś popr.: najpierw; najpierw. [przypis edytorski]

opiekun podnosił mię ku zwierciadłu, widziałem własne minki i figle, i jego ojcowską radość, a wtedy porywało mię szlochanie... O, ileż to obrazów dawno zatartych w pamięci wystąpiło na mój niezmierny podziw! Ile łez i uciech, których już zrozumieć nie mogłem! Całe życie przeżywałem po raz drugi, ale z innymi uczuciami, jakbym już z innego świata na nie patrzył. Cóż to dopiero będzie, kiedy spoza grobu spojrzymy na ziemską przeszłość! Na koniec pojawił się dzień, w którym pierwszy raz przyniesiono mię tu niemowlęciem; widziałem opiekuna płaczącego nade mną, a siebie wyciągającego rączki do szmaragdowej szpilki, jaką miał w halsztuku⁴³; tę szpilkę zawsze lubiłem niesłuchanie i nie mogłem sobie dawniej wytłumaczyć mojego do niej pociągu; teraz go pojąłem: był to pierwszy przedmiot, co mi się w tym domu podobał. Tu się skończyła moja przeszłość, ale przeszłość opiekuna szła dalej; widziałem go młodzieńcem, prześlicznym, rozmarzonym, w kapeluszu *à la Bolivar*. Podpatrzyłem rozdzierającą przygodę jego serca, w skutku której do śmierci został kawalerem. Potem i on przedstawił mi się dzieckiem, poznałem jego rodziców, byłem na ich weselu, gdzie w strojach *à l'Empire* tańczono Girlandy i Montferriny. Potem zwierciadło odbiło mieszkanie rodziców panny młodej, była to sala jakiegoś dworu, zapewne wiejskiego, bo w oknach zielenił się bujny ogród i widniała drewniana dzwonnica kościołka. Tam widziałem staropolskie uczty, czasem nawet pokazywały się kontusze. Po niejakej przerwie zobaczyłem wewnątrz staroświeckiego sklepu, nieco później ogromne sale fabryki zwierciadeł i nagle wszystko zgasło; zwierciadło, wyczerpawszy się aż do chwili swojego odlewu, już nie miało co pokazywać.

Z początku wielki żal mię ogarnął, nie mogłem się po tym zwierciadle odtęsknić, wkrótce jednak inne mię pocieszyły. Zakupywałem ich mnóstwo, z różnych fabryk i różnych epok; nie były to już dla mnie wspomnienia osobiste ani rodzinne, ale za to co za mozaika scen zachwycających lub ohydnych, nieraz tak zagadkowych, że całe noce spać nie mogłem, póki nie schwyciłem ich znaczenia!

Najczęściej przedstawiały się mieszkania bogatych, bo te najczęściej posiadają zwierciadeł. Czasem jednak z najśliczniejszego buduaru widok nagle się przenosił do izby lichwiarza, gdzie biedny sprzęt długo na wykupno czekał. Nabywałem także lustra hotelowe, restauracyjne — te były istnymi kalejdoskopami, pełnymi typów niezmiernie ciekawych, ale mniej mię zajmowały od zwierciadeł familijnych, rzewnie opowiadających dzieje kilku pokoleń. Co tam widziałem tragedii głuchych a rozdzierających! Co kapitalnych komedijek! Autorowie⁴⁴ by mię po rękach całowali, gdybym chciał im ten róg obfitości wysypać.

Kiedyś też przysła mi fantazja kupić małe czworograniaste zwierciadelko o drewnianych ramkach, które w chałupie służyło dziewczęciu wiejskiemu; spodziewałem się najwdzięczniejszej sielanki; prawda, spostrzegłem kilka szczerych uśmiechów, ale jeszcze więcej kułaków po chacie migotających i czerwonych oczu obcieranych fartuchem.

Najlepiej lubiłem zwierciadła wielkich rozmiarów, od stropów do posadzki; w tych mogłem widzieć całe postaci, całe nawet tłumy, i to najczęściej wesołe, bo podobne ozdoby spotykają się tylko po pałacach, i to zwykle w części przeznaczonych do wspaniałych przyjęć. Przed taką kryształową ścianą zasiadałem jakby przed teatrem, gdzie za podniesieniem zakłętej zasłony roztwierał się szereg sal błyszczących od fresków i złota, przedłużonych w tajemnicze oranżerie albo przejryste, z marmuru wycinane krużganki. Nie zliczę, ile w tych salach widziałem balów, maskarad, uroczystości dworskich i wszechnarodowych. Nieraz w moim pokoju słońce przyświecało, a tam krocie lamp i świeczników jarzyły się na tle nocnym, i sam nie byłem pewien, gdzie prawda. Sala z wolna zapełniała się tłumem, z którego strojów zgadywałem, w jaką chwilę dziejową wchodzi: raz były długie, medycyjskie staniki, w trójkąt nasadzone klejnotami; inną razą misternie dziergane holenderskie kołnierze i skrzydlate kapelusze z piórami; tu głowy pudrowane, twarze jakby porcelanowe, gdzie indziej mitologiczne półubrania z epoki Dyrektoriatu; raz nawet, na jednym z tych balów, poznałem, wyraźnie poznałem Robespiera, stał cały wąski i wyblakły, jakby jakiś Mefistofeles, co dostał hipokondrii⁴⁵, oparty o kominek, rozmawiał z kobietą przecudnej piękności; składał ręce, usta musiały szeptać gorące błagania, ale ta gorącość przejmowała mię zimnem; rude włosy jego nieco podnosiły się jakby płomy-

⁴³*halsztuk* (daw.) — krawat a. kokarda z apaszki pod szyją. [przypis edytorski]

⁴⁴*autorowie* — dziś popr. forma M. lm: autorzy. [przypis edytorski]

⁴⁵*hipokondria* — dziś: hipochondria. [przypis edytorski]

ki, z oczu myślałem, że krew mu wytryśnie. I owa piękność musiała doznawać podobnego wrażenia, ramiona jej drgały jak od mrozu, a usta zacisnęły się arystokratyczną wzdargą; on pewnie prosił o kwiatek z jej ręki, bo nagle swój bukiet cisnęła do ognia w kominku i odeszła, spoglądając przez ramię z ironią. Ach, może to była owa księżna polska, co odrzuciwszy miłość ludowego Jowisza, poszła prosto z balu do więzienia, a z więzienia pod gilotynę?

Pani Marta, cała wychylona od baczego słuchania, powtarzała:

— Proszę... no proszę...

Pan Cezary, którego wspomnienia tak silnie ożywiły, że nawet jego żółta cera nabiegła różowością, uśmiechnął się po młodzieńczemu i ciągnął dalej:

— Oj! co ja podpatrzyłem scen godnych Romea i Julietty, co wykradzionych dowodów czułości! Gdyby ci ludzie wiedzieli, że zwierciadła umieją mówić, byłiby może...

Tu przerwał, po czym kłaniając się figlarnie, dodał:

— A! i panie byłybyście w ogóle ostrożniejsze. Bo już niczego więcej nie napatrzyłem się, jak postaci damskich, i to... w niebezpiecznych godzinach toalety, której zwykłym powiornikiem bywa zwierciadło. Nieraz dziwiono się, że prowadzę życie pustelnicze, że mało uczęszczam na zebrania, że wybrednie patrzę na kobiety. Mogłem wybredzać, kiedy krocie, tysiące ich na mój rozkaz przeciągały przede mną. Od aktorki do królowej, od prababek do prawnuczek, miałem olbrzymią skalę porównania. Były między nimi takie zachwycające, o jakich dzisiejsze pokolenia ani pojęcia nie mają. Nieraz już serce zaczynało mi pukać... zamęt się robił w myślach... ale kiedy wspomniałem, że ta boska postać, co przede mną stoi, gdzieś już pod ziemią w proch się rozsypała, wtedy wszystkie ognie nagle we mnie gasły, patrzyłem z rodzajem uszanowania podobnym do przestachu i zdawało mi się, że w każdej cudnej twarzy jakby za różową mgłą widzę trupią głowę.

A przy tym... robiłem nieraz nieprzyjemne odkrycia. Ilem ja się napatrzył fałszowanych wdzięków, owych białości i rumieńców, co się dobywają z puszek, owych włosów, co się biorą z pudelka, aj! byłoby czego rozczarować najfanatyczniejszych czcicieli płci pięknej. A jeszcze gorsze niespodzianki duchowe: niejedna z tych piękności, co miała gołębią twarzyczkę i w salonach pewnie słynęła ze słodczy, przed gotownią umiała rozżłościć się na pokojówkę albo i na mężulka jak istna Ksantypa, a wtedy, wierzcie mi, panie, brzydła nie do poznania.

Czasem też trafiały się odkrycia innego rodzaju: raz wynalazłem zwierciadło, przed którym Albrecht Dürer, mając lat trzynaście, wykonał swój własny portret, sławny ów portret, co dziś jest perłą Galerii Albertyńskiej. Inną razą nabyłem wielkie lustro, które długo wisiało w sali gry w Hamburgu; tam toż dopiero napatrzyłem się natury ludzkiej w jej najspiczastszych za rysach! Hogartowskie⁴⁶ album⁴⁷. Od granitu do wulkanu, od tygrysa do węża, od Baltazara do Roberta Macaira, wszystkie gatunki graczów⁴⁸ przeciągały przede mną. Jeden z nich zastrzelił się w moich oczach... a ja płakałem nad nim, bo młodziuchny był i przez jego oblicze przeglądał jeszcze jego anioł stróż przerażony.

Ach, widziałem niejedno samobójstwo... Było małe, nadpęknięte zwierciadło, co mi opowiedziało życie biednej szwaczki, może paryżanki, bo miała okrągły czepeczek i czarny fartuszek. W oknie wisiała klatka z kanarkami. Pocziwa dziewczynina musiała piekło przejść na ziemi... Oplakany koniec tego głuchego dramatu rozegrał się przede mną: w wieczór nałożyła fajerkę... tegoż dnia, rano, kanarki darowała sąsiadce, pewnie z obawy, aby się razem z nią nie zaczadziły. Ta litość nad ptaszyną maluje całą jej duszę; za samą tę litość nie wątpię, że dziś ma skrzydła.

Bywały i weselsze widowiska. Ach, jak szczęśliwie, że sobie przypominam! Byłbym ominął najciekawsze. Wystawcie sobie, panie, pewnego razu dostało się do moich rąk lustro wcale niepozorne, o wytartych mahoniowych ramach, a w nim zobaczyłem — kogo? Schillera⁴⁹.

Tu ja wyciągnęłam szyję, wołając:

⁴⁶Hogarth, William (1697–1764) — ang. malarz, twórca cykli satyrycznych, ukazujących sceny obyczajowe, np. *Kariera rozpustnika* czy *Modne małżeństwo*. [przypis edytorski]

⁴⁷Hogartowskie album — słowo album miało w polszczyźnie XIX w. rodzaj nijaki. [przypis edytorski]

⁴⁸graczów — dziś popr. forma D. lm: graczy. [przypis edytorski]

⁴⁹Schiller, Johann Christoph Friedrich von (1759–1805) — niemiecki poeta i filozof okresu romantyzmu, autor m.in. *Ody do radości*. [przypis edytorski]

Lustro

Uroda, Kobieta

Samobójstwo

— Czy być może? Ach, mówże nam pan o nim, jak wyglądał? Co robił?

— Wyglądał bardzo mizernie; pewnie to już była ostatnia epoka jego życia, zapowiedź śmiertelnej choroby widniała wyraźnie w rysach wydłużonych i zwisłych ramionach, przecież każdy, co go zna z portretu, zawołałby od razu: „To Schiller!” Właściwy jego pokój musiał być gdzie indziej, bo tu tylko czasem jego postać się przesuwała; raz jednak widziałem, jak prawie całą noc pisał, a nawet wzięwszy mocną lornetkę, potrafiłem doczytać kilkanaście wyrazów, których osnowa, na wspak odwrócona, przedstawiała mi urywek z *Dymitra*, co był, jak wiadomo, jego ostatnim, nigdy nie dokończonym dziełem.

— Powiedźże mi pan — zapytałam — jak on pisał? Czy szybko, z rozpędem natchnienia, czy też z długimi namysłami?

— O! nie tylko z namysłami, ale z okropną pracą, z oporem, czasem nieledwie z niechęcią. Nieraz szczyplutką ręką w stół uderzył albo syknął jak osoba, co nie może rozwikłać nieznosnego supła. Często wstawał, chodził po pokoju z założonymi w tył rękami, objaśniał świece (*notabene* łojowe), popijał z kufelka coś żółtego, może swój ulubiony ponczyk, a może już jakie ziółko? Raz weszła do niego młoda kobieta, bardzo ładna, pewnie jego żona, przyniosła mu świeżą szklanicę napoju, pogadali, uściskała go i poszła, a mój Schiller znów do roboty. Nad jedną stronicą⁵⁰ siedział parę godzin; jak zauważyłem, była pewna linia, którą ze sześć razy przemazywał i przerabiał.

— To dziwne — odezwała się pani Marta — przecie taki sławny? Kto by w to uwierzył?

A ja odpowiedziałam:

— Dziwne i niedziwne. Publiczność nie ma wyobrażenia o trudach, niesmakach i przymusach, jakich wymaga każda *twórczość*. I to najosobliwsze zjawisko, że im dzieło szło trudniej, tym czyta się łatwiej. Niskie ja mam pojęcie o autorach, co sypią krocie to mów jak z rękawa; ci nie mają miłości dla dzieł swoich, nie chodzi im o jakość, ale o ilość, pędzą byle skończyć, a nie wiedzą, że *wykończenie* jest drugą połową, równie ważną, może nawet jeszcze ważniejszą niż pierwotne tworzenie. Wprawdzie utwór mniejszych rozmiarów da się jednym tchem napisać lub wypowiedzieć, ale to wcale nie znaczy, aby miał kosztować mniej wysilenia od tamtych, o nie! Tylko tu wysilenie streściło się na jedną chwilę, toteż po nim trzeba długo wypoczywać, nim źródło myśli, gwałtownie wyczerpnięte⁵¹, znów się powolutku napęlni. Dzieła wielkie, o skomplikowanej budowie, nie dają się tak tworzyć za jednym zamachem; autor musi je rozkładać na dni i miesiące, wykonywać je drobnostkowo i obowiązkowo, bo gdyby chciał czekać na tak zwane „chwile natchnienia”, mógłby czasem czekać całe lata, a przy tym... szczerze mówiąc, natchnienie jest potrzebne tylko wtedy, kiedy tworzymy *plan* dzieła, kiedy idealny jego obraz objawia nam się w swojej promienistej nieskończoności, to jest chwila zachwyty i porywu. Później, kiedy nam przychodzi tę nieskończoność zamknąć w kształty skończone, po ziemsku odmalować to, cośmy widzieli po nadziemsku, wtedy natchnienie już nie tylko nie jest konieczne, ale nawet może staje się szkodliwe, bo odejmuje trzeźwość i rozwagę nieodzowne do każdej technicznej roboty, tak, nie cofam wyrazu, do *roboty*. Ogół ani się domyśla tych umęczeń i gwałtów, co wewnętrzne życie mistrza czynią podobnym do życia galernika, i może lepiej, że się nie domyśla; straciłby rozkoszne złudzenie, w którym sobie wystawia⁵², że arcydzieła wyskakują z czoła Jowiszowego jak Minerwa nie tylko pełnoletnia i wspaniała, ale ze zbroją, z hełmem i nawet z koturnami. Pamiętam, we Florencji, zwiedzając pracownię sławnego rzeźbiarza Dupré, wśród wielu posągów mniej więcej ukończonych zobaczyłam jeden, ohydny... Może zresztą on i posiadał wszelkie warunki piękności, ale jakżeż miałam o nim sądzić, kiedy był cały nabity igielkami, i to od stóp do głów, i to gęsto, prawie jak u jeża? Przestraszona zapytałam, czy to jaki męczennik, czy wyobrażenie jakich tortur, którymi dzicy ludzie pastwią się nad zwycięzonymi? Uśmiano się z moich pytań i wytłumaczono mi, że każdy posąg przechodzi przez istne tortury, kiedy ma być z gliny przeniesiony w kruszec. Trzeba sztyfcikami nurtować matematycznie wszystkie jego wklęsłości, nakłuwać go, oblepiać, poddawać dziesięciu szkaradnym operacjom, a kiedy na koniec z nich wyjdzie, to cały podziobany i pokiereszowany tak, że trzeba znów zaglądać jego tysiączne blizny i ospowatości. Z początku

⁵⁰stronica — dziś popr.: stronica; strona (w książce). [przypis edytorski]

⁵¹wyczerpnięty — dziś popr.: wyczerpany. [przypis edytorski]

⁵²wystawiać sobie (daw.) — wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

zmarwiło mię trochę to odkrycie... Ja naiwnie myślałam, że posąg po prostu wychodzi jak *ulany*. Jednak po krótkiej chwili zmartwienie zostało zatarte przyjemnością większego odkrycia: pojęłam, że twórczość wszędzie podlega jednym i tym samym prawom, że wszelka myśl, czy się wyraża farbami, czy kamieniem, nutami czy słowem, zawsze musi przejść przez tortury, a twórca z nią razem. Tylko tłumowi nie pokazuje się posągu, dopóki jest nakłuty igielkami, ale dopiero wtedy, kiedy go się dźwignie na piedestał.

— I bardzo słusznie — odparła pani Marta. — Rzecz wiadoma, że kto chce smaczno jeść obiad, nie powinien bardzo zaglądać do kuchni. Widok przygotowań odejmuje apetyt.

Pomimo obniżenia tonu, do którego te słowa nagle ściągały rozprawę, musiałam przyznać pani Marcie, że jej porównanie jest wyborne. Ale pan Cezary, który, jak dostrzegłam, nie znosi dysonansów, strzelił ku niej wzrokiem niechętnym i coraz więcej do mnie zwracał rozmowę.

— Ach, jak ja odczuwam — powtarzał — wszystko, co pani mówiła! Bo i gonienie za wielkim odkryciem jest także nieustanną twórczością. I tu poszukiwacz zdaje się pogrążony w drobiazgowych, czysto mechanicznych działaniach, a jednak ich celem jest zawsze idea, którą z niebios utopii trzeba ściągnąć na ziemię, a nie ściąga jej się bez rozdarcia i ciężkich wysiłków.

— Istotnie — przerwała znowu pani Marta — musiałeś pan użyć niemało fatygi, choćby już tylko z tego ciągłego patrzenia przez oczko w korynt⁵³; jest czego w końcu przygarbić się i stracić oczy.

— O, przepraszam panią, takie trudności nawet nie wchodziły w rachunek; miałem przecie dosyć sprytu, aby je od razu usunąć. Urządziłem się nie tylko z wygodą, ale jak prawdziwy sybaryta; rozparty na fotelu, miałem zwykle po jednej stronie stolik z książkami i piórami, po drugiej ową koryntę z otworem wyciętym na wysokość oczu i dość obszernym, aby można obie źrenice weń zanurzyć; często go nawet zaopatrywałem w szkło przybliżające. Byłem więc jak człowiek, co sobie siedzi przy oknie z gazetą lub cygarem i tylko kiedy zechce, spogląda na ulicę, a rodzajem pedału mogłem wedle woli przyspieszać lub zatrzymywać zegarowy pochód przyrządu.

Muszę jednak przyznać, że przedstawiały się pewne nieprzyjemności, na które nie mogłem i nie mogłem wynaleźć środka; i tak na przykład owo wieczne cofanie się w przeszłość było dla mnie długo nieznośnym; trudno sobie wyobrazić, jak podobne przewrócenie pojęć nuży mózg i napręża nerwy; z początku dostawałem wyraźnych mdłości, jak osoby, co powozem nie mogą w tył jechać; z latami jednak przywykłem, i to tak dalece, że ów pogląd odwrotny stał się u mnie drugą naturą; nawet wracając do rzeczywistości myliłem się i wszystko na wspak brałem. Dowód, jak wszelkie nasze władze, nawet pojmowanie, nawet logika, są dziełem przyzwyczajenia.

Drugą stroną, także bardzo przykrą, tych scen zwierciadlanych jest ich przerażające milczenie. Ach, jakąż ogromną rolę w państwie życia gra dźwięk pod wszystkimi kształtami, czy muzyki, czy słowa, czy jęku, czy śmiechu, prostych nawet hałasów! Te hałasy nieraz nam się wydają nieznośne, a jednak powiadam wam, bez nich życie jest dziwnie podobne do śmierci. Na przykład widzieć bal, a nie słyszeć go, to zamiast rozveselenia sprawia przestrah; pary kręcą się, ale jak automaty, muzykanci machają smyczkami, ale w próżni. Albo widzieć ludzi, co się kłócą, a nie wiedzieć, o co im chodzi? Scena z dramatycznej zmienia się na komiczną.

A już też nic bardziej nie doprowadza do zniecierpliwienia, jak ta niesłychana mnogość obrazów nudnych i niepotrzebnych, które trzeba przeżywać dla doczekania się kilku chwil ciekawych. Dopiero wtedy zdziwiony widz dostrzega, że dziewięć dziesiątych życia ludzkiego schodzi na spaniu, rozbieraniu się i ubieraniu, jedzeniu i marudzeniu. Ach! a to nieszczęśliwe sprzątanie pokoiów, jakże mi się dało we znaki! Co rano, niechybnie, chmury kurzu zalegają pokój, wysoka szczotka miga przed zwierciadłem. Ten taniec szczotek w końcu mię już doprawdy tak drażnił, jakby jaki sabat czarownic; napatrzyłem się tego sprzętu w różnych wiekach i krajach, różnych wielkości i gatunków; byłbym się chętnie obszedł bez podobnego studium, ale cóż? Zwierciadło ani pyta, nie daruje ani minuty.

⁵³kortyna — dziś popr.: kurtyna. [przypis edytorski]

Twórczość, Praca,
Cierpienie
Idealista

Dźwięk

Nuda

W tym ostatnim ustępie pan Cezary złośliwie zwracał się do mojej towarzyszki, jakby uznawał, że taniec szczotek wkracza we właściwą jej sferę. Poczciwa dama, nie podejrzewając złośliwości, śmiała się dobroduszenie, a on ciągnął dalej:

— Wszystkie te nudne dodatki starałem się mijać jak najprędzej. Za to każdy ciekawszy wypadek, nawet każdy nieznany szczegół umeblowania lub kostiumu podlegał najsumienniejszym badaniom i najczęściej na poczekaniu był spisywany.

— Proszę pana — przerwała pani Marta — zamiast męczyć się nad opisami, czy nie można było od razu tych scen fotografować?

— Uwaga pani bardzo trafna, cóż, kiedy w owym czasie fotografia właściwa jeszcze nie istniała, dopiero dagerotyp⁵⁴ wchodził w modę. Później, w lat wiele później, wpadliśmy na ten sam co i pani pomysł, mam całe albumy fotografii zdjętych ze świata już nie istniejącego.

— Ach, jakież to ciekawe! — zawołałyśmy obie.

— Bardzo. Przy innej sposobności może je pokażę. Teraz wracam do epoki, w której musiałem się zadowalać opisywaniem, czasem dodałem rysunek od ręki. Nagromadziły się materiały ogromne; nie sądzicie, panie, aby ta jedna księga wszystko zamykała; mam pięć takich *in foliów* niejako stenografowanych przed zwierciadłem; w tym tomie jest już tylko treść z nich wyciągnięta. Wówczas też to porobiłem owe niezliczone wypisy z dzieł greckich, rzymskich i wschodnich; wprawdzie robiłem je dosyć smutno, wiedziałem, że jeszcze mi tej pracy nie wolno zużytkować, ale podtrzymywała mnie nadzieja, że Hallucini kiedyś przecie przypuści mnie do tajemnicy, a wtedy moje studia, połączone z jego własnymi, byłyby od razu utworzyły dzieło prawdziwie pomnikowe.

— Jak to? — zawołała pani Marta. — Pan ciągle miałeś pod ręką maszynę cudotwórczą i nie doszedłeś jej sekretu?

— Wszak pani masz zegarek, co dzień go nakręcasz własną ręką, a jednak czyżbyś potrafiła zrobić drugi?

— To prawda.

— Przypuśćmy nawet osobę obdarzoną wrodzonym geniuszem do dzieł mechanicznych. Znaną jest historia pastuszka, co nigdy nie uczył się zegarmistrzostwa, a jednak, mając zegarek, zrobił drugi, podobniusięńki; ale pastuszkowi wolno było rozebrać przedmiot, co mu za wzór służył, wszystkie kółka rozkładać, mierzyć i trop w trop naśladować, a ja przysięgłem, że nie będę ani dochodził, ani żądał wydania tajemnicy. Czulem się spętany nie tylko przysięgą, ale i zobowiązującym zaufaniem Hallucinięgo, który tak mi dowierzał, że przez całe lata zostawiał szkatułkę w moich rękach; z początku sam ją urządzał, potem nawet nauczył mnie, jak ją nastawiać i nakręcać. Doskonale rozumiałem budowę przyrządu, który ją w ruch wprowadzał, ale na czym polegało wywoływanie widziadeł, tego nie mogłem zrozumieć.

— Czy być może? — zapytałam zdumiona. — I ów człowiek przez całe lata nie mówił z panem o swoim wynalazku?

— Owszem, prawie o niczym innym nie mówił. Ale tak umiał mistrzowsko władać słowem, że rozprawiając z niesłychaną obfitością i pozorną swobodą, nigdy się nie zapomniał, nigdy się nie zdradził; powoli wydał mi wszystkie skarby swojej wiedzy, wszystkie oprócz zagadki, co była ich kluczem. Kilka razy nawet zdawało mi się, że już się wygadał; wkrótce jednym słówkiem niszczył moje złudzenie, a wprowadzał na nowy domysł. I tak długo byłem przekonany, że cudowna siła leży w blaszce z jakiegoś nowego, nieznanego metalu, który zaścielał dno szkatułki; później mi się zdawało, że cały sekret polega tylko na niezwykłym kształcie i nastawieniu soczewek. Raz też z jednej rozmowy zrozumiałem wyraźnie, że szkatułka jest tylko narzędziem pomocniczym, a właściwa moc wyciągania obrazów ze zwierciadła zawiera się masie chemicznej, którą przesycona jest owa czarna tkanka. Może profesor umyślnie naprowadzał mnie na fałszywe tory? Może we wszystkich tych przypuszczeniach była część prawdy? W każdym razie całej nigdy nie posiadm.

— I dlatego go nie chciałem przypuścić do sekretu? — spytała pani Marta.

— Któż to zrozumie? Proszę pani, ja tego człowieka nigdy nie rozumiałem. Kilkana-

Tajemnica

⁵⁴dagerotyp — fotografia na na płycie metalowej, wynalazek Josepha Nicéphore'a Niépce'a i Louisa Jacques'a Daguerre'a z lat 30-tych XIX w. Dagerotypia była pierwszą techniką fotograficzną, dawała tylko jeden egzemplarz. W połowie XIX w. wyparła ją kalotypia, fotografia negatywowa z odbitkami wykonywanymi na papierze. [przypis edytorski]

ście lat żyłem z nim najpoufalej, a dotąd nie wiem nawet, jakiej był narodowości. Długo sądziłem, że Włoch. Później, widząc jego dziwną łatwość do słowiańskich narzeczy, myślałem sobie, może Serb albo Mołdawianin, Ilirjczyk⁵⁵ albo Dalmata, słowem jeden z tych mieszkańców, gdzie Rzym i Bizancjum, Alanie i Słowianie zleli⁵⁶ się w typ nieokreślony, ale silny. Jego budowa krzepka, zarost prawie niebieski od czarności zdawały się potwierdzać mój domysł. Ale później porobiłem odkrycia, które mi pomieszały szyki; dostrzegłem, że wszystkich języków świata uczy się z niezrównaną pojętnością, zachowując tylko zawsze jakiś mały akcent niepochwytany, którego z niczym nie mogłem porównać. Dostrzegłem, że do każdego kraju przywyka z łatwością lgnąc jak przywiązanie, ale z równą łatwością odwyka i zapomina; widziałem, że o każdej religii mówił z gorącym zapalem, a w gruncie, o ile mi się zdaje, nie miał żadnej. Z tych wszystkich spostrzeżeń wyciągnąłem wniosek, że to musiał być nikt inny tylko Cygan, uczony, wycywilizowany, ale zawsze Cygan, bez domu, bez ojczyzny, bez wiary w nic ani w nikogo, a jeżeli miał jaką, to przed całym światem zazdrośnie tajoną. Odkryłem, że umie po sanskrycku. Powierzchnowość jego także zgadzała się z takim pochodzeniem, a co najbardziej za nim świadczyło, to znajomość osobliwszych sekretów przyrodzenia, wyciągnięta pewnie z owej olbrzymiej mądrości indyjskiej, z której wszystkie nauki, wszystkie wieki czerpią i czerpią, a nigdy wyczerpać jej nie mogą.

— Tak, tak — przywodziła pół śmiejąc się pani Marta — musiał to być Cygan, toteż i pana ocygał.

— Już to nie mogę powiedzieć, aby mi w czymkolwiek oszukał. Miałemże prawo czegokolwiek żądać? Przywrócił mi majątek, stanowisko, wszelkie przyjemności życia; byłże to powód, aby się miał jeszcze dzielić ze mną swoim skarbem najdroższym? Nie. Z początku wszystkie obowiązki stały po mojej stronie. Później nasze długi mocno się wyrównały... O, i jak jeszcze! Dziwiłyście się, panie, jakim sposobem doszedłem do nędzy? Odpowiedź bardzo łatwa: miałem Hallucinię.

Tu opowiadający uśmiechnął się z gorzką ironią.

— Gdybym miał żonę zbyt i trzech synów utracjuszków, nie wiem, czy by mi tyle kosztowali, co ten jeden człowiek.

— I na cóż on tak wydawał? — zawołały obie.

— Bóg raczy wiedzieć na co. Zawsze mówił, że mu potrzeba ogromnych sum na doświadczenia naukowe, i rzeczywiście prowadził je z wielkim nakładem, ale co jeszcze nierównie więcej pochłaniało, to jego codzienne niewyczerpane fantazje; zbyt kochał po kryjomu, głucho, ale kosztownie. To, co on zwał biedą, byłoby dziś dla mnie prawdziwym dostatkiem, ale bo też w jedzeniu i wszelkich nawyknięciach dochodził do epikureizmu, o jakim pierw nie miałem pojęcia. I tak, na przykład, najdroższe tytonie nazywał mdłą trawą; jemu potrzebny był *haszysz*, ów narkotyk indyjski, którego tak trudno u nas dostać, a jednak musiałem go ciągle sprowadzać za bajeczne sumy, bo kilka dni przebytych bez *haszyszu* wtrącało go w ponurość i rozpacz. Takich niebezpiecznych nawyknień miał mnóstwo; w każdym kraju uczył się nowych, a zwiedziliśmy krajów niemało. Namówił mnie na podróż, na które chętnie przystałem, bo moje rodzinne strony obrzydły mi po kilku latach dla nieustannych dokuczań, jakich doznawałem od obrażonych kuzynów i całej rodziny. Intrygami i obmową tak w końcu mocno podkopali mój spokój, tylu mi narobili nieprzyjaciół, że wołałem się wynieść. Objechaliśmy Europę i dalsze nawet strony. Hallucini prowadził dwór osobny i z początku wszystko mu ślicznie wystarczało. Bo trzeba paniom wiedzieć, że zaraz po odebraniu spadku oddałem mu na zupełną własność, urządzenie, czwartą część mojej fortuny.

— To ładnie — przerwała pani Marta.

— I mnie się też zdawało, że ładnie, ale professor niekoniecznie był mojego zdania; od pierwszej chwili spostrzegłem w nim przykre zdziwienie; może spodziewał się połowy? Udałem, że nie rozumiem przesadzonych wymagań, jednak ich pamięć mię korciła; zawsze to niemilo wiedzieć, że jest ktoś na świecie, co nas posądza o niewdzięczność. Po-
stanowiłem innymi sposobami go obdarzać i tysiącem przysług dopełniać miary według

⁵⁵Ilirjczyk — mieszkaniec Ilirii, krainy historycznej na terenie dzisiejszej Serbii, Bośni, Czarnogóry i Chorwacji. Iliryzmem nazywał się ruch dążący do rozwoju kultury i zjednoczenia południowych Słowian. [przypis edytorski]

⁵⁶zleli się — dziś popr. forma: złąli się. [przypis edytorski]

niego niepełnej. W głównych stolicach bawiliśmy po roku, czasem i więcej; wszędzie co mogłem, skupowałem dla niego, dla siebie zaś prawie nic, chyba zwierciadła, o! już co tych, tom sobie nie żałował. Dzięki ich mnogości mogłem studiować różne ludy i obyczaje bez wychodzenia z gabinetu.

— Ale jakże się pan wozileś z takim ogromnym przyborem? — spytała pani Marta.

— Nie miałem potrzeby wozić. Każde zwierciadło wypróżniłem aż do dna, wysłałem niejako z niego całą przeszłość, potem oczywiście odprzedawałem, a na jego miejsce przychodziły inne. Nie mogę jednak powiedzieć, abym żył z samymi tylko zwierciadłami. Nie chcąc uchodzić za oryginała, pragnąc też poznać trochę i mój świat współczesny, oglądałem ciekawości, uczęszczałem do najlepszych towarzystw. Hallucini owszem nie chciał wcale w nich być; on wszędzie żył z samą *Bohemią* społeczną, z długowłosą bandą artystów i aktorów, między którymi królował jako Sułtan i Mecenas, pozwalając, aby go bawiono, wielbiono i — obdzierano.

Twierdził, że tylko w takich kołach istnieje prawdziwa zabawa, a potrzebował jej czasem gwałtownie, bo całe dni siedział nad księgami jak rabin. W każdym mieście miał dwa mieszkania: jedno urzędowe, tchnące anachoreczną⁵⁷ surowością, przeznaczone do pracy i naukowych doświadczeń, drugie, tylko wtajemniczonym wiadome, kapiące od złota i przepychu. Tam swoim klientom i parasytom⁵⁸ wyprawiał bankiety, o których wieść roznosiła babilońskie legendy; ja z samej prawie tylko wieści je znałem, bo spróbowawszy parę razy tych przyjęć, usunąłem się pełen dziwnego niesmaku, a gospodarz nie nalegał o mój powrót.

— To jednak wiele — zauważyła pani Marta — że ten człowiek pana nie popsuł.

— Może jedynie z tej przyczyny nie popsuł, że miałem do niego wysoką antypatię. Wymawiałem ją sobie jako niewdzięczność, walczyłem z nią jakby ze złą skłonnością, a jednak nie mogłem go szczerze polubić. Dość było, aby mi jaką przyjemność zachwalił, już traciła dla mnie cały urok; dość, aby mię do jakiego przedsięwzięcia namawiał, już mię doń odchodziła ochota. Nieraz też spotykałem u niego jakichś ludzi osobliwszych, o zbójceckich twarzach i odartych ubiorach, którzy za moim wejściem jak widma znikali. Przychodziło mi na myśl, czy to nie Cyganie, z którymi mógł po całym świecie utrzymywać stosunki jako rodzaj tajemnego wodza? Ale domysł ten nigdy nie wyszedł z granic przypuszczenia; może to byli po prostu faktorowie⁵⁹, co mu ułatwiali setne interesa; bo miał ich wszędzie pełno; zdaje mi się, że handlował różnymi sekretami, że ludziom za grube pieniądze pokazywał wizje, ale tę całą stronę swego życia ukrywał przede mną, zapewne z obawy, abym się nie dowiedział, że posiada inne źródła dochodów, i nie ujął mu co z mojej szczodroty⁶⁰, bo ten człowiek wszędzie podejrzewał⁶¹ zdradę i wyrachowanie. Ja nie miałem prawa ani ochoty wtrącać się w jego życie i choć wiele rzeczy mi się nie podobało, udawałem, że nie widzę ani słyszę, tym bardziej że i on nie mieszał się do mnie w niczym, nie odciągał mię od moich spokojnych upodobań. Czasem tylko z sardonicznym uśmiechem nazywał mię „niewiniątkiem”, „fenomenem białości”, ale na tym kończyła się cała wojna...

Przez kilka lat wszystko szło dobrze. Nagle Hallucini stał się ponury i opryskliwy. Pewnego dnia oświadczył mi... że jego majątek wyczerpał się co do grosza. Tę wiadomość donosił mi spokojnie, jakby rzecz najprostszą w świecie; zdawał się przekonany, że te sumy na to mu tylko dałem, ażeby je wydał, i że niezwłocznie nowymi je zastąpię. Zdziwiłem się i przeraziłem, jednak zdołałem jeszcze ukryć moje wrażenia i zapewnić go z nie mniejszym spokojem, że nie powinien się zbytecznie martwić i że póki ja cokolwiek posiadam, nigdy mu niczego nie zabraknie. Tak się też i stało. Wprawdzie, nauczony doświadczeniem, już kapitałów do rąk jego nie oddałem, ale mu wyznaczyłem ogromne dochody, a przy tym obsypywałem go darami, starałem się uprzedzać najmniejsze jego życzenia, tak że nie poczuł żadnej zmiany, chyba na lepsze. Przyjmował wszystko z uśmiechem, ale bez wielkich podziękowań, jako dług sobie należny, a jeśli czasem widział, że jego żądania wydają mi się zbyt wygórowane, jeżeli dostrzegł na mojej twarzy waha-

⁵⁷anachoreczny (daw.) a. anachoretyczny — pustelniczy, ascetyczny. [przypis edytorski]

⁵⁸parasyt (daw., z łac.) — pasożyt; tu: towarzysz zabaw, korzystający z czyjejś hojności. [przypis edytorski]

⁵⁹faktor (daw.) — pośrednik, handlarz. [przypis edytorski]

⁶⁰szczodrota (daw.) — hojność. [przypis edytorski]

⁶¹podejrzawać — dziś popr.: podejrzewać. [przypis edytorski]

nie, zawsze umiał jakoś nastawić rozmowę na scenę testamentu i rzucał mi takie samo spojrzenie, jakie rzucił w owej pamiętnej chwili, kiedy odrzucając mój pierwszy uścisk, zawołał: „Zobaczymy, jak długo ta wdzięczność potrwa...” Wtedy i mnie chwyciło poczucie honoru, przypominałem sobie, że przyjął wyzwanie, i zgadzałem się z największą gotowością na wszelkie ofiary...

I znów kilka lat upłynęło bez burzy. Wprawdzie ciężkie to zadanie iść przez życie z człowiekiem nieulubionym⁶², a z którym wiąże nas powinność nigdy nie mająca końca; to jakby dwaj więźniowie skuci jednym łańcuchem; chcieliby na dwa krańce świata się rozejść, a tymczasem jeden bez drugiego ruszyć się nie może.

— Po co szukać tak dalekich podobieństw? — rzekła pani Marta. — Powiedz pan, że to jak stadło⁶³ niedobrane.

— Ma pani słuszość. Oj, niedobrane! Czasem doprawdy żałowałem, że się testament odnalazł; byłbym wołał nigdy nie odzyskać spadku, a mieć ręce rozwiązane i żyć jak inni ludzie. Czasem znowu karmiłem nadzieję, że mego socjusza⁶⁴ przerobię; nie wiem, czy grał przede mną komedię, czy istotnie wywierałem wpływ na jego duszę, czy tylko przyzwyczajenie zaślepiło mi oczy, ale były epoki, w których mi się wydawał jakiś lepszy.

A przy tym im więcej poznawałem przeszłość tego człowieka, tym się mniej dziwiłem nieufności i goryczy, jakie w nim wyrobiła. Przechodził on przygody straszne, niezaprzeczenie straszne, a co mnie zastanawiało: nie szukał w nich żadnej chluby, nie stawiał się jak ofiara ani jak bohater; nie lubił nawet o tych przygodach mówić, musiałem gwałtem z niego wyciągać opowiadania. Czy uwierzycie, panie? Do dziś dnia jeszcze nie wiem, jak się rzeczywiście nazywał. Zaraz po naszym pierwszym spotkaniu oświadczył, że nazwa Halluciniogo jest fantazyjnym pseudonimem, i powiedział mi pod sekretem drugie, prawdziwe nazwisko. Ale po kilku latach wyznał, że i to drugie jeszcze nie jest prawdziwym, i wymienił trzecie; a gdy potem kilkakrotnie następowało podobne odwoływanie, sądzę, że wszystkie musiały być fałszywe.

— Podejrzana figura... — wtrąciła pani Marta.

— Niezaprzeczenie. Ale nie udawał szczerego, jawnie sobie z ludzi żartował. Kazał się nazywać „profesorem”, a kiedy pytałem, gdzie i na jakiej zasiadał katedrze, mówił, że w Benares wykladał kurs robienia esencji różanej albo że w San Francisco był profesorem deklamacji. Pod tymi bredniami ukrywał on postrach, bolesny i rzeczywisty postrach; zdaje mi się, że i włosy, fiołkowe, i cała jego postać były sztucznie zmienione, a wszystko to wskutek tragicznego zajścia, jakie w pewnej stolicy miał z pewnym ministrem. Mam porozumienie⁶⁵, że ta stolica leży nad Dunajem, bo w naszych podróżach z dziwnym uporem nie chciał nigdy jechać do tego miasta ani nawet przekroczyć granic tego państwa. Nazwiska ministra także się domyślam, chociaż go ani razu nie wymienił. Musiał to być ów potężny dyplomata, co przez pierwszą połowę naszego wieku trząsł z Wiednia całą niemal Europą, sławny z olbrzymiego rozumu, a jeszcze więcej z szatańskiej przewrotności.

Hallucini, dzięki zdradzieckim zwierciadłom, robił nieraz odkrycia równie ważne i jeszcze ważniejsze niż z moim testamentem. Otóż raz, szczęśliwym a raczej nieszczęśliwym trafem, odkrywa on okoliczność ogromnej politycznej doniosłości; jaką ona była, nie chciał nigdy powiedzieć, ale twierdził, że mogła zachwiać byt owego państwa, a szczególnie osobiste znaczenie ministra.

Idzie więc prosto do niego, wyjawia mu na wpół swoje odkrycie, podejmuje się za wysokim wynagrodzeniem objąć i resztę, a nawet rządowi tamtejszemu sprzedać sekret zwierciadłany, który w ręku mądrych dyplomatów mógł stać się kluczem nieledwie cudownej wszechwiedzy. Minister słucha go z najżywszym podziwieniem i jeszcze żywszą wdzięcznością, nazywa go wybawicielem, obiecuje mu złote góry, nie tylko fortunę, ale zaszczyty i łaski, na koniec prosi, aby na trzeci dzień się stawił dla ostatecznego podpisania umowy. Profesor wychodzi z duszą upojoną, już widzi się u szczytu marzeń. Ale na drugi dzień, pod pozorem jakichś formalności policyjnych nie dosyć ściśle dopełnio-

⁶²nieulubiony — dziś popr.: nieulubiany. [przypis edytorski]

⁶³stadło (daw.) — małżeństwo. [przypis edytorski]

⁶⁴socjusz (z łac. *socius*) — towarzysz. [przypis edytorski]

⁶⁵porozumienie (tu daw., być może błąd zamiast: *dorozumienie*) — domysł, przypuszczenie. [przypis edytorski]

nych, zostaje nagle przyaresztowany i wtrącony do najgłębszego więzienia. A wiadomo, czym były wówczas tamtejsze więzienia, dosyć czytać Silvia Pellica⁶⁶. Z początku sądził, że czysta pomyłka, pisał dziesięć listów do ministra, nie wątpił, że wszystko stało się bez jego wiedzy, że lada godzina oburzony dygnitarz przyleci, aby go uwolnić i przeproszać. Ale schodziły dni, tygodnie, schodziły miesiące, a nikt się nie zjawiał. Wyobraźcie sobie, panie, dziewięć lat przesiedział w *carcere duro*⁶⁷.

— Dziewięć lat! — powtórzyliśmy z przerażeniem. — I za co?

— A tak, za co? Widocznie wiedział za *wiele*. Może minister zadrżał nie tylko o państwo, ale i o siebie; nie chciał, aby wolno chodził pod słońcem człowiek, przed którym on, potentat, musiał spuścić oczy; może lękał się, aby kiedyś, w chwili złego humoru, groźny mędrzec nie poszedł służyć innym rządóm? Zresztą więzienny sposób dojścia prawdy był bezpieczniejszy i *tańszy*; po co honorami przytrzymywać ptaszka, kiedy można go przytrzymać w klatce? Po co płacić za sekret, kiedy go można darmo wyludzić torturą? Brano też biednego profesora na męki najwyszukańsze; później chciano go zamordować latami zapomnienia i grobowej ciszy. Wszystko przetrzymał ze stałością godną lepszej sprawy. Lepszej mówię, bo cierpienia jego nie płynęły ze źródeł najszlachetniejszych; zamiast podzielić się z całą ludzkością swoim wynalazkiem, zamiast z bogacić nim naukę, chciał go obrócić na pożytek machiawelizmu⁶⁸, użyć go za narzędzie władzy dla siebie i kilku potężnych intrygantów. Chciał za jego pomocą gubić drugich, zgubił samego siebie. Wszystko to prawda, niemniej przecież był ofiarą godną głębokiej litości i co przecierpiał, to starczyłoby za nie wiem jakie zbrodnie. Miał czas na rozmyślanie... Zdaje mi się jednak, że nie umiał z nich wyciągnąć właściwej nauki, bo wyniósł stamtąd nie skruchę, nie uznanie sprawiedliwości boskiej, ale niepohamowaną zawziętość na los i na ludzi. Nie śmiem go potępiać... Któż z nas może ręczyć, jakim by wyszedł po dziewięciu latach więzienia?

Profesor był przekonany, że już nigdy nie zobaczy otwartego nieba, tysiąc razy przeklął swój wynalazek, co miał z nim razem zginąć w tych podziemnych pieklach. Jednak inna przyszłość była mu przeznaczoną. Zdołał uciec. Jakim cudem? Czy przy obcej pomocy, czy dzięki własnej mądrości? Tęgo nikomu nie powiedział; ale uciekł tak misternie, że zatarł za sobą wszelkie ślady i nawet w umyśle ministra zostawił uspokajające przekonanie, że podczas ucieczki na czołnie zatonął.

Minęły potem lata, Europa w różnych przewrotach jak wąż kilka razy odnowiła skórę, nastąpiły inne czasy, o zbiegu dawno zapomniano, nikt za nim nie gonił, nikt go nie wysledzał, on jednak ciągle zmieniał nazwiska i postacie, widmo więzienne wszędzie za nim chodziło i nawet w czasach, kiedy go poznałem, jeszcze zdawał się żyć pod nieustanną groźbą.

Całą tę historię podchwyciłem tylko z urywków, z nie dokończonych wyznań i nigdy może nie byłbym dobrze jej zrozumiał, gdyby nie przypadkowa okoliczność, która mnie na prawdopodobny ślad naprowadziła. Dostałem zwierciadło niezmiernie ciekawe; było z boku nadpęknięte, ale środek jeszcze wybornie pokazywał; w nim znalazłem ani mniej, ani więcej, tylko żywy diariusz kongresu wiedeńskiego. Musiało to lustro wisieć w głównej sesjonalnej sali; później dla owego uszkodzenia pewnie zostało wyrzucone i nowym zastąpione, a nikt się nie domyślał, że z nim razem wyrzucono hieroglify przeszłości i że znajdują się ludzie, którzy je potrafią odczytać. To zwierciadło niezmiernie mnie bawiło; dla mojej wyłącznej uciechy odbywały się po raz drugi wszystkie te olbrzymie posiedzenia, którym w historii niewiele jest równych, bo na tym kongresie około pięciuset członków zasiadało. Przeciągały przede mną postacie monarchów i całej ówczesnej dyplomacji, która liczyła tylu mądrych a strasznych ludzi; poznawałem ich łatwo z portretów, a żywo mię obchodzili, bo wielu z nich jeszcze żyło i światem kierowało; dziś nawet podobno jeszcze się niektórzy trzymają.

Pewnego dnia w najlepsze się przyglądałem i spisuję scenę, kiedy do mnie wchodzi Hallucini. Wołam uradowany: „A! Jakże się cieszę z odwiedzin, chodź pan prędko i patrz, jak się to robią tytaniczne bigosy.”

⁶⁶*Pellico, Silvio* (1789–1854) — wł. pisarz i poeta, karbonariusz, za działalność spiskową więziony m.in. w twierdzy Szpilberg na Morawach; autor książki *Moje więzienia*. [przypis edytorski]

⁶⁷*carcere duro* (wł.) — ciężkie więzienie. [przypis edytorski]

⁶⁸*machiawelizm* — polityka prowadzona w myśl zasady, że cel uświęca środki, koncepcja zalecająca użycie podstępów, szantażu czy manipulacji w dążeniu do politycznej przewagi. [przypis edytorski]

Profesor siada, patrzy w okienko, a ja mu, jakby w szopce, wymieniam figury, które już wystudiowałem: „Oto wąska, idealnie lisia sylwetka Talleyranda⁶⁹... tu znowu smoczy głowa Hardenberga⁷⁰... tam z boku siedzi Nesselrode⁷¹, rysy nieruchome i bezkolorowe jakby z lodu...”

Podczas moich uwag w głębi zwierciadła drzwi się otwierają i wchodzi człowiek z profilem szakala, z piersią okrytą gwiazdami. „O, teraz patrzmy, wołam, oto prawdziwy monarcha kongresu, książę Metternich⁷²...”

Mówiłem najspokojniej, a tu mój profesor jak się nagle zerwie... z krzykiem lwa zranionego rozdarł zasłonę i pięścią uderzył w zwierciadło, tak że je rozbił na sztuki, wołając w najgwałtowniejszym gniewie: „O! ten człowiek! ten człowiek!” Po chwili ochłonął, zmieszał się i tłumaczył w sposób niezrozumiały, ale ja zrozumiałem wiele, zrozumiałem nade wszystko, ile musiał wycierpieć, kiedy on, sfinks niewzruszony, od stóp do głowy zakuty w zimną ironię, mógł unieść się do takiego zapomnienia.

O tak... wycierpiał wiele, bo nie dość na tym wszystkim, co opowiedziałem... w jego życiu zaszło jeszcze inne rozczarowanie, może gorsze, boleśniesz... zawód, który istotnie mógł na zawsze wyleczyć ze wszelkiej wiary do ludzi.

— Cóż znów takiego? — zapytała pani Marta coraz goręcej zajęta.

— Ja nie byłem pierwszym jego uczniem. Przed wielu laty, we Florencji, spotkał młodzieńca zachwycającego rozumem, wymową i wszelkimi darami Nieba. Młody człowiek nazywał się Angelo, zdawał się też dobry jak anioł, a do mistrza przywiązany jak gdyby syn z ducha. Profesor dał się zupełnie podbić jego urokowi, przypuścił go do wszystkich swoich tajemnic, dzielił się z nim zyskami i chciał się podzielić przyszłą chwałą. Aż tu dnia jednego, wszedłszy przypadkiem do introligatora, spostrzegł świeżą, wilgotną jeszcze książkę, w której Angelo całe jego odkrycie ogłasza za swoje, szczegółowo je objaśnia i z najbezcenniejszą dumą się nim chwali. Autor potrafił całą robotę wydawniczą przeprowadzić w ścisłej tajemnicy; dzieło było już wydrukowane w dwóch tysiącach egzemplarzy, za kilka dni miało się na świat ukazać, tylko jeszcze je zszywano i brakowało okładek. Hallucini, płacąc podstępem za podstęp, z niesłychanymi ofiarami całą edycję zakupił i zniszczył, a zdrajca Angelo...

Tu pan Cezary się zatrzymał.

— Cóż zdrajca Angelo? — powtórzyliśmy obie.

— Kiedy pytałem profesora, co się z Angelem stało, odpowiedział: „Nemezis go dosięgła — umarł w samą porę.” Mówił to z takim niedobrym uśmiechem, że mróz mi przeszedł po kościach. Pytałem w duszy ze drżeniem, czy ta śmierć nie przypadła jakoś nadto w porę i czy nie mistrz sam podjął się roli Nemezis? Może go posądzam najnieśluszniej... może umyślnie rzucił podobne półsłowo, ażeby tylko mnie nastraszyć? Bądź co bądź, takim to sposobem Hallucini uratował swój sekret, a stracił reszty swojej swobody i ufności.

— Ale proszę pana — zapytałam — dlaczegoż Hallucini sam nie wydał dzieła o swoim odkryciu? Byłby tym sposobem najlepiej ugruntował swoje prawa, jeżeli *notabene* je posiadał, bo i on może otrzymał ten sekret od innych?

— Nie myli się pani, otrzymał go od innych i wcale się z tym wyznaniem nie taił. Czy go wyczytał w starych księgach, czy posłyszał od mistrzów, co go sobie ustną tradycją podawali, tego nie określał wyraźnie, ale nigdy odkrycia nie podawał za własne i owszem bardzo szeroko się rozwodził nad jego historią, bo ten wynalazek ma całą historię i dawne wieki doskonale go znały, chociaż pod różnymi zasłonami.

⁶⁹Talleyrand, właśc. *Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord* (1754–1838) — fr. dyplomata, minister spraw zagranicznych Francji, książę. Mimo że był duchownym (biskupem), poparł swym autorytetem rewolucję fr. 1789 r. i został wkrótce przewodniczącym Konwentu, gdzie wcześniej patronował przeprowadzeniu ustaw dotyczących sekularyzacji dóbr kościelnych. Był reprezentantem Francji na Kongresie Wiedeńskim. Talleyrand słynął z wybitnej inteligencji oraz ciętych a trafnych wypowiedzi. [przypis edytorski]

⁷⁰Hardenberg, *Karl August baron von* (1750–1822) — pruski arystokrata, polityk. Jego reformy wzmocniły zagrożone upadkiem państwo pruskie, co pozwoliło m.in. na uczestnictwo Prus w III rozbiorze Polski. [przypis edytorski]

⁷¹Nesselrode, *Karl Robert* (1780–1862) — ros. dyplomata, z pochodzenia Niemiec, minister spraw zagranicznych cesarstwa rosyjskiego. [przypis edytorski]

⁷²Metternich, *Klemens* (1773–1859) — austriacki polityk i dyplomata. [przypis edytorski]

— Powiadasz pan — przerwała pani Marta — że dawne wieki to wiedziały? Czemuz jednak, aż do dnia dzisiejszego, nigdy o czymś podobnym nie słyszano?

— Przepraszam panią, i bardzo słyszano. A czymże były „magiczne zwierciadła”?

— Aha, prawda! — zawołałyśmy obie z przyjemnym uczuciem osoby, co w ciemnym labiryncie na koniec trafia na wyjście.

Ja jednak po chwili dodałam:

— Ale tym sposobem to każde zwierciadło może być magiczne?

— A, ma się rozumieć! — potwierdził pan Cezary. — Dawniejsi uczeni, czyli, jak ich wówczas nazywano, czarnoksiężnicy, czarodzieje, dla utrzymania sekretu pletli tłumom niestworzone bajki, tłumaczyli, że zwierciadło powinno mieć takie a takie kształty, przejść przez różne zaklęcia, ale między sobą śmieli się z tych fałszowanych recept i wiedzieli doskonale, że magia leży nie w zwierciadle, ale w mechanicznym przyrządzie, który na nie działa.

— I dlaczegoż — zagadnęła pani Marta — ukrywali rzecz tak nieszkodliwą a dla nauki użyteczną? Cóż im z tego ukrywania przyszło?

— Bardzo wiele. Najprzód aureola nadprzyrodzonej potęgi, potem zysk pieniężny. Weźmy nawet prostych kuglarzy, na czymże zależy ich powodzenie? Na znajomości różnych drobnych sekrecików, których całą wartość stanowi tajemnica. Gdyby publiczność raz się ich dowiedziała, nikt by już nie chciał patrzeć ani, co gorsza, płacić za wejście do sali. Tak samo z sekretem zwierciadlanym; gdyby raz go wprowadzono w dziedzinę poważnej nauki, stałby się własnością wszystkich, każdy mógłby sobie wywoływać przeszłość, odkrywać rzeczy ukryte, a wtedy już po całej magii! Dopóki zaś spoczywa tylko w ręku wybranych jednostek, cóż to dla nich za olbrzymie pole do wyzyskiwania ludzkiej ciekawości, namiętności i uczuć! Od wieków, po wszystkich krajach zawsze słychać było o guślarzach, czarownicach, znachorach, co umieli odnajdywać rzeczy zaginione, odkrywać tajemnice rodzinne i polityczne, pokazywać na żywe oczy nieboszczyków. Te wszystkie podania uchodzą dziś u ludzi naukowych za baśnie, a jednak stare książki tak są nimi przepełnione, tak solennie i urzędownie je stwierdzają, że człowiek rozsądny pyta w końcu: czy podobna, aby całe wieki dały się oszukiwać? Otóż wynalazek zwierciadlany pokazuje, że to wcale nie były oszukaństwa ani czcze fantasmagorie, dziś widzimy, że można odnajdywać rzeczy zaginione, jak Hallucini odnalazł testament, że można pokazywać nieboszczyków, jak Hallucini pokazał mi opiekuna i tylu innych, że można podpatrzeć tysiąc tajemnic, których znajomość pozornie wygląda na czary...

Tak, moje panie, czarów nie ma, a raczej wszystkie czary są, ale wszystkie dadzą się wytłumaczyć środkami czysto przyrodzonymi. Toteż ludzie prawdziwie rozumni, ludzie genialni o niczym nie śmieją ostatecznie wątpić. Mędrak w swojej pysze kręci głową i mówi: Ponieważ nie rozumiem, jakim sposobem to się mogło zrobić, więc nie mogło się zrobić. Stój, mędrku! Świat się nie kończy na tobie. Czego ty ani twój wiek nie rozumiecie, to może dla innych wieków stanie się tak jasnym i powszednim, że każdy żak będzie to pojmował. O! człowiek wyższy bywa zawsze pokornym; w granicach swojej wiedzy rozbiera⁷³ i sądzi, ale poza tymi granicami zawiesza sąd i czeka. Taki na przykład Goethe, który przecież należy do najtrzeźwiejszych myślicieli, i który pół życia poświęcił naukom przyrodniczym, z jakąż on oględnością, z jakim uszanowaniem wyraża się, ile razy przyjdzie mu potrafić o magię...

— No, proszę pana — przerwała pani Marta — on przecie wiersze pisał, to jemu wszystko wolno.

— Tak, pani; ale w tych wierszach, w tej poezji czujemy wyraźnie, że czary nie są przedstawione jako proste zmyślenia; czujemy, że poeta do pewnego stopnia sam w nie wierzy i tym najwięcej nas oczarowywa⁷⁴. Nie próżno on do swego *Fausta* naczał się tylu ksiąg magicznych; umysł tak wielki nie mógł przeoczyć prawd, co się tam kryją pod rebusami i alegoriami; jako wieszcz prawdziwy umiał zgadywać *sens ukryty*, nie wypowiedziane dopowiedzieć, a nawet zdaje mi się, że więcej wiedział, niż powiedział... On i zwierciadlanej zagadki się domyślał...

— Skądże to pan wnosisz? — zapytałam niepomału zdziwiona.

⁷³rozbierać (tu daw.) — analizować, rozważać. [przypis edytorski]

⁷⁴oczarowywa — dziś popr.: oczarowuje. [przypis edytorski]

Nauka, Tajemnica, Interes

Czary

Poeta, Czary

— Z kilku obrazów zawartych w *Fauście*, w tej przepaścistej księdze, o której sam Goethe mówił, że ludzie będą musieli dużo się namordować, nim odgadną wszystkie sekreta⁷⁵, jakie tam pozamykał. Otóż najprzód, w jaskini u Czarownicy, podczas kiedy Mefistofeles przyrządza ze starą wiedźmą napój odmładzający, Faust zatrzymuje się przed wiszącym na boku zwierciadłem i spostrzega w nim postać kobiecą; ta postać go zachwyca, przykuwa, ta postać jest dla niego pierwszym objawieniem piękności i miłości, owego *das ewig Weibliche*⁷⁶, co go kiedyś ma zbawić. A jednak w jaskini oprócz ohydnej czarownicy nie ma żadnej innej kobiety; jest to więc odbicie istoty, co dawniej się w nim przejrzała, Małgorzaty czy Heleny, w każdym razie odbicie *przechowane*. I uważajcie, panie, że kiedy autor do innych scen magicznych używa tylu zaklęć, formuł i ceremonii, tu wszystko odbywa się po prostu, bez żadnych wywoływań ani dziwactw; ta to właśnie cudowna prostota dowodzi, że Goethe uważał widzenia w zwierciadłach za zjawisko czysto naukowe. Albo w drugiej części Fausta, czy nie jeszcze wyraźniejszy dowód? Karawana bożków morskich, Trytonów i Nereid, wyprawia się na zdobycie Kabirów, tych bóstw tajemniczych, o których jeszcze Homer mówi jako o największym z misterii, bóstw niepojętych dla samych nawet bogów, a których ludzkie oko nigdy nie oglądało. I oto wracają z wyprawy, i wiozą tryumfalnie, ale co? Nie samych Kabirów, bo tych nigdy nikt nie zdobędzie, wiozą tylko zwierciadło z płyty szylkretowej, w której Kabiry *się przejrzały*, wiozą odbicie ich postaci, jedyny sposób, w jaki ludzie i niższe duchy mogą widzieć tych niewidzialnych. A co? Więc Goethe wiedział, że przedmiot, raz odbity w zwierciadle, nie ginie, ale w nim zostaje.

Tu miałam ochotę wtrącić niejedną uwagę; pan Cezary nie dał mi dojść do słowa, zapalając się coraz mocniej, zawołał:

— A Mickiewicz? On jeszcze wyraźniej, a jeżeli nie wyraźniej, to jeszcze głębiej niż Goethe określił tajemnicę, o której mówimy. I nie mogło być inaczej; on także należał do tych *wszystkowiedzących*, co pod nagłym światłem natchnienia czytają w księdze wewnętrznej. Każdy z nas nosi w duszy taką księgę *wiedzy pierwotnej*, ale prawie nikt nie domyśla się, że ją ma w sobie. A! gdybyśmy umieli ją otwierać, nie potrzebowalibyśmy niczego się uczyć. Cóż, kiedy najczęściej ta księga aż do śmierci bywa zamknięta na siedm pieczęci? Tylko ludzie obdarzeni geniuszem albo (co jeszcze lepsze) posłuszni wskazówkom łaski umieją czasem odchylić tam jakąś kartkę i wyczytać jakiś urywek, a potem świat się dziwi, skąd ci ludzie wiedzieli, jakim sposobem przepowiedzieli rzeczy, które w historii albo w nauce później się dopiero pojawiły? Zastanówcie się, panie, nad pysznym wierszem Adama o Twardowskim, a przyznacie, że wiedział niezaprzeczenie, co to jest zwierciadło „magiczne”.

— Przepraszam — zagadnęła moja towarzyszka — ja tam nie widzę ani słówka o żadnym zwierciadle, chyba że pan cały wierszyk uważasz za moralne zwierciadło, w którym się złe żony mogą poznać?

— Ach! moja pani, jak widzę, między nami jest nieporozumienie: ja nie mówię o tej krotocwilnej przypowieści, którą Mickiewicz cisnął w jakimś przystępie urazy do płci pięknej i którą ochrzcił nazwiskiem biednej pani Twardowskiej; mówię o wierszu zupełnie innej wagi, innej doniosłości: miałem na myśli ową „Piosenkę dziecięcia”, „ulubioną i tyle powtarzaną razy, o zaklętym młodzieńcu przemienionym w głazy”, która stoi między „Fragmentami” z *Dziadów*, tymi, co zostały najpóźniej wydane; według mnie to jeden z najczystszych brylantów Mickiewiczowskiej kopalni, a jednak mało kto się dotąd na nim poznał; ten wiersz olbrzymi, gromami kuty, jest daleko mniej znany i mniej ma rozgłosu niż owa żartobliwa balladka. Może i panie go nie znacie?

Pani Marta rzeczywiście nie знаła tego „Fragmentu”. Pan Cezary przerzucił parę kart swojej księgi i zaczął czytać:

Wylamawszy zamku bramy,
Twardowski błędził wśród gmachów⁷⁷,
Biegł na wieże, schodził w jamy.

⁷⁵sekreta — dziś popr. forma B. lm: sekrety. [przypis edytorski]

⁷⁶das ewig Weibliche (niem.) — wieczna kobiecość. [przypis edytorski]

⁷⁷Wylamawszy zamku bramy, Twardowski błędził wśród gmachów — fragment utworu A. Mickiewicza *Dziady. Widowisko, część I*. Patrz: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dziady-dziady-widowisko-czesc-i.html#f230>. [przypis edytorski]

Co tam czarów! co tam strachów!

W jednym⁷⁸ sklepisku zapadłem,
Jak dziwny rodzaj pokuty!
Na łańcuchu, przed zwierciadłem,
Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,
Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś część traci,
I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi już był głazem,
A jeszcze mu błyszczą lica
Męstwa i siły wyrazem,
Czułością świeci źrenica.

— „Kto jesteś”, — zakłęty rzecze, —
„Coś te gmachy zdobył śmiało,
Gdzie tak mnogie pękły miecze,
Tylu wolność postradało?”

— „Kto jestem? O, drży świat cały
przed mą szablą, na me słowa
Wielkiej mocy, większej chwały:
Jestem rycerzem z Twardowa.”

Młodzieniec dziwi się tej nazwie Twardowa, o której za jego czasów nie słyszano.

„Nie zgadnę, jak długie lata
Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
Ty świeżo wracasz ze świata:
Możesz mi o nim powiedzieć.”

Więc wypytuje się o chwałę Olgierda, o brzegi Świtezi, o swoją Marylę. Twardowski niecierpliwą te rzewności. Odpowiada:

„Po co pytać? Czasu strata!
Gdy cię wyrwę z tej opoki,
Wszystkie ciekawości świata
Własnymi odwiedzisz kroki⁷⁹.

Znam czarodziejską naukę,
Wiem *dzielność tego zwierciadła*;
Wraz go na drobiazgi stłukę,
By z ciebie ta larwa⁸⁰ spadła.”

To mówiąc, nagłym zamachem
Dobyl miecza i przymierza;
Ale młodzieniec z przestachem:
— „Stój!” — zawołał na rycerza.

⁷⁸jednem, zapadłem — dziś popr. formy N. lp r.n.: jednym, zapadłym. [przypis edytorski]

⁷⁹Własnymi odwiedzisz kroki — dziś popr.: odwiedzisz własnymi krokami; tj. pójdziesz tam osobiście, zobaczysz to na własne oczy. [przypis edytorski]

⁸⁰larwa (tu daw.) — maska. [przypis edytorski]

„Weźmij zwierciadło ze ściany
I podaj je w moje ręce;
Niech sam skruszę me kajdany
I uczynię koniec męce.”

Wziął i westchnął; lice zbladło
I zalał się łez strumieniem,
I pocałował zwierciadło —
I cały stał się kamieniem.

Ach, co to za arcydzieło! Co ten młodzieniec musiał tam widzieć, żeby aż skamienie z podziwu, z przestrachu, może z żalu? Bo przecież nikt nie przypuści, aby miał się przyglądać jedynie odbiciu własnej osoby? Takie widowisko byłoby niesmacznym powtórzeniem historii greckiego Narcyza — nie, on tam widział coś więcej... Ach, można by tomy o tym pisać. O tych kilkunastu strofach można by powiedzieć jak o *Fauście*, że wieki miną, nim ludzie zgłębią tajemnice tam złożone.

Tak rozprawiając, pan Cezary wracał się jeszcze do różnych strof na wyrwyki, głosem niejako podkreślał niektóre wyrazy, lubował się w każdym wierszu, zwłaszcza w dwóch ostatnich:

I pocałował zwierciadło —
I cały stał się kamieniem.

Ja także byłam zachwycona. Jednak, szczerze mówiąc, te ustępy z samych poematów czerpane nie wydawały mi się *dowodami* w przedmiocie, który wymagał podstaw naukowych. Ale nie miałam odwagi buntować się głośno przeciw powadze poezji, a przy tym chodził mi po głowie inny, ważniejszy zarzut, z którym pilno było mi wystąpić.

— Pan tedy chcesz za pomocą zwierciadeł wytłumaczyć wszystkie widzenia? Zgoda, póki chodzi o wypadki już minione, o postaci osób nieżywych. Ale te same legendy, na które się pan powołujesz, opowiadają jeszcze inne rzeczy: mówią o pokazywaniu duchów, nie samego kształtu nieboszczyków, ale prawdziwych duchów, a co więcej, mówią bardzo często o wyjawianiu przyszłości. Tu już nie wiem, na co się zdadzą zwierciadła, które w każdym razie tylko przeszłość mogą pokazywać?

— Najprzód⁸¹, proszę pani, co się tycze⁸² widywania duchów, twierdzę śmiało, że zawsze jest łatwiej zobaczyć je w zwierciadle⁸³ niż w rzeczywistości. Panie patrzcie na mnie ze zdziwieniem i z niedowierzaniem? Zaraz się wytłumaczę. Duchy rzadko ludziom się pokazują, bo je wstrzymuje obawa bardzo słuszna: wiedzą, że człowieka nie przygotowanego widok ich może po prostu zabić... Nie mówię tu o wizjach wypływających ze światobliwości; z takimi wizjami Bóg zsyła razem i siłę ich zniesienia. Ale dla ludzi żyjących po ziemsku, zakutych jeszcze w skorupie zmysłowej, wszelki widok nadprzyrodzony bywa niebezpieczny. Naszą naturę fizyczną ogarnia wówczas lęk śmiertelny, którego żadna odwaga duszy ani rozumu nie przemoże. Zresztą ta odwaga jest czystą fanfaronadą; nieraz mówimy, żebyśmy nie wiem co dali, aby zobaczyć ducha, a niech nam się objawi najłżejszy znak z tamtego świata, już truchlejemy aż do głębi wnętrzości i nie tylko my, ludzie słabych nerwów, ale najwaleczniejszy wojak, najdumniejszy filozof struchleje. Słyszałem nawet między gminem wieść dosyć rozpowszechnioną, że każda śmierć nagle jest niczym innym, jak tylko niespodzianym, piorunującym zobaczeniem ducha. Ów postrach nikomu nie uwłacza, nikogo nie powinien dziwić, jest to po prostu wrażenie konania, pierwszy przełom śmierci, który musimy koniecznie przeżyć, jeśli chcemy spotkać się z tymi, co już śmierć przebyli.

Duchy to rozumieją. Toteż chodzą koło nas nadzwyczaj nieśmiało, dają nam drobniuchne sygnały, byle nas ostrzec o swojej obecności i wypróbować stopień naszego postrachu. Najczęściej lubią tynek wyrzucać z muru albo zapukać w ścianę, albo kłamkę

Duch, Strach

⁸¹najprzód — dziś popr.: naprzód; najpierw. [przypis edytorski]

⁸²tyczy się — dziś: tyczy się a. dotyczy. [przypis edytorski]

⁸³zwierciadle — dziś popr. forma Msc. lp: zwierciadło. [przypis edytorski]

spuścić. Takie znaki wydają się na pozór śmieszne i dziecinne, a jednak są wzruszające, gdy wspomnimy, że pochodzą z ich wzajemnej obawy; ach, bo i one się boją, nie śmieją wyraźniej się objawić, a źródłem tej trwogi jest nie tylko troskliwość o nas (między duchami bywają i złośliwe, które by może chętnie nam szkodziły), ale także poczucie własnej, strasznej odpowiedzialności, bo według powszechnie znanego podania, *duch odpowiada za życie osoby, której się pokazuje*, odpowiada jak żywy człowiek i śmierć tej osoby, sprawiona nieopatrzonym spotkaniem, jest mu poczytana za proste *zabójstwo*. A jednak duchy nieraz pragną nas widzieć! Jak my tęsknimy do nich, tak one tęsknią do nas; lubią odwiedzać miejsca, gdzie dawniej mieszkały; toteż krążą pomiędzy nami, ale ostrożnie, biorąc się na różne sposoby i wybiegi. I tak najczęściej przychodzą w nocy.

Lud rozumie to doskonale, kiedy twierdzi, że pianie kura⁸⁴ je wystrasza; istotnie, pierzchają przed światłem dziennym, nie z żadnej antypatii do samego światła, ale z obawy, aby dzień ich nie zdradził oczom ludzkim. Za to noc dla nich bardzo dogodna. Nie bez przyczyny też dzieci mają wrodzony i taki nieprzeparty wstręt do ciemnego pokoju; czują tam obecność istot niezrozumiałych; z posłuszeństwa pójdą, ale będą drżały i pośpiewywały dla dodania sobie fantazji. I my, starsi, jeszcze nieraz podlegamy tym ostrzegawczym instynktom. Wiadoma rzecz, jak jest niemiło siedzieć w wieczór w oświetlonym pokoju, kiedy drzwi są na rościęz otwarte do drugiego, ciemnego; te drzwi otwarte nas korcą, zdaje nam się, że z nich coś wyjdzie, że z nich coś na nas patrzy; i niepróżne to przecucie: rzeczywiście nieraz duch stoi tam i patrzy, rad, że nas widzi, sam pozostając niewidzialnym.

O! gdybyśmy pilniej badali tysiące drobnych wskazówek, zrozumielibyśmy, że stosunki z innymi światami nie są tak zupełnie zerwane, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Sięgnijcie, panie, we wspomnienia wszelkich czasów i krajów: nie ma prawie ruiny, gdzie by według legendy jakiś duch się nie błąkał; tak, najczęściej one osiadają na pustkowiu, aby żyjącym oszczędzać swego niebezpiecznego widoku. Są jednak między nimi i śmielsze, które zachodzą aż do mieszkań naszych, tylko czynią to bardzo przezornie, w godzinach, w których śpimy, albo kiedy wyjdziemy z domu. Wiadomo, jak w pustych pokojach często coś trzeszczy i szemrze; to one, korzystając z chwilowej swobody, chodzą sobie bez obawy, oglądają miejsca niegdyś drogie, przepatrują rzeczy służące nam do codziennego użytku, czytają nasze rękopisma⁸⁵ i cieszą się tym wszystkim, jak my rozrzewniamy się nad pamiątkami po nich pozostałymi.

A w tych wędrówkach po mieszkaniu przesuną się nieraz przed zwierciadłem i nie chcący zostawić w nim odbity swój obraz. A co? Widzicie, panie, doszliśmy do celu. Nie próżno twierdziłem, że ducha łatwiej zobaczyć w zwierciadle niż w rzeczywistości. Ja sam nieraz widziałem... to jest... przysiąc bym nie mógł, czy to były duchy. W każdym razie widywałem jakieś słupy szare, niewyraźne, zwłaszcza w scenach żałobnych, jak na przykład przy śmiertelnym łożu mego opiekuna... W takich godzinach jest najwięcej podobnych zjawisk; ludzie mówią, że duch, wyszedłszy z ciała, nie może jeszcze przywyknąć do swego nowego stanu i krąży przy zwłokach przez kilka dni, aż do pochowania ich w ziemi; mówią nawet, że boi się własnego trupa i z tej przyczyny jest zaleconym, aby zawsze ktoś przy zwłokach czuwał.

Tych wszystkich mniemań bynajmniej nie podaję za pewniki, może kiedyś dopiero potrafię je lepiej sprawdzić. Długo brałem te mętne słupy za pył, co wiruje w promieniu przepuszczonym przez szparę okiennicy, albo za cienie rzeczywistych osób i przedmiotów, które mogły stać w taki sposób, że tylko cień ich dosięgał zwierciadła... Na koniec, na powtarzane wciąż moje pytania Hallucini objaśnił mi, że to są duchy, a ich niewyraźność tłumaczył niedokładnością maszyny, która rzeczy ludzkie wybornie odbijała, ale dla nieludzkich była jeszcze za słabą. Obiecywał jednak, że z czasem...

Pani Marta, która podczas całego ustępu o duchach trącała mię łokciem i usta zasłaniała, w tej chwili wybuchnęła zupełnym śmiechem, wołając:

— Ależ proszę pana, jak duchy się zwiedzą, żeście je państwo podpatrzyli, to zaczną jeszcze ostrożniej chodzić, tak aby nawet ich odbicie nie padło na zwierciadła, i wtedy będzie po wszystkim.

⁸⁴*kur* (daw.) — kogut. [przypis edytorski]

⁸⁵*rękopism* — dziś: rękopis. [przypis edytorski]

— Najprzód — odrzekł poważnie pan Cezary, choćby obawy pani się sprawdziły, jeszcze zostanie nam przeszłość; duchy już narozrzuciły w zwierciadłach tyle swoich obrazów, że mielibyśmy cały ich świat do studiowania. Ale próżne obawy, bądź pani spokojna; wynalazek nasz nie spłoszy duchów, bo one są mądre, one dobrze wiedzą, że ich obraz *odbity* nie sprawia przerażenia. Ja przecież nieraz je w ten sposób widziałem, a jednak żyję; nie pamiętam nawet, abym kiedy się ich naprawdę przeląkł, dopóki zwłaszcza nie powiedziano mi, że to są duchy. Pani patrzysz nieraz na portret umarłej osoby i wcale go się nie boisz, a gdyby jej duch ci się pokazał, choćby podobniusię do tego malowidła, sprawiłby wrażenie całkiem inne. Odbicie w zwierciadle jest także rodzajem portretu...

W tym miejscu ja się wtrąciłam:

— To prawda. Słyszałam o wielu osobach, co miały wizję w zwierciadle, dostrzegły na przykład białą figurę za sobą, a zniosły ten widok dość odważnie; wprowadzie taka wizja zawsze bywa poczytywana za wróżbę nieszczęścia, jednak w samej chwili nie przejmując wielkim postrachem. Wszak i owe dziewczęta, co w wilię Świętego Andrzeja siedzą przed zwierciadłem dla przekonania się, kto będzie ich przyszłym, nieraz podobno go widują, a jakoś nie słycać, aby która umarła ze strachu. Miałeś pan słusność, portret a oryginał to wcale co innego. Pańskie teorie niesłuchanie mię pociągają. Wielu osobom — tu spojrzęłam spod oka na moją towarzyszkę — mogą się one wydawać zbiorem zabobonów i przywidzeń, ale ja zanadto wierzę w możebność stosunków z innym światem, zanadto jej pragnę i do niej tęsknię, ażeby jakiegokolwiek przypuszczenie odrzucać na lekko. Jednak ze mną niełatwa sprawa, jeszcześmy nie skończyli... We wszystkim, co się tyczy duchów, dobrze, daję panu za wygraną, ale największa trudność zostaje do rozwiązania: przyszłość. Tu ciekawa jestem, jak pan sobie poradzi? Czy dowiedzieliśmy nam, że i przyszłość można widzieć w zwierciadle?

— Ja też nie mówiłem, aby można ją widzieć w zwyczajnym zwierciadle, kryształowym. Są inne zwierciadła... Ale to by za daleko mnie zaprowadziło...

Tu pan Cezary zastanowił się i zawahał. Po długiej chwili podniósł głowę:

— Ha! kiedy już tyle powiedziałem, dopowiem i resztę, chociaż tylko w głównych zarysach, bo gdybym chciał tłumaczyć cały system Hallucinięgo, musiałbym wyklądać kurs kilkomiesięczny, może i kilkoletni⁸⁶...

Na wspomnienie kursu „kilkoletniego” twarz pani Marty wyraziła rozpaczliwy przestach.

— Nie bójcie się, panie; wiem ja dobrze, jak trzeba rozumować z tą połową rodu ludzkiego, której główną zaletą jest *zmysł odgadywania*. Mężczyźni żądają wywodów ścisłych i wyczerpujących, damy się owszem nimi niecierpliwą, wolą szkic leciuchny, który można „dośpiewać w duszy”. A więc będziemy szkicowali. Widząc, jak Hallucini robi i robi doświadczenia, które nigdy go nie zadowalają, widząc, jak męczy się w poszukiwaniach...

— Przepraszam pana, że zaraz na początku przerywam; ale chciałabym wiedzieć, czego on jeszcze szukał? Przecież już posiadał sekret zwierciadlany?

— Ja też go się o to samo pytałem, to samo zdziwienie sto razy wyrażałem. Długo zbywał mię tajemniczym uśmiechem, aż dopiero po kilku latach, gdyśmy doszli do większego zaufania, pewnego razu wynurzył się:

„Mój kochany Cezary, już czas ci powiedzieć, że ten wynalazek, co tobie wydaje się olbrzymim, w moich oczach to jeszcze zaledwie drobnostka, zupełnie jakby dziecko w kolebce. Nie przeczę, że ma wielkie znaczenie jako zawiązek przyszłych odkryć, bez niego nie byłoby czym zacząć, ale gdybym go zostawił w takim stanie, w jakim spoczywał od czasów Trysmegisty⁸⁷, w jakim poprzednicy mi go przekazali, nie miałbym prawa do żadnej chwały. Przyszła chwila rozkwitu dla nowej nauki. Nasza epoka jest pełna takich rozkwitów niespodzianych, takich dojrzewania pozornie nagłych, a na które wieki się składały. Wszak astronomia i chemia przez całe tysiące lat sniły sobie w astrologicznych i alchemicznych powijakach, aż dopiero niedawno, prawie w naszych oczach, wyrosły na poważne, prawdziwe nauki. Tak i ja, z urywkowej, hieroglificznej magii zwierciadlanej

⁸⁶kilkomiesięczny, kilkoletni — dziś popr.: kilkomiesięczny, kilkoletni. [przypis edytorski]

⁸⁷Trysmegista, własc. *Hermes Trismegistos* — bóstwo hellenistyczne, czczone w pierwszych wiekach n.e., powstałe z połączenia tradycji egipskich (Thot) i greckich, uosobienie mądrości i wiedzy tajemnej, wg legendy autor tysięcy ksiąg. [przypis edytorski]

chcę wyprowadzić prawdziwą naukę, i wyprowadzę! Wtedy dopiero będę miał co ogłaszać i czym się unieśmiertelnąć. W poszukiwaniach już zaszedłem niezmiernie daleko; chodzi mi tylko o wydoskonalenie tej maszyny, którą dotąd widzisz w stanie najprimitywniejszego dzieciństwa, a która tym będzie w porównaniu do przyszłej, czym oczne rury Chaldejczyków do dzisiejszego teleskopu. Im silniej potrafi pokazywać, tym szersze pole otworzy do badania. Bo zaprawdę, mój Cezary, gdybyśmy mieli ograniczyć się na samych lustrach ze szkła i merkuriusza⁸⁸, niedaleko byśmy zaszli. O nie! Wkoło nas jest więcej zwierciadeł. Wszystko jest zwierciadłem.

Oko

A najprzód oczy ludzkie (a nawet i zwierzęce). Nauka dziś dowiodła, że w każdym oku przedmioty zostawiają swój wierny, chociaż zdrobniały obraz, i tych obrazków gromadzą się całe stosy; kto wie, czy to nie one stanowią księgę pamięci? Najsilniej tę własność objawia oko, które długo pozostawało w ciemności; wtedy wewnątrz jego zarasta jakimś osobliwszym gorąco-purpurowym osadem, na którym przedmiot, odbity w nagłym świetle, rysuje się tak wyraźnie, że można go z zewnątrz najdokładniej rozróżnić. Próbowano już nawet zastosować to odkrycie do badań sądowych, na przykład w razie zabójstwa, którego sprawca pozostawał niewiadomym, chciano w oczach ofiary odszukać jego wizerunek; ale próby okazały się omyłne, często nawet nawodzące na fałszywe domysły, bo oko pokazywało zawsze tylko *ostatnią* scenę, jaka się przed nim przesunęła, a ta ostatnia mogła być długim konaniem oddzielona od chwili samej katastrofy; do jej wytłumaczenia sąd byłby nieraz potrzebował wielu scen poprzednich, pod tamtą odrysowanych, a tych już nikt nie mógł dopatrzeć.” Otóż Hallucini obiecywał, że kiedyś jak ze zwierciadła, tak i z oka będzie można wyciągać *wszystkie* warstwy odbić, i już nie alegorycznie, ale naprawdę czytać z oczu człowieka jego przeszłość, odbudować wszelkie a wszelkie obrazy, na które patrzył od swego urodzenia.

— Oj — przerwałam ze śmiechem — nie wiem, czy by każdy poddał się tej operacji? Czy by chciał drugim pokazać wszystko, na co kiedykolwiek patrzył⁸⁹?

— Ha! może i słuszną pani obawa. Niejeden pewnie zawołałby z Owidiuszem: *Peccatumque oculos est habuisse meum*⁹⁰... Toteż byłby to wyborny probierz na sumienia. Pisałem i zawsze powtarzam, że ten wynalazek może mieć wpływ i na moralność. Ale idźmy dalej. Rozejrzyj się, pani, gdzie chcesz, choćby we własnym pokoju: czyż tylko zwierciadło powtarza tam przedmioty? Nie, każdy mebel wygładzony, każdy brąz, każda klamka, nawet froterowana posadzka, nawet pokost na obrazach, nawet lakier na drzwiach i oknach odbijają wszystko, wprawdzie nie tak wyraźnie jak zwierciadła, ale Hallucini zapewniał, że z pomocą spotęgowanej maszyny można by te odbicia doprowadzić do zupełnej czystości. Siedziś pani przy biurku, to widzisz się w politurze biurka, w kuli od lampy, w marmurowej półce, w złotej bransoletce, w połyskach atlasowej szarfy. Maczasz pióro? Twoja ręka odbiła się w kałamarzu. Pijesz filiżankę herbaty? Twarz twoja odbiła się w herbacie. A jeśli wyjdiesz z domu, wszędzie to samo, w dole, w górze. Oto ptak przeleciał i przejrzał się w blasze świecącej na wieży kościoła. Oto promień wystrzelił i mignął w bagnecie tego żołnierza, co przechodzi drogą. Wszedłaś pani do ogrodu? Oto na drzewie błyszczą wiśnie, na parkanie błyszczą winogrona jakby tysiące gałek szklanych, gdzie mającą tysiące odbić. A co traw połyskliwych, co liści niby woskowanych, które drgają od ciągłych odbłasków jakby długie, wąskie lusterka! Może w ogrodzie jest sadzawka? A toż gotowe zwierciadło. Ale nie trzeba i sadzawki: każda kropla deszczu, każda kropelka rosy powtarza cały krajobraz, nawet w brzydkiej kałuży odnajdziesz, pani, śliczne niebo i własny wizerunek. A jeżeli staniesz nad rzeką, a toż istne panorama! A dopieroż nad morzem, nad tym olbrzymim zwierciadłem, co od stworzenia świata połknęło miliony, miliardy obrazów, a żadnego jeszcze nie oddało! Ale odda je, odda — i wszystkie powierzchnie gładkie albo świecące będą musiały je oddawać, jak tylko nasz magiczny przyrząd zacznie działać, jak zacznie zrywać zewsząd odbicia na kształt owych kartek sklejonnych, które zdzieramy z kalendarza. A wtedy już nie przyjdzie żałować, że Egipcjanie i Grecy nie znali naszych zwierciadeł, wszystko się odnajdzie, wszystko — aż do Atlantydy i do arki Noego, i do pierwszego poranku świata, który w oceanie się przeglądał.

Lustro

⁸⁸merkuriusz (daw., z łac.) — tu: rtęć. [przypis edytorski]

⁸⁹patrzył — dziś popr. forma: patrzył. [przypis edytorski]

⁹⁰*Peccatumque oculos est habuisse meum* (łac.) — w moich oczach można zobaczyć wszystkie grzechy. [przypis edytorski]

— Pyszne to rzeczy, ale i zastraszające — odezwałam się z rodzajem trwogi. — Ta-
ka wieczna kontrola byłaby może istotnie zdrową dla moralności publicznej, ale za to
dla spokoju domowego, no... to zupełnie jakbyśmy mieszkali w szklanych domach. Ach,
okropny ten Hallucini ze swoją szpiegowską maszyną. A toż by nie zostało już kąta na
świecie, gdzie by można się schować przed okiem uczonych, notabene nie tylko współ-
czesnych, ale i potomnych? Gotowi by z jednego guzika odczytać całe życie ludzkie! Kto
by chciał ująć spod ich śledztwa, ten by nie śmiał wypić szklanki wody, musiałby wy-
rzec się bransoletek, sukien jedwabnych, mebli politurowanych i siedzieć chyba w jakiejś
wieży kamiennej...

— A i to by nie pomogło! — zawołał tryumfująco pan Cezary. — I to by jeszcze nie
pomogło, bo i tam dojdzie światło, a w świetle nic nie ginie. Któryś z uczonych, jeżeli
się nie mylę Babbage⁹¹, powiedział, że atmosfera jest niejako „biblioteką zachowującą na
swoich kartach wszystko, cokolwiek wyrzekł kiedy mąż albo niewiasta”, bo każdy dźwięk,
trąciwszy raz falę powietrzną, wywołuje dalsze falowanie i przedłuża się ciągle, wiecznie...
Tak samo, i jeszcze słuszniej, można by powiedzieć, że atmosfera jest nieskończoną galerią
obrazów, bo każdy obraz, odbiwszy się o falę powietrzną, siłą tego falowania odbija się
i dalej, dalej, do nieskończoności. Toteż Hallucini nazywał atmosferę „olbrzymią kopułą
zwierciadlaną”, która nasz glob otacza i powtarza wszystko, co się na tym globie dzieje.
A poza powietrzem eter chwyta owe odbicia i podaje znów dalej, a raczej to ani eter, ani
powietrze, ale samo światło jest owym przewodnikiem, który przenosi obrazy na swoich
promieniach, jak iskra elektryczna przenosi nasze słowa. Pojęcia te wydają się jeszcze
ciemne, bo nauka ledwo ich zaczątki zbadała, ale Hallucini zaszedł w nich daleko, na ich
poparcie przytaczał mi tysiące wypadków, a nawet wielu autorów, którzy już nieśmiało
rzucali podobne domysły. Przeczytam i paniom parę z tych ustępów, ażebyście nie sądziły,
że to wszystko wylęło się jedynie w naszych głowach. Oto na przykład ciekawa kartka
z pism Cahagneta⁹²:

„Że osoby i przedmioty mogą wytwarzać własny obraz i wielokrotnie się
podwajać, na to mamy dotykalne dowody, pokazujące jawnie, że obraz rze-
czy wyciska się niejako w miejscu, w którym ta rzecz pozostawała. I tak, pan
Teste w swoim *Dzienniku* przytacza następujące ciekawe zdarzenie: Pewna
jasnowidząca, wchodząc do pokoju, odzywa się: »Co za śliczna dziewczynka
siedzi tu na krześle!« Zdziwiony pan Teste robi jej uwagę, że się omyliła, że
nie ma żadnej dziewczynki. Ale tamta, zamiast ustąpić, idzie dalej w swo-
im twierdzeniu, zapewnia, że na każdym krześle spostrzega dziewczynkę,
a było tych krzeseł sześć. Pan Teste, nie mogąc sobie zdać sprawy z takiego
przywidzenia, poprzestał na zebraniu szczegółów dotyczących ubioru owych
dziewczynek. Wkrótce potem dowiedział się od innych osób, że zupełnie
podobna dziewczynka bawiła się w tym pokoju na chwilę przed wejściem
jasnowidzącej, że skakała po wszystkich krzesłach i na każdym z kolei sia-
dła.”

Skończywszy czytanie, pan Cezary spojrzał na mnie pytająco.

— Wszystko to być może — odrzekłam — jednakże... nno, nie powiem, abym to
koniecznie miała między bajki włożyć, ale powiem, że Cahagnet nie jest żadną powagą
ani naukową, ani filozoficzną. Samouczek⁹³ to bardzo zadziwiający, zawsze przecież tylko
samouczek, co z rzemieślnika w bluzie chciał nagle wyjść na Hierofanta⁹⁴.

— Pani surowo go sądzisz. Spirytyści inaczej myślą i może potomność podzieli ich
zdanie. Ale nie chcę spierać się o Cahagneta, za daleko by nas to zaprowadziło. Może
panią lepiej przekona inny rodzaj autora, na przykład ksiądz Gratry⁹⁵?

⁹¹Babbage, Charles (1791–1871) — ang. matematyk, twórca tablic logarytmicznych, wynalazca maszyny dy-
ferencyjnej (maszyny liczącej) oraz oftalmoskopu (przyrządu do badania wnętrza oka ludzkiego). [przypis edy-
torski]

⁹²Cahagnet, Louis-Alphonse (1809–1885) — fr. badacz somnambulizmu i mediumizmu, napisał *Magnétisme*.
[przypis edytorski]

⁹³Samouczek — tu: samouk. [przypis edytorski]

⁹⁴Hierofant (z gr.) — kapłan misteriów eleuzyjskich; człowiek objawiający innym święte tajemnice. [przypis
edytorski]

⁹⁵Gratry, Auguste Joseph (1805–1872) — fr. teolog i filozof, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

— Co? Książd Gratry? A! to co innego. Mój kochany, nieoceniony książd Gratry! Jeżeli on co podobnego twierdzi... Ale czekaj pan... Zaczynam sobie przypominać, że kiedyś w jego książkach spotkałam...

— Aha, widzi pani! Przypomnienie stanie się jeszcze wyraźniejsze, kiedy zajrzemy do tekstu. W mojej księdze mam pełno wyciągów z dzieł, a raczej arcydzieł tego prawdziwego mędrca.

Oto najważniejszy... jest to sławny ustęp z „Epilogu”, jakim Gratry zakańcza swoje wspaniałe studium *La connaissance de l'âme*⁹⁶:

„Tak, postać tego świata mija, ale istota jego trwa. Z tego wszystkiego, co istnieje, nic nie zostanie zatraconym.

Na dowód owej trwałości wszechrzeczy oto piękne podobieństwo⁹⁷, a raczej prawda naukowa, która może trafić i do umysłu, i do serca.

Wiadomo wam, że światło, pomimo swojej niesłychanej szybkości, podlega jednakże warunkom czasu. Od słońca do ziemi przylatuje w ośm⁹⁸ minut; od najbliższych nam gwiazd we trzy lata; od najdalszych (zawsze jednak jeszcze należących do naszego zbiorowiska) biegnie przez trzy tysiące, sześć tysięcy lat, nawet dłużej.

Światło ziemskie odwrotnie — dostaje się do gwiazd w tychże samych odstępach czasu. Obraz całego globu, ze wszystkimi jego widzialnymi szczegółami, wzbija się nieustannie w niebo — do pierwszych gwiazd dochodzi we trzy lata, do ostatnich z naszego zbiorowiska idzie sześć tysięcy lat.

I tak, w chwili kiedy Zbawiciel cierpiał na Golgocie, Boska światłość jego oblicza, jego postaci, jego spojrzenia wzniesionego ku niebu, wszystkie te światła poszły w przestrzeń, poszły i dotąd idą; cały obraz Ukrzyżowania jeszcze się nie zatarł; od owej chwili dwa tysiące lat ledwo upływa, więc obraz ów znajduje się jeszcze między gwiazdami naszego zbiorowiska. I jeżeli na jakiejś pośredniej gwiazdzie jest istota obdarzona wzrokiem bystrzejszym lub narzędziami potężniejszymi od naszych, istota owa widzi ten krzyż, to oblicze, tę koronę cierniową, tak, widzi to wszystko dzisiaj, teraz, jeśli tylko patrzy w tę stronę. A choć i nie patrzy albo śpi, w każdym razie owo cudowne widowisko przesuwają się koło niej ze wszystkimi swymi szczegółami i poruszeniami, i będzie tam widzialne kilka godzin. I tak samo na tysiącach a tysiącach światów, i to przez jutro, i pojutrze, przez lat sto, przez lat milion, aż do skończenia wszechrzeczy.

A jak scena Kalwaryjska, tak i wszystkie sceny z żywota ludzkości odbijają się w przestrzeni i płyną w niej bez końca.

Ziemia, co wypila krew Abła, według Pisma woła wciąż do nieba, i tak jest rzeczywiście, wołanie to jeszcze nie ustało. Ramię Kaina ciągle jeszcze gdzieś podnosi się i uderza. Strugi krwi, co raz wypłynęły, nie zatrzymują się w nieskończoności i palec nauki mógłby na niebie pokazać nam gwiazdy, do których płama krwi Ablowej dopiero teraz dopływa.

I to samo powtarza się z dziejami wszystkich ludzi, z waszą własną przeszłością, z przeszłością tych wszystkich, których potraciliście i oplakujecie...

A więc i moje życie niezatarcie jest przechowane? Gdy na to wspomnę, ach, ileż myśli ogarnia mię i poraża... Nie, to nie żadne złudzenie, to rzeczywistość jeszcze rzeczywistsza, niż się zrazu zdaje, wszystkie moje ruchy i czynności, wszystkie nawet spojrzenia i postawy, w miarę jak je wytwarzam, rysują się i niejako wyrzeźbiają w obszarze eteru. Otóż więc, z jednego przynajmniej stanowiska, nieśmiertelność już zapewniona mnie i moim dziełom.”

Podczas całego czytania pani Marta patrzyła niedowierzająco to na mnie, to na pana Cezarego. Kiedy skończył, zapytała nieśmiało:

⁹⁶*La connaissance de l'âme* (fr.) — poznanie duszy. [przypis edytorski]

⁹⁷podobieństwo (tu daw.) — parabola, przypowieść. [przypis edytorski]

⁹⁸ośm — dziś popr.: osiem. [przypis edytorski]

— I to ksiądz pisał?

— Tak, pani! — zawołałam z uniesieniem (które mię zawsze porywa, ile razy jest mowa o tym skromnym a wielkim filozofie, co lepiej niż Fedon⁹⁹ potrafił na sto sposobów udowodnić mi nieśmiertelność).

Tak, pani! — dodałam. — To ksiądz, wzorowy kapłan, którego pisma są nie tylko dozwolone, ale polecane przez władze duchowne, a zarazem badacz idący z biegiem wieku, myśliciel nie lękający się spojrzeć w oczy najśmielszym pytaniom. Nasza epoka jeszcze nie dość go oceniła, a jednak on będzie jednym z najchlubniejszych jej przedstawicieli; ten człowiek, idąc śladem wszystkich wielkich pisarzy Kościoła, dziwnie umie pogodzić nieruchomość prawd wiecznych z ruchomością doczesnego postępu; klejnoty, które nauka nieustannie zdobywa, a które nieraz obca ręka obrobiła ostrzem zaprzeczenia, on wszystkie umie użyć na ozdobę ołtarza... Tak, panie, przyznaję, powyższy ustęp silnie popiera pańską teorię, ale... (w każdym ludzkim rozumieniu musi być jakieś „ale”) dlaczegoż nikt z nas nie widzi tych obrazów krążących w świetle?

— Wyborne pytanie! A dlaczegoż pani na niebie nie dostrzegasz i połowy gwiazd, które jednak luneta od razu ci pokaże? Dlaczego patrzysz na kroplę wody, a nie domyślasz się w niej tysiąca mieszkańców, które mikroskop wyraźnie ci objawi? A! zawsze człowiek wraca do swojej dziecinnej maksymy:

„Czego nie widzę, tego nie ma.” Ale na ten raz nawet i pierwsza połowa maksymy jest niezupełnie prawdziwa, bo istnieje mnóstwo ludzi, którzy te rzeczy widzieli: czymże innym są wszystkie *widzenia*? Widzeniom jednak dajmy pokój... Wolę nie dotykać i ekstazy, która może sięgać w inne sfery... Nie będę się nawet wspierał na somnambulizmie ani mesmeryzmie¹⁰⁰, które dla wielu umysłów są jeszcze przedmiotem spornym i tym łatwiej podlegającym krytyce, że zwykle towarzyszą stanowi chorobliwemu, ale za to przytoczę dowód jeden, zwycięski, na który zwątpienie ani sarkazm nie znajdą odpowiedzi. Wiadomo przecie, że są ludzie, którzy posiadają tak zwany *dar drugiego widzenia*, *don de seconde vue*. Istnienie takich ludzi jest rzeczą dowiedzioną. Akademia nie potrafiła dotąd wytłumaczyć ich daru, a nie mogąc go wytłumaczyć, woła nie zwracać nań uwagi. Jest to dyplomacja, która nic nie dowodzi. Milczenie faktu nie niszczy. Zobaczmy, co mówią o tym badacze głębiej patrzący, taki na przykład Görres¹⁰¹ (któremu pani, jak sądzę, wierzysz lepiej niż Cahagnetowi). Oto co ten kolos mądrości pisze w trzecim tomie swojej *Mistyki*:

„Takie usposobienie panuje głównie w północnej części Wielkiej Brytanii... gdzie znane jest pod nazwą *second sight*, czyli drugiego widzenia. Ludzie nim obdarzeni noszą w języku gaelickim przydomek *Phissihin* od wyrazu *Phis*, wiedzieć naprzód, albo *Taishatrim* od słowa *Taisk* oznaczającego rzecz, której nie można uchwycić ręką, ale którą można widzieć ludzkimi oczami...

Już od niepamiętnych czasów Bretońskie wyspy słynęły z tego daru... Pojawia się on nie tylko sporadycznie w tej lub owej wiosce, ale czasem i jednocześnie w różnych miejscowościach o kilkadziesiąt mil od siebie oddalonych, a których mieszkańcy nie mieli między sobą stosunków... Ludzie skłonni do tego stanu nie są to żadni melancholicy ani zapaleńcy, których wyobrażenia dałaby się łatwo ułudzić. Nie poczytują też go sobie za łaskę, ale owszem za przykrą i niewygodną przypadłość, której by radzi jak najprędzej się pozbyć... Nie zależy on ani od płci, bo kobiety równie jak mężczyźni mu podlegają, ani od wieku, bo słyszano dzieci w kolebce krzyczące z przestraszu, kiedy ktoś z dorosłych miał tuż przy nich widzenie, ani od zdrowia, bo dar ten wcale nie wybiera koniecznie osób wątłych albo chorowitych, ale zstępuje, gdzie mu się podoba; w pewnych rodzinach przechodzi z ojca na

Prorocstwo

⁹⁹Fedon — bohater tytułowy jednego z dialogów Platona. [przypis edytorski]

¹⁰⁰mesmeryzm — zjawiska, które dzisiaj znane są pod nazwą hipnozy, w XIX w. określano jako mesmerizm (od nazwiska Franza Antona Mesmera, 1734–1815) lub magnetyzm. [przypis edytorski]

¹⁰¹Görres, Jakob (1776–1848) — uczony i publicysta niem., występował przeciw nadużyciom duchowieństwa i arystokracji. Wydał m.in. czterotomowe dzieło *Die Christische Mystik* (Mistyka chrześcijańska). [przypis edytorski]

syna dziedzicznie, podczas kiedy gdzie indziej znika z jednego domu, ażeby niespodzianie pokazać się w drugim. Czasem otrzymuje go się dopiero w starości, nie wiadomo skąd i dlaczego. Co także zauważono, to, że nigdy nie trafia się w stanie pijaństwa. Owi tak zwani »widzący« są to zazwyczaj ludzie prości i ograniczeni, wstrzemięźliwi i szczerzy; opowiadają, co widzieli, nie przywiązując wielkiej wagi do tych rzeczy, a jeśli drudzy im wierzą, to nie na lekko; dobrze pierwszej zważają, czy widzenie się sprawdza; ale też po sprawdzeniu już nie czynią gwałtu zmysłom ani rozsądkowi, i nie przeczą oczywistości...

Widocznie więc chodzi tu o władzę czysto przyrodzoną, która nie potrzebuje żadnych bodźców zewnętrznych i zdaje się polegać na jakimś odrębnym usposobieniu systemu nerwowego...

Pokazanie się widziadła sprawia tak wielkie wrażenie, że patrzący nie może już nic innego widzieć ani o niczym innym w owej chwili myśleć. Na twarzy jego maluje się frasunek albo wesołość, stosownie do znaczenia wizji. Ta zwykle bywa bardzo krótką, trwa tylko tyle czasu, ile widzący może patrzeć bez mrugnięcia powiekami... Nigdy on nie wie, gdzie, kiedy i co zobaczy. Nieraz widzi przedmioty w ogromnych odległościach, na przykład aż w Ameryce położone; czasem są to dzieła natury albo sztuki, domy, drzewa, okręty itp. przedstawiające mu się w miejscach, w których jeszcze nie istnieją, ale gdzie kiedyś będą stały..."

Słyszycie, panie? *Gdzie kiedyś będą stały*. Najczęściej przecież widuje ludzi i różne przygody, jakie ich w *późniejszym czasie* mają spotkać, narodziny, śluby, kłótnie, bitwy, zwłaszcza też różne rodzaje śmierci i pogrzeby...

„Zjawisko to zresztą nie zamyka się wyłącznie w granicach Wielkiej Brytanii; można i gdzie indziej spotkać je między ludem, i to nierównie częściej, niżliby kto sądził. Jeszcze na początku przeszłego wieku pojawiało się w Delfinacie¹⁰² i Sewennach¹⁰³, a rozruchy wówczas tam wybuchające opierały się głównie na widzeniach tego rodzaju. Narodom germańskim także władza ta nie była obcą; miała u nich wielkie znaczenie między Alrunami¹⁰⁴; dziś jeszcze można ją odnaleźć w Westfalii, w okolicach Salzburga i gdzieś w Szwajcarii. Pojawiała się też i wśród ludów słowiańskich, widzimy ją przynajmniej w Czechach wysoko rozwiniętą podczas tamiecznych wojen religijnych. Ale już nigdzie nie rozwinęła się do wyższego stopnia, jak między plemionami pochodzenia fińskiego; przez nią to owe plemiona tak wielce zasłynęły w magii.”

Görres jeszcze szeroko się rozpisuje, przytacza wiele wydarzeń osobliwszych; nie on jeden zresztą o tym pisze. Zaciekawiony tytuł opowiadaniom, Hallucini jeździł umyślnie do Szkocji; przywiózł nawet stamtąd kilka słoików, gdzie były w jakimś płynie przechowywane oczy takich ludzi; badał te oczy anatomicznie; miał nadzieję, że odkryje w ich budowie jakieś odmiany, jakieś zboczenia, które będzie mógł zastosować do swojej maszyny, i mówił mi, że istotnie wiele zawdzięczał tym studiom.

Na wieść o przechowywaniu ludzkich oczu w słoikach oczy pani Marty zaokrągliły się z przestachu. Pan Cezary ciągnął z rosnącym zapalem:

— Są więc ludzie, którzy w powietrzu widzą więcej niż my, upośledzeni, a że widzą *lepiej* od nas, na to najwymowniejszym dowodem jest zwykłe sprawdzanie się ich przepowiedni, bo według słów, jakie czytaliśmy przed chwilą, i według wszelkich innych świadectw, ludzie ci widują często wypadki, które dopiero mają stać się kiedyś. I oto znaleziona odpowiedź na ostatnie pani pytanie: przekonywamy się, że w *zwierciadle światła* można widzieć przyszłość.

¹⁰²Delfinat — kraina hist. w pld.-wsch. Francji. [przypis edytorski]

¹⁰³Sewenny — pld.-wsch. krawędź Masywu Centralnego we Francji; opada ku dolinie Rodanu. [przypis edytorski]

¹⁰⁴Alrun — Adalruna, germańskie imię żeńskie o znaczeniu nawiązującym do szlachetności i tajemnicy; tudaw. niem. wieszczka, wizjonerka. [przypis edytorski]

— Jest to odpowiedź — odrzekłam — nie ma co mówić; szkoda tylko, że to dziwo trafia się raz na milion, i kto nie miał szczęścia urodzić się chłopem szkockim lub west-falskim albo przynajmniej należeć do ich otoczenia, ten musi poprzestać na wieściach, jakie ktoś od kogoś zasłyszał. I jeszcze od jakiego to kogoś! Dlaczegoż ta władza zstępuje tylko na ludzi prostych i ograniczonych? Ten szczegół, w którym Görres zdaje się dopatrywać jeden dowód więcej, w moich oczach osłabia wszystko; prostota i naiwność są prześlizgające, rozrzucające, dopóki się trzymają na gruncie uczucia i legendy, ale gdzie chodzi o ścisłość doświadczeń naukowych, o rozróżnienie zjawisk od zabobonów, tam ich świadectwo jest bardzo podejrzané. Dlaczegoż ludzie uczeni, a przynajmniej prawdziwie wykształceni, podobnych wizji nie miewają?

— Sądziś pani, że nie miewają? A Sokrates ze swoim Demonem? A Brutus widzący cień Cezara? A Tasso otoczony widmami? A Goethe ze swoim sobowtórem? Tak, znowu Goethe; ile razy mowa o czym wyższym, zawsze nam trzeba wracać do tego Tytana; zresztą jego imię tu najwięcej ma wagi; o Sokratesach i Brutusach mogłabyś pani powiedzieć, że za starzy, o Tassie, że niezupełnie przytomny, ależ Goethe! Już jego przecie nikt nie posądzi o łatwowierność ani chorobliwość; otóż ten chłodny, ten ministerialny, ten prawie nam współczesny Goethe miał raz w życiu chwilę *drugiego widzenia*; raz, ale miał. Co ją spowodowało? Nie żadne fizyczne cierpienie, gdyż wówczas był w kwiecie młodości i zdrowia; może raczej boleść moralna, wypadek ten bowiem spotkał go w jednej z najcięższych godzin jego życia, w chwili rozstania się z ukochaną Fryderyką. Sam go opisał w pierwszym tomie swoich *Pamiętników*, a opis ma tym większe znaczenie, że został skreślony w wiele lat później, w epoce rozważań, kiedy się już zwykło odrzucać mrzonki i surowo przebierać we wspomnieniach. Mam i ten opis w moim skarbcu; lakoniczny on i ogólny, ale tym wiarogodniejszy. Oto znalazłem:

„Widok mojej ulubionej tak mi ranił serce, że już prawie przestałem uczęszczać do Sesenheimu; niepodobna mi jednak było wyjechać, nie zobaczywszy jej raz jeszcze. Wspomnienie tej ostatniej bytności w Sesenheimie zatarło mi się już zupełnie w pamięci, wiem tylko, że cierpiałem okropnie, że Fryderyka miała oczy łez pełne, kiedy ja, siedząc już na koniu, jeszcze do niej wyciągałem rękę. Gdy na koniec wyjechał i z wolna oddalał się od wioski, spostrzegłem... jeźdźcę, który dążył po tej samej co i ja drodze, ale w przeciwnym kierunku, w stronę Sesenheimu. Tym jeźdźcą byłem ja sam; miałem na sobie ubiór popielaty, obszywany złotymi galonami, jakiego nigdy nie nosiłem. Otrząsnąłem się, aby rozpedzić przywidzenie, i zaraz też znikło. Szczególną jest rzeczą, że w ośm lat później odnalazłem się na tejże samej drodze, jadący konno w odwiedzinach do mojej Fryderyki i odziany takimże samym ubiorem, w jakim się sobie niegdyś pokazałem; trzeba jeszcze widzieć, że wybór owego ubrania wcale nie wypadł z mojej woli, ale był dziełem przypadku. Czytelnicy pomyślą, co zechcą o tym osobliwym widzeniu, mnie ono zaraz wydało się proroczym, a wlewając we mnie przekonanie, że jeszcze kiedyś zobaczę się z moją najdroższą, natchnęło mi więcej odwagi do zniesienia tej bolesnej chwili.”

A cóż? Nieprawda, że to zadziwiające? Takie zadziwiające, że autor nie wdaje się nawet w tłumaczenie zjawiska, zastanawia się tylko nad przypuszczalnym jego celem i dopatruje w nim zamiar przyniesienia pociechy; istotnie, w owej chwili musiał on sobie myśleć: Ach, już pewno nigdy nie będę w Sesenheimie! A wizja odpowiedziała mu alegorycznie: Otóż nie, patrz: jeszcze będziesz tam jechał. Mnie jednak co innego najwięcej zastanawia i zdumiewa w tym opowiadaniu: oto ów ubiór popielaty z galonem, ubiór, którego Goethe jeszcze nie posiadał, który może nawet nie był jeszcze skrojony! Ten szczegół jest porażającej doniosłości... Jak to? Więc wszystkie, wszystkie kształty, nawet najznikomsze drobnostki, nawet nasze ubrania mają swoje idealne jakieś pierwowzory? I czy to jeden Goethe? Podobnych podpatrzeń przyszłości, dobrze poszukawszy, znajdziemy pełno w historii, w życiorysach sławnych ludzi, we wspomnieniach naszych znajomych, wszędzie. A z tych wszystkich przykładów cóż ostatecznie wypada? Oto że wszystko, co ma być, już istnieje, wszystko jest nieśmiertelne, a chwila *stawania się* stanowi tylko zjawisko przejściowe tej nieśmiertelności.

— Ależ mój panie — wtrąciła pani Marta z przekąsem — to coś zakrawa na turecki fatalizm?

— Przepraszam panią, bynajmniej. Trzymając się pani zdania, musielibyśmy odrzucić i proroctwa, a jednak je religia przyjmuje. Wypadek jakiś nie *musi* stać się dlatego, że był przepowiedziany lub naprzód widziany, ale dlatego mógł być widzianym i przepowiedzianym, że już się stał *in potentia*¹⁰⁵. Gdzie? Może w myśli Bożej. Może wszystko zostało stworzone od razu, nie tylko to wszystko, co napędza przestrzeń, ale i to wszystko, co zamyka się w czasie, bo dla Przedwiecznego czasu nie ma. Dla nas tylko, biedaków, przedmioty i wypadki występują *kolejno*, wobec wieczności wszystkie one są *jednoczesne*. Każda rzecz, każda chwila stoi między przeszłością a przyszłością jakby między dwoma zwierciadłami, w których zarówno się odbija. Przeczucie jest tylko odwróconym wspomnieniem. Nie wiem, czy panie jasno mię rozumiecie? Są to przedmioty nadzwyczaj trudne, przez naukę jeszcze prawie nie dotknięte, i do których myśl człowieka przystępuje z postrachem, jak niegdyś do tajemnic Eleuzy¹⁰⁶. Zresztą nie biorę na siebie odpowiedzialności za te przypuszczenia, opowiadam tylko pojęcia Hallucinięgo; w jego ustach wyglądały one nierównie dowodniej i bogaciej niż w moim pobieżnym szkicu; chciałem tylko wskazać, czego on właściwie szukał. Chciał po prostu zrobić rodzaj lornetki, przez którą by każdy i w każdej chwili mógł widzieć to, co dotąd widywali tylko ludzie wyjątkowo obdarzeni, i mówił mi kilka razy, że do ukończenia tego narzędzia już mu bardzo niewiele brakowało.

Nie na tym koniec: Hallucini szedł jeszcze dalej, twierdził, że kiedyś będzie można *widzieć myśli ludzkie*.

— A, dziękuję panu — wtrąciła pani Marta — już ja bym nie chciała żyć wtedy na świecie. Wprawdzie pan mi powiesz znowu, że to dobre na umoralnienie ludzi, zwłaszcza złych, którzy więcej się boją sądu ludzkiego niż sumienia, wszystko prawda, jednakże byłoby to straszliwie niewygodne. Wiedział Pan Bóg, co robił, kiedy nam urządził w głowie rodzaj celi samotnej, gdzie możemy uciec od świata i schować się przed natrętami. Najuczciwszy człowiek nie byłby rad pewnie, gdyby zawsze i wszędzie pierwszy lepszy mógł czytać w jego myślach, tym bardziej że za nasze myśli nie zawsze odpowiadamy...

— Pani mię nie zrozumiałaś. Ja nie mówiłem o widzeniu myśli wówczas, kiedy one tworzą się w głowie, ale wtedy, gdy już z niej wyszły, a raczej gdy odbiły się na zewnątrz. Bo tylko uważcie panie dziwny przebieg twórczości umysłowej: człowiek najprzód wyrabia w mózgu swoim jakąś myśl mętną, nieokreśloną; aż gdy ją urobi doskonale, nagle stawia ją przed sobą i widzi ją, zupełnie widzi. Cóż się stało? Oto myśl, dojrzawszy do wyraźnych kształtów, odbiła się w zewnętrznym świetle jak gdyby w zwierciadle i podwójnie istnieje, podmiotowo i przedmiotowo, człowiek w sobie ją czuje, a przed sobą ją widzi. Obraz tej myśli zostaje w przestrzeni, drga i posuwa się z powietrzem, czasem ten, co ją wydał, nie może już jej odnaleźć; ileż to razy mówimy: Ach, jaka szkoda! Miałem wyborną myśl i gdzieś mi się podziała... A wtedy cóż najlepiej pomaga? Wrócić na to samo miejsce, gdzie owa myśl nam przyszła, tam często ją odnajdziemy, ona jeszcze tam wisi w atmosferze odfotografowana, i to nazywa się *przypomnieniem*. Im umysł potężniejszy, tym silniej odfotografowywał¹⁰⁷ na zewnątrz swoje myśli; ich postaci odczepiają się od swego twórcy, płyną na falach światła, mogą świat opłynąć, mogą nawet na inne światy zawędrować, a jeśli mamy się trzymać systemu Gratrego, to i do nas mogą przychodzić myśli z innych światów, na promieniach gwiazd i słońc obrazowo odbite; dlatego to o ludziach wyższych mówi się: Z nieba mu przyszło natchnienie. O tak, nieraz ludziom się zdaje, że mówią symbolicznie, a tymczasem powiedzą wielką, naukową prawdę.

Takich prawd pełno jest w potocznej mowie zaklętych... istne hieroglify owej pierwotnej wiedzy zaginionej, którą ludzkość powoli na powrót odczytuje. To wszystko nam tłumaczy niesłychaną cześć, jaką świat niesie wszelkiej duchowej *twórczości*. Twórczość! Także wyraz mający znaczenie głębsze, niżeli ogół sądzi. Uczony, poeta, artysta rzeczywiście tworzy, i to nie czcze abstrakcje, ale prawdziwe istoty, kraje, światy, które naprawdę

Myśl, Wspomnienia

Twórczość

¹⁰⁵*in potentia* (łac.) — potencjalnie. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Eleuza*, własc. *Eleusis* — miejscowość w Grecji, niedaleko Aten; miejsce gr. misterii religijnych, odprawianych od XV w. p.n.e. do IV w. n.e., których uczestnicy byli zobowiązani do zachowania tajemnicy. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*odfotografowywać* (daw.) — tu: odbijać, odciskać. [przypis edytorski]

żyją, życiem nie tak może silnym i pełnym jak nasze, zawsze jednak mają pewny rodzaj życia, kto wie nawet, czy nie mają i wiedzy o swoim istnieniu?

Weźmy za przykład Hamleta: według Hallucinio są trzy Hamlety na świecie, jeden historyczny, prawdziwy królewicz duński, co umarł przed wiekami, a którego dusza jest dzisiaj w niewiadomych nam sferach. Drugi, Hamlet z dramatu, występujący w postaci wszystkich aktorów, jacy go na wszystkich scenach grają. Ale jest jeszcze i trzeci Hamlet, ideał Hamleta, utworzony przez myśl Szekspira *przed* napisaniem dramatu, bo Szekspir tylko dlatego napisał dramat, ażeby ludziom dać wyobrażenie o tej swojej wizji; ten Hamlet jest ze wszystkich trzech najpiękniejszy, cudownie piękny, do historycznego niepodobny wcale, a do scenicznego bardzo mało, bo nie ma na świecie autora ani aktora, co by potrafił osiągnąć ideału, tylko im bardziej się do niego przybliża, tym bardziej świat się nim zachwyca.

Czytałem w jednej włoskiej książce, że Rafael, nim odmalował Madonnę Sykstyńską, zobaczył ją przed sobą, wyraźnie *zobaczył*; ja temu najzupełniej wierzę; im wyższy geniusz, tym wyraźniejsze miewa wizje; to właśnie stanowi potęgę wyobraźni, potęgę, która daleko większe ma znaczenie na świecie, niżeli się ogółowi zdaje; nie trzeba nawet być geniuszem, ażeby ocenić doniosłość tej władzy, którą wszystkie umysły w niższym albo wyższym stopniu posiadają. Człowiek nie może jasno pomyśleć o żadnej rzeczy, której nie ma *wyobrażenia*. Kiedy matematyk myśli o trójkącie, mimowolnie rysuje przed sobą idealny trójkąt, inaczej nie mógłby myśleć o nim. Kiedy autor chce opisać fantastyczną okolicę albo przygodę, co nigdy nie istniała, wymyśla ją, czyli rzeczywiście stwarza, i odtąd nie można już powiedzieć, że ta okolica albo przygoda nigdzie nie istnieje, bo naprawdę obraz jej odbił się w świetle jak fatamorgana i odtąd będzie się przedstawiał nie tylko autorowi, ale i czytelnikom. Ileż razy czytelnik mówi: Ach, jak to pysznie opisane! zupełnie jakbym widział. I nie myli się, on istotnie widział. Pani, co sama piszesz książki, pewno mię dobrze rozumiesz?

— No, tak... do pewnego stopnia... Jednak ośmieliłabym się uczynić zarzut: nie wiem, czy można człowiekowi przypisywać zupełną twórczość jego myśli? Prawda, są chwile, w których myślimy to, co chcemy, i tak, jak chcemy, jednak są inne — takich nawet jest najwięcej — w których myśli nachodzą nas wyraźnie z zewnątrz, bez współudziału naszej woli, zupełnie jakby istoty obce. Nawet wyrażenia potoczne to stwierdzają, kiedy mówimy: Przyszła mi myśl szczęśliwa. Albo: Nachodzą mię smutne myśli...

— A czy wiesz, pani, co się wówczas dzieje? Te myśli, które przychodzą nam z zewnątrz, to są myśli innych ludzi, obrazy ich pojęć, co przepływają przed nami jak owe fatamorgana. Słusznym też jest twierdzenie, że za ten rodzaj myśli nie odpowiadamy; człowiek może je przyjąć lub odpędzić.

— Ależ w takim razie, proszę pana, przyjmowanie cudzych myśli, które naiwnie bierzemy za swoje, byłoby duchową kradzieżą?

— Bynajmniej. Myśl, której nikt nie zużytkował, staje się własnością wspólną, jak powietrze, którym oddychamy. Czyż pani się troszczysz o los gazów, jakie z płuc pani odchodzą po każdym odetchnięciu? Rozpierzchną się one w atmosferze, ulegną rozmaitym przemianom, i każda istota będzie miała prawo na nowo nimi oddychać, jutro, przez całe wieki, do skończenia świata. Nic też trudniejszego jak sprawdzić, kto jest rzeczywistym twórcą jakiej idei; któż z ręką na sercu ośmieli się powiedzieć: Ja pierwszy to pomyślałem. A może już niejeden pomyślał to samo, tylko swojej myśli pod żadnym kształtem nie objawił? Jeżeli nie objawił, nie ma prawa o nią się upomnieć; ten dopiero, co pierwszy wcielił ją w czyn, sztukę albo słowo, ten będzie uznany za jej twórcę. Mieć wielkie myśli a umieć je oddać, to dwa dary zupełnie odrębne i które nie zawsze chodzą w parze; mnóstwo jest ludzi posiadających pierwszy, a całkiem pozbawionych drugiego; tacy ludzie są bardzo nieszczęśliwi; mają doskonałe pomysły, a nie umieją ich urzeczywistnić, widzą ideały, a nie umieją ich drugim pokazać i całe życie mocią się ze swoją połowiczną siłą. Ale i te istoty na pozór zwichnięte bywają nadzwyczaj użyteczne; karmią drugich swymi pomysłami, chociaż to czynią bezwiednie. Obrazy ich myśli póty krążą w powietrzu, póty się napierają innym duszom, aż kiedyś, może po śmierci swego twórcy, może w jakie tysiąc lat później zostaną przez kogoś uchwycone i szczęśliwiej zużytkowane...

— Ach, moi państwo... — krzyknęła pani Marta, chwytając się oburącz za skronie — moi państwo, nie gadajcie takich rzeczy, bo doprawdy może się w głowie przewrócić.

Twórczość

Twórczość

— Rzeczywiście — odparł z głębokim przekonaniem pan Cezary — są to przedmioty groźne, a ja muszę chyba mieć bardzo mocną głowę, kiedy pomimo tyloletniego przebywania w tych zawrotnych sferach zachowałem jeszcze dzięki Bogu równowagę umysłu.

Moja towarzyszką rzuciła mi uśmieszek wyraźnie znaczący: No, już jeżeli ten zachował równowagę umysłu, to nie wiem, kto ją stracił?

W obawie, aby uśmieszek nie popsuł harmonii, zagadałam pana Cezarego innym zwrotem rozmowy:

— To jednak rzecz dziwna, że Hallucini, wtajemniczywszy pana we wszystkie swoje wyobrażenia, we wszystkie nadzieje, odmawiał panu tak uporczywie praktycznego klucza tej wiedzy?

— Wierz mi, pani, miał szczerą ochotę powierzyć mi wszystko, ale bał się mojej... jakby to powiedzieć? Bał się szlachetności, którą zawsze pragnąłem łączyć z nauką. Nieraz mówił mi: „Jeszcze nie możesz zostać prawdziwym adeptem, bo jeszcze z serca jesteś dzieckiem. Po prostu jesteś za dobry. Chciałbyś wszystkim dzielić się ze wszystkimi, a tego nie można — wszędzie muszą być stopnie, musi być hierarchia. Najwyższa mądrość nie dla gawiedzi. Jeśli chcesz wejść między wybranych, musisz trzymać z nami... i wyłącznie z nami...”

— Przepraszam pana — zawołałam — jednej rzeczy nie mogę zrozumieć. Ze wszystkich rysów tego portretu widzę jasno, że Hallucini był, co się nazywa, niedobrym człowiekiem. Otóż to mię niesłychanie dziwi. Mąż obdarzony tak ogromną nauką, szczęśliwiec, który twierdzi, że obcuje z duchami, że ma dotykane dowody na życie zagrobowe, ach, zdawałoby się, że taki człowiek powinien być lepszy od innych?

— O, pani, to niekoniecznie. Owoc z drzewa wiadomości może pójść równie na zdrowie, jak na zgubę duszy. Wiedza jest władzą czysto bierną, której można użyć tak na złe, jak na dobre. Toteż starożytność zawsze rozróżniała magię *czarną* od *białej*. Czytaj pani mistyków, a wykażą ci, jak siły piekielne umieją doskonale naśladować i przedrzeźniać działanie sił niebieskich. Hierofanci egipscy walczyli z Mojżeszem, Szymon Magik walczył z Apostołami. Wprawdzie dobra siła w końcu zwycięża, ale nim ten koniec nadejdzie, tymczasem zła siła nacieszy się i obłowi, i wielu przekłada tryumf natychmiastowy choć nietrwały nad ów tryumf wieczny, lecz daleki. Tacy trzymają się zdania, że lepszy wróbel w garści niżeli trzy na dachu. Faust albo Twardowski są właśnie upoetyzowanym typem takich ludzi. A w naszym czasie czyż się nie dzieje podobnie? Weźmy uczonego, co używa rozumu na wydoskonalenie armaty albo jakich innych zabójczych narzędzi; gotów on sprawić niesłychane dziwy, na przykład, że będą się piorunowały dwa wojska, które się nawet nie widzą, dojdzie do skutków prawdziwie magicznych, ale to będzie *czarna magia*. Może i on potrzebny, może i on mimowiednie Boskim planom służy, nie twierdzą zresztą, aby to wszystko czynił z nienawiści do ludzi, nie można jednak powiedzieć, aby działał z miłości, ani nazwać jego dzieła chwalebny. Byłoby lepiej, gdyby użył tego samego rozumu na wydoskonalenie jakiej maszyny przemysłowej albo przyrządu chirurgicznego do gojenia ran. Ale nie, on woli robić armatę, albo karabin, a dlaczego? Bo to dziś najwięcej popłaca, najwięcej daje znaczenia. Zawsze historia Fausta, zawsze sprzedawanie wieczności za doczesną korzyść.

— Masz pan zupełną słuszość — odparłam — wiem już teraz, do jakiego rzędu mędrców zaliczyć Hallucinię. Ale im lepiej go rozumiem, tym trudniej mi pojąć, jak człowiek pełen pychy mógł pozwolić, aby jego sława razem z nim zaginęła? Że też przed samą śmiercią, choćby przez ambicję, nie pomyślał o przekazaniu potomności swoich wynalazków i swego imienia? Szlachetność pańska, na którą za życia się uskarżał, w takiej chwili mogła mu właśnie służyć za rękojmnię, że pan przykładowie wykonasz tę misję.

— Ach, pani, gdyby śmierć była się Halluciniemu objawiała powoli, pod kształtem długiej, ostrzegającej choroby, gdyby można było ją przewidzieć choćby na jeden dzień, na jedną godzinę pierwej, o! wtedy nie wątpię, jestem nawet pewien, że w ostatniej chwili byłby mi wyjawiał swój sekret; ale rzeczy inaczej się obróciły... fatalny zbieg wypadków, jakby uderzenie piorunu, wszystko nagle zamieszał i zakończył. Ażeby wyjaśnić tę katastrofę, muszę wrócić do moich własnych dziejów.

Nasiedziawszy się w Paryżach i Londynach, Rzymach i Konstantynopolach, objechawszy Grecję, Palestynę i Egipt, zachciało nam się skał lodowych i zorzy północnej;

Tajemnica, Mądrość,
Samolubstwo

Mądrość, Wojna

Warszawa

zwiedziliśmy Szwecję i Norwegię, zajrzeli nawet do Szpicbergu¹⁰⁸, a potem, spuszczać się znów ku sercu Europy, zawitaliśmy do Warszawy. To miasto od razu niezmiernie mi się podobało. Z czego? Nie umiałbym określić. Warszawa ma taki urok, jaki posiadają niektóre kobiety, co to nie są ani bardzo piękne, ani bogate, ani uczone, a przecież więcej wabią niżeli wszystkie tamte. Nosi ona w sobie jakąś sprężynową moc oddziaływania, jakies niby drożdże duchowe, które sprawiają, że w niej wszystko nieustannie się rusza i wyrasta, lekko, ale zawsze do góry. Już też było mi i tęskno do mowy rodzinnej, do towarzystwa ziomków. Postanowiłem tu pozostać, wstrzymywała mnie tylko obawa, czy Halluciniemu spodoba się pobyt w pomniejszej stolicy? Przystał z gotowością, która mię aż zadziwiła; prawda, że miał koci dar przywiązywania się do każdego miejsca, a przy tym tu znalazł mieszkanie, na którym wielkie pokładał nadzieje. Trzeba paniom wiedzieć, że wszędzie, gdzieśmy dłużej bawili, wypytywał się o domy napiętnowane jakąś tajemniczą legendą. Nie ma miasta, co by nie posiadało pałacu, kamienicy albo dworku, o których starzy ludzie mówią, że tam się coś pokazuje, coś puka, coś chodzi. Otóż w takich to mieszkaniach profesor zwykle urządzał swoją naukową pracownię, twierdząc, że tam doświadczenia lepiej się udają, że tam łatwiej schwycić niepochwytnie. Osobliwszy też miał dar wyszukiwania wszędzie takich domostw, i w Warszawie zaraz wynalazł ten dworek i ten oto pokój, gdzie panie siedzicie, a o którym także krążą niezwykłe wieści.

— Ach, opowiedzcie nam pan te wieści! — zawołałam z radością. Ale pan Cezary rzucił ukośne wejrzenie ku pani Marcie, jakby wskazywał, że jej obecność stoi na przeszkodzie.

— Po co? — rzekł. — Wiadomość, do której Hallucini przywiązywał ogromną wagę, dla niewtajemniczonych wyda się rzeczą najzwyczajszą w świecie; gotowi ruszyć ramionami. A zresztą i czasu nam zabraknie, jeżeli będę ciągle zbaczał z drogi. Wracam więc do mojej osoby. W Warszawie udzielałem się więcej niż gdziekolwiek; zacząłem nawet wyraźnie szukać towarzystwa. Już od kilku miesięcy jakiś przewrót odbywał się w moim usposobieniu; dobrze jeszcze nie rozumiałem, czego mi potrzeba, ale czułem, że takie życie, jakie dotąd wiodłem, już mi nie wystarcza. Wszystko ma swój koniec, i u mnie prawa życia nagle dopominały się o swoje zaległości. Od lat dwunastu żyłem w zamknięciu i pracy, z samymi widmami nieboszczyków, za cały pokarm dla duszy mając ich smutki już dawno minione i radości dawno wystygłe. Ależ oni kiedyś naprawdę smucili się i radowali, oni rzeczywiście żyli, a ja co? Gdyby też po mojej śmierci przyszło komu na myśl moje życie tak samo studiować w zwierciadle, cóż by znalazł? Człowieka, co żyje tylko życiem drugich, spisuje tylko czynności drugich, a sam nic nie przedsiębrał, nic nie przebolewał i nic po sobie nie zostawi. Powoli stawałem się podobny do owego młodzieńca zakłętego, co patrzył, patrzył w zwierciadło, „aż cały stał się kamieniem”.

Gdybym jeszcze posiadał główną tajemnicę, gdybym coraz dalej mógł posuwać odkrycia, a! nauka starczyłaby za wszystko. Ale z taką wiedzą czysto bierną przewidywałem, że daleko nie zajdę. Byłem jak te kobiety, co trawiają dni na czytaniu romansów; od książki oderwać się nie mogą, ale własne ich życie im ciąży, bo im się wydaje mdłe i bezcelowe. Kiedy znoszono mi nowe zwierciadła, mówiłem sobie: No i cóż? Jeszcze kilkanaście wypadków zapiszę, jeszcze życie jakiejś rodziny poznam, a dalej co? To wszystko nie da mi ani chwili szczęścia, ani ziarenka zasługi. Coraz krócej trwały moje zwierciadlane sesje, coraz większej wartości nabierały dla mnie te codzienne sprawy, uciechy i kłopoty, które mogą z góry wydawać się mrówczymi, a jednak dla każdego z nas mają niezastąpiony urok, bo są jego własne. Z wiecznego widza chciałem raz przecie sam zostać aktorem, choćby potknąć się na scenie, choćby zostać wygwizdanym, byle mieć rolę i zobaczyć, co ja też potrafię. A przy tym czułem, że trzeba co prędzej naprawić brak równowagi, który mię już nabawiał zawrotu; miałem głowę pełną, przepełnioną, a serce puste. Garnąłem się do ludzi, nieśmiały, ale i niespokojny, jakbym kogoś szukał. Długo podtrzymywała mię nadzieja, że w Hallucinim powoli wyrobię sobie przyjaciela; teraz i to marzenie mię opuszczało, widziałem, że nie przebiję tej stalowej piersi. I pytałem nieraz ponuro: Dla kogo tu żyć?

Wchodziłem w mój rok trzydziesty piąty, w tę drugą młodość, która czasem bywa gorętszą od pierwszej, zwłaszcza u ludzi, co w nauce i samotności przechowali jeszcze

Piętno

Młodość

¹⁰⁸Szpicberg, dziś *Spitsbergen* — daw. nazwa archipelagu Svalbard na Morzu Arktycznym, dziś największa wyspa tego archipelagu. Obecnie terytorium Norwegii. [przypis edytorski]

nietknięty puszek na skrzydłach duszy. Widok tyłu uroczych postaci kobiecych, które się przesuwają w kryształ, dawniej mię zachwycił, teraz niecierpliwił; zawsze były bliskie, a zawsze niedostępne. Zaczęłam baczniej patrzeć na postaci żyjące; ale zwierciadła uczyniły mię nieznosnie trudnym; przy spartańskiej przeszłości miałem wyobraźnię wymagającą jakby jaki Fidiasz. Po takich cudach urody jak Maria Stuart, lady Hamilton, pani Recamier, które na własne oczy oglądałem, wszystkie współczesne piękności wydawały mi się miernymi. Ach, jam wtedy jeszcze nie rozumiał, że nie ta jest najpiękniejsza, co jest najpiękniejsza, ale ta, która jest ukochana.

W takim usposobieniu serce moje było jak prochnia; brakowało tylko jednej iskry, ażeby płomień wszystko zajął. Hallucini spostrzegł moją melancholię i niemiłosiernie ją wyśmiewał, nazywając mnie zabalsamowanym egzemplarzem niemieckiej studenterii. Zaczęłam go unikać, coraz mniej w domu siedzieć, coraz więcej zawierać stosunków, zawsze pod pozorami zabawy, a rzeczywiście dla dopukania się jakiejś prawdziwej sympatii. Byłem istotnie rozmarzony jak student; nieraz wyszedłszy z wesołej kolacji całe noce błądziłem po ulicach, patrząc na gwiazdy i zatrzymując łzy, co mi się bez powodu cisnęło do oczu. Co dzień po południu moim ładnym karyklem¹⁰⁹ pędziłem do Trzech Krzyży, a tam, wysiadłszy w Alejach Belwederskich, siedłem pieszo, powoli, pojąc się wonią lip, słuchając słowików, oglądając się za każdym i za każdą, bo zawsze czekałem na owego przyjaciela czy ową towarzyszkę, których przecucie krążyło wkoło mnie.

Przez kilka dni z rzędu zauważyłem, że przy tym domu, co stoi u początku Alej (a gdzie później wprowadzono szkołę), siedział wędrowny handlarz, pilnujący kilku niepozornych mebelków; były tam dwa okrągłe stoliczki, jakiś obraz, parawan i gotowalne lustro, wszystko oparte o mur domu. Ile razy przechodziłem, zrywał się i wołał: „Niech pan kupi, oto zwierciadło najpiękniejszej kobiety, jaka jest w Warszawie”. Dziwił mię niezmiennie wybór miejsca tak niezwykle dla podobnej tandety, a nade wszystko sposób zachwalania towaru; przypominały mi się Włochy i dowcipni ich straganiarze. Zauważyłem jeszcze, że ile razy przeszedłem, choć inne osoby nadchodziły za mną, handlarz milczał i najspokojniej siadał. Więc ja byłem wyłącznym celem jego zaczepki? Pomyślałem sobie: Oho! Musi wiedzieć, że mam pasję skupowania luster, i zagął na mnie parol. Ale się, bratku, omylisz, już mam dość tych przenundnych zwierciadeł.

Tak się zarzekałem; jednak ta scena mię bawiła i co dzień wybierając się do Alej, myślałem sobie: Czy też dziś jeszcze zastanę mego osobliwszego kupca? Był co dzień jak na zawołanie, co dzień zapraszał mię uprzejmie, a razem i żałośnie; moja obojętność wyradzała w głosie jego rodzaj wyraźnej desperacji. Żał mi go się zrobiło, pewnego dnia zaczepiam go: „Powiedzcie mi, mój człowiecze, jakim sposobem wiecie, że to najpiękniejsza osoba w Warszawie?” A on na to: „Bo ją widziałem, sama mi to lustro sprzedała.” Handlarz wyglądał jakoś na wędrownego Węgra, mówił z obcym akcentem. „Niech pan kupi, powtarzał, tanio sprzedam.” Ja się targowałem: „Co mi po tym? Przecież w lustrze jej nie zobaczę?” A on znowu: „E!... zawsze to miło posiadać rzecz, co była w ślicznych rączkach.” Pragnąłem przynajmniej więcej się dowiedzieć; pytam, jak się ta pani nazywa. Dyskretny kupiec odpowiada: „Nie wiem.” „Gdzie mieszka?” „Nie pamiętam.” Pytam się jeszcze: „Musi być biedna, kiedy swoje meble sprzedaje?” On się uśmiechnął i mówi: „Niekoniecznie... może wołała inne lustro, ładne kobiety miewają gust zmienny.”

Ostatecznie, że cena była niska, a ramka prześliczna, w stylu odrodzenia, cała w złote róże i aniołki, kupiłem i kazałem do siebie odnieść. Później, przez jakiś tydzień, natłok innych zajęć odwracał moją uwagę i sprawunek poszedł w zapomnienie. Ale któregoś dnia deszcz padał, nikt ze znajomych nie przyszedł, w braku lepszej rozrywki biorę aniołkowe zwierciadło i stawiam przyrząd. Z początku widzę pokój najzwyczajniejszy, czasem mignie dziobata klucznica, czasem służba przesuwająca krzesła jakąś chorą, bardzo starą damę. Naraz pojawia się postać... O potęgi niebieskie! Nic chyba równego nie istniało na ziemi. Typ jej był niepolski, nawet że tak rzeknę nieeuropejski; z początku sądziłem, że Georgianka¹¹⁰, później, że Kreolka, w końcu przestałem szukać porównań i uznałem, że to po prostu ideał wszechpiękności. Cerę miała złotawą, jakby słońcem podszytą; kibić sprężystą na kształt węża; oczy mogłyby zda się spalić widza, gdyby nie rzęsy nie-

¹⁰⁹karykiel (z ang. *curricule*) — dwukółka; lekki, otwarty pojazd na jednej osi, ciągnięty przez jednego lub dwa konie. [przypis edytorski]

¹¹⁰Georgianka (daw.) — Gruzinka. [przypis edytorski]

prawdopodobnej długości, spoza których wzrok padał przyćmiony jak promień, kiedy się przekrada przez gałązki. Maria Stuart, lady Hamilton, wszystkie a wszystkie od razu zgasy. Pierwszy raz widziałem na żywe oczy taką istotę, jaka zawsze mi się marzyła. A co większa, z tej nadludzkiej piękności przeglądało tyle dobroci! Taka była skromna! Nikt jej nie służył, sama sobie włosy układała, a jakie włosy! Czarne, miękkie, pierścieniaste. Kiedy je wszystkie rozpuściła, w tym czarnym płaszczu włosów, z tymi gwiazdami w oczach, cicha, mdlejąca a ognista, wyglądała jak noc podzwrotnikowa.

A jaka zdawała się łagodna! Do starej damy i do starej klucznicy mówiła słodko, nieledwie z pokorą. Ach, cóż bym nie był oddał wówczas, aby usłyszeć jeden dźwięk jej głosu! Wystawiałem sobie, że musi być smętny, jak te szklane dzwony, z których Franklin zbudował harmonikę¹¹¹. Bo nad nią zawsze unosił się jakiś smutek. Przed zwierciadłem była w głębi pokoju kanapka; tam po całych godzinach widziałem ją rozmarzoną, nieruchomą, trzymającą książkę, na którą nigdy jej oczy nie padły, albo karniolowy różaniec, którego ziarenek nigdy nie przesuwiała. Ubiór jej był zawsze jednakowy: suknia ciemna i schludna, gładki kołnierzyczek, zresztą żadnej ozdoby; czasem tylko we włosy wpięła kwiat czerwony, a wtedy zdawało się, że ciągnie za sobą kometę.

Zaraz na drugi dzień polecałem do Alej, aby złapać handlarza i gwałtem od niego wywieźć się, gdzie mieszka właścicielka zwierciadła. Ale mego Węgry już nie było. Kilka dni prawie przemieszkalem w Alejach, wciąż czyhając i wyglądając: już się nie pokazał na oczy; zdawało się, że tylko czekał chwili, w której sprzeda lustro, aby przepaść jak kamień w wodę. Nie mogłem sobie darować, że od razu nie wyłudził adresu wymową albo pieniędzmi. Deszcze wróciły i ja bezowocnie wróciłem do domu.

Całe dni teraz siedziałem przed zwierciadłem, przechodząc przez nieopisane rozkosze, ale i nieopisane męczarnie. Kiedy się przeglądała w lustrze, wzrok jej padał wyraźnie na mnie, czułem ten wzrok, upajał mnie, byłem jej wdzięczny za to długie, długie spojrzenie. Ale po chwili spostrzegłem się, że to złuda, że ona patrzy na siebie, a nie na mnie, że ona mnie nie widzi, a nawet nie wie o moim istnieniu. I już po całej radości. Nieraz ręce złożony, mówiłem do niej, zasyłałem rodzaj modlitwy: próżno! ani odpowiedzi, ani znaku porozumienia. Coraz bardziej zwalniałem bieg przyrzędu, ażeby jak najdłużej przeciągać obrazy, pragnąłem z jej ruchów i zajęć odgadnąć jej charakter; pod miękkim rozpieszczaniem tej wiecznej zadumy, pod tą prawdziwie kreolską bezczynnością zdawało mi się, że dostrzegam cały wulkan uczuć, co przysypany kwiatami tylko czeka wybuchu. Całe dni patrzałem, całe noce marzyłem, aż po kilku tygodniach spojrzawszy w moją duszę, przeląknęłem się kataklizmu, jaki po niej przeszedł — byłem innym człowiekiem, zakochałem się, jak Faust, ze zwierciadła.

Tylko ta miłość była natchniona nie przez piekło, ale przez najczystsze moce nieba, szlachetna i na wskroś poetyczna.

Ale jednocześnie z tym wielkim odkryciem uczułem także, iż w podobnym rozłączeniu dalej żyć nie potrafię; postanowiłem całą Warszawę do dna przewrócić, wszystkie jej domy zejść od piwnic aż do poddaszy, dopóki nie znajdę mojej wizji.

Zwierciadło oszczędziło mi tej pracy. Pewnego poranku, kiedy moja wróżka najprześliczniej włosy układa, wchodzi do niej *groom*¹¹² ze srebrną tacką, na której podaje list. Moja piękność otwiera go i czyta, a tymczasem druga strona papieru, zwrócona do lustra, przedstawia mi najwyraźniej podpis; co prędzej zatrzymuję przyrząd, aby unieruchomić obraz, i odwróciwszy litery, czytam:

A Mademoiselle *Felicia Merlin*, Rue *Warecka*¹¹³ — był nawet i numer.

Wpół oszalały z radości, lecę na ulicę Warecką, do wskazanego domu. Pytam się stróża; ten z początku zaprzecza, mówi, że nie ma osoby z podobnym nazwiskiem. Ale kiedy nalegam, kiedy maluję starą damę wożoną na krześle, stróż przyznaje, że istotnie mieszka tu dama wpół paralityczka, co ma przy sobie pannę do towarzystwa. Może to ta, o którą pytam? Biegę do rządcy domu, sprawdzam imię i nazwisko, pokazują się też same co na adresie listu.

¹¹¹*harmonika* — instrument muzyczny o bardzo czystym, przenikliwym dźwięku, popularny w XIX w.; gra się na nim, pocierając wilgotnymi palcami obracające się szklane dyski. [przypis edytorski]

¹¹²*groom* (ang.) — stajenny; tu: służący, posłaniec. [przypis edytorski]

¹¹³*A Mademoiselle Felicia Merlin, Rue Warecka* (fr.) — Do panny Felicji Merlin, ulica Warecka. [przypis edytorski]

Przez dwa dni krążyłem nieustannie wokoło kamienicy, zadzierałem głowę ku gan-
kom i szybom, nic nie mogłem dojrzeć, wszystko było hermetycznie zasunięte muslinem.
Przechodzący oglądali się za mną podejrzliwie, ja wciąż stałem, zawsze w nadziei, że ujrzę
choć rękę, chociażby pierścionek czarnych włosów. Drugiego dnia wieczorem los nagrodił
moją wytrwałość: zajeżdża staroświecka landara, z bramy wytacza się chora dama, którą
dwóch ludzi winduje do powozu, a za nią idzie... moje bóstwo! Jeszcze dziś ją widzę,
w skromnej zielonej kapotce, której garniowanie otaczało jej twarz obłoczkiem. Kiedy
przechodziła, nie mogłem powstrzymać lekkiego wykrzyku; obejrzała się zdziwiona, spo-
tkałem jej wzrok, ten sam wzrok... i od tej chwili pokochałem nie tylko jej postać, ale
duszę.

Obie panie pojechały na spacer, a ja nie stałem już dalej na warcie, ale póty chodziłem
pomiędzy znajomymi, aż znalazłem takiego, co u nich bywał, i ten w parę dni później
przedstawił mi chorej damie; była to bardzo zacna matrona, wdowa po generale z na-
poleońskich czasów, która dla kuracji dużo podróżując, przywiozła sobie z zagranicy tę
zachwycającą towarzyszkę. Kilka miesięcy przeleciało mi w tym domu jak gdyby jeden
dzień świąteczny. Felicja była cicha i mało mówna, ale jedno jej spojrzenie zawierało całe
tomy, całe poematy, jedna sylaba z jej zaklętych ustek wydarta więcej znaczenia dla mnie
miała niż najświetniejsze rozmowy innych kobiet.

Hallucini dostrzegł we mnie zmianę, którą zresztą nietrudno było dostrzec, i zaczął
jak zwykle żarty stroić z księżycowych westchnień i marzeń. Ale ja na ten raz już mu nie
dałem żartować, wybuchnąłem z uniesieniem prawdziwego uczucia, siłem się na odma-
lowanie mego ideału, a gdy słuchał z szyderstwem i ciągłym niedowierzaniem, prosiłem,
aby spojrzał w zwierciadło i powiedział mi, czy kiedy widział co równego? Długo nie
chciał patrzeć, mówiąc, że on już nieciekaw, że wszystkie ładne kobiety sobie równe.
Póty nalegałem, aż dał się namówić i spojrzał, raz jeden; spostrzegłem z podziwieniem, że
się gwałtownie zaczerwienił, potem szybko odstąpił od zwierciadła i rzekł: „No, rzeczy-
wiście niezwykła, ale o czym tu gadać? Ożenić się przecie nie ożenisz?” „A dlaczegoż
nie miałbym się ożenić?”, zapytałem urażony jego despotycznym tonem.

Wtedy profesor zaczął mi przedstawiać, że małżeństwo byłoby dla mnie samobój-
stwem duchowym, że odciągnęłoby mnie od świętszych celów i poszukiwań, w któ-
rych mogę się dosłużyć najwyższego kapłaństwa, że przywiązałoby mnie do ziemi i do tej
fortuny, którą powinienem wyłącznie poświęcić nauce. To zakończenie ostatecznie mię
oburzyło; pomyślałem sobie: Po co mi wracałeś tę fortunę, jeżeli chcesz mi ją całą pożreć
i trzymać mię jak małoletniego w nieskończonej opiece?

Pierwszy to raz Hallucini mieszał się w moje postępowanie. Doprawdy, gdyby chciał
mię namówić do tego małżeństwa, nie byłby mógł wziąć się na lepszy sposób. Postano-
wiłem, choćby na złość jemu, ożenić się, mieć wolę i raz przecie zakosztować szczęścia.
Tegoż samego dnia jeszcze poszedłem się oświadczyć.

Po ludzku sądząc, byłem dla Felicji wielką partią. Z pocałowaniem ręki byłbym dostał
niejedną pannę wysokiego rodu i imienia, a ona tymczasem była biedną sierotą, wycho-
waną bardzo pierwotnie w jakimś włoskim klasztorze i zmuszoną do pełnienia gorzkich
obowiązków *dame de compagnie*¹¹⁴. Ale mnie to wszystko wówczas przez myśl nawet
nie przeszło, szedłem ze drżeniem, wstydząc się mojej zuchwałości, nie przypuszczając,
ażeby tak nadziemski istota raczyła aż do mnie zstąpić. Podziwienie pani generałowej
na moje oświadczyzny z początku mię przestraszyło, nie pochwyciłem jego prawdziwych
powodów. Za to Felicja nie okazała ani wielkiego zdumienia, ani wielkiej radości; wpraw-
dzie jej ogromne oczy zawsze wyrażały podziw, ale to był podziw dziecka, co z lepszych
światów dostawszy się na ziemię, nie może jeszcze dobrze tej ziemi zrozumieć. Na moje
najczulsze, najgorętsze wyrazy niewiele więcej odpowiadała niż w zwierciadle, ale kiedy
się uśmiechnęła, kiedy swoją rękę pozwoliła mi ująć, stała się jeszcze bardziej zadumaną,
jak Peri¹¹⁵, co sobie raj przypomina, i która z sobą odbłask raj przynosi.

Małżeństwo moje narobiło wiele hałasu. Ludzie z początku dziwili się i przygani-
ali; ale kiedy żonę w świat wprowadziłem, kiedy piękność jej uderzyła wszystkie oczy jak słoń-
ce, przestano się dziwić, zaczęto zazdrościć. Bo też jej piękność teraz dopiero uwydatniła

Żona

¹¹⁴*dame de compagnie* (fr.) — dama do towarzystwa. [przypis edytorski]

¹¹⁵*Peri* (mit. perska) — skrzydlata istota podobna do wróżki, spokrewniona z upadłymi aniołami, nie może
wrócić do lepszego świata i pozostaje na ziemi, niekiedy pomagając ludziom. [przypis edytorski]

się w stosownym otoczeniu; ciemne suknie i zielone kapotki zastąpiłem całymi skrzyniami szalów tureckich, tkanek indyjskich, najświetniejszych klejnotów, które umiała nosić jakby urodzona królewna. Prowadziliśmy dom otwarty i chętnie uczęszczany, gdzie sam sprawiałem prawie wszystkie obowiązki, bo Felicja siedziała tylko w głębi, jakby jakieś bóstwo na ołtarzu. Już to wykształcenia, w znaczeniu światowym, trudno jej było przyznać, ale że mówiła mało ustami a dużo pięknoscią, wszyscy ją znajdowali rozumną. Miała przy tym jakiś cichy majestat, który sprawiał, że gdziekolwiek weszła, wszędzie mimo woli i mimo wiedzy stawała się pierwszą. A była nie tylko małomówną, ale i nieruchomą; rozmiłowana w haremowej bezczynności, nie mogła się nacieszyć, że ją wyzwoliłem od tych drobnych a żmudnych zajęć, do których niegdyś obowiązki ją przymuszały, nie mogła mi się dość nadziękować. A już co wdzięczną, to umiała być aż do rozrzewnienia; żeby też kiedy czego zażądała, o co się przymówiła, nigdy! a wszystko ją radowało, bawiło nieledwie po dziecinnemu.

Prawda, że i pod względem uczuć była istnym dzieckiem; nie znalazłem w niej tego wulkanu, który zapowiadał się z oczu, ale znalazłem stworzenie potulne, ślepo przywiązane, a w każdym razie najwygodniejszą żonę, jaką wymarzyć można. Bawić się? Dobrze. Siedzieć w domu? Jeszcze lepiej. Nigdy mnie nie podejrzewała, nie śledziła, mogłem cały dzień jej nie widzieć, a przecież za powrotem nie zastałem ani wyrzutu, ani twarzy schmurzonej. Żeniąc się, byłem w obawie, co dalej pocznę z nauką, z moimi doświadczeniami, których nie chciałem porzucić, a nie mogłem ani też miałem prawa nikomu powierzać. Zgodny charakter Felicji od razu rozwiązał te trudności. Prosiłem, aby nie wchodziła do mego, jak nazywałem, chemicznego laboratorium, i nie tylko nigdy nie weszła, ale się nawet nie pytała ani próbowała odgadnąć, co się tam zawiera. Wolno mi było, ile tylko chciałem, przestawać z książkami i zwierciadłami. Felicja czekała, zawsze uśmiechnięta, zawsze jednakowa. Czy to była obojętność? Czy natura mistyczna, żyjąca wewnętrzną poezją? Po całych godzinach siedziała na otomance, bawiąc się jakim klejnotem lub trzymając książkę o nie rozciętych kartkach. Nieraz pytałem z podziwieniem, czy się tak nie nudzi? Odpowiadała: „Nigdy. Między ludźmi to czasem się nudzę, ale sama z sobą nigdy.” A kiedy po tysiąc razy rzucałem pytanie: „O czym się tak zamyśliła?” mówiła: „Sama nie wiem o czym...” Raz tylko, pamiętam, odpowiedź wypadła inaczej: „O czym? O kraju, w którym się rodziłam.” A kiedy wypytywałem, gdzie ten kraj leży, jak się nazywa, nie chciała odpowiedzieć i tylko oczy podniosła w niebo. Ach, ileż razy badałem ją, czy pamięta rodziców? Czy wie co o swoim pochodzeniu i dzieciństwie? Musiała albo rzeczywiście nie wiedzieć, albo mieć sobie srogo nakazaną tajemnicę, bo rozmowa najczęściej kończyła się na łzach jak u dziecka, aż nie chcąc jej dręczyć, zaniechałem pytań.

Hallucini przyjął wiadomość o moim ślubie ze wzburzeniem, które mi sprawiło wielką wewnętrzną radość; w tym wzburzeniu widziałem omyłone rachuby, ukróconą tyranię i chciwie pasłem oczy tym widokiem. Niedługo jednak dał mi się nim cieszyć; bardzo prędko powrócił do równowagi i do naszych spokojnych, naukowych zatrudnień. Kiedy chciałem go poznać z moją żoną, odmówił stanowczo, tłumacząc się ironicznie, że „z damami wysokiego tonu nie umie rozmawiać”. Odmowa ta bardzo mi na rękę wypadła. Znając jego złe zasady i pogardliwy pogląd na kobiety, wołałem nie nalegać. Zostaliśmy więc w życzliwych, ale coraz radszych stosunkach; przychodził do mnie czasem, i to już bocznymi schodami, posiedział ze mną godzinkę w gabinecie i wymykał się, nie chcąc, aby moja żona jego cięń nawet zobaczyła.

Co dziwniejszego paniom powiem: stał się daleko mniej wymagającym. Na przekór wszelkim przewidywaniom zaczął mój grosz oszczędzać i cenić; ile razy dochód swój pobierał, to przychodził solennie mi dziękować i nadatków żadnych już nie żądał. Tą delikatnością podbił mnie ostatecznie. Sądziłem, że wydoskonalił się duchowo, część zasługi przypisywałem własnemu wpływowi, a ta myśl koronowała szereg błogich wrażeń, którymi wówczas losy mnie obsypywały z usługomością doprawdy nieprzykładną na tym smutnym świecie. Wtedy wszystko w moim życiu składało się do zupełnej harmonii: kwitnące zdrowie i dobry stan majątku, pomyślność światowa i ciche szczęście w domu, miłość i nauka, serce i myśl rozpromieniona, wszystko szło razem, wszystko ręka w rękę, jak gdyby jakiś taniec zawodziło. Takich pięć lat przeżyłem. To były lata prawdziwie szczęśliwe, ach! może nadto szczęśliwe! Może na tej planecie nie wolno tylu słodczych zakosztować bezkarnie? Już wówczas, jak sobie przypominam, doznawałem niekiedy obaw

Polikratesa¹¹⁶, co czuje, że jakąś ofiarą będzie musiał okupić się Przeznaczeniu. Ach, nie trzeba mi było wyszukiwać tych ofiar, sam los przyszedł po nie, o cały dług upomniał się od razu jak u Joba, wszystko mi wydarł w jeden dzień!

Już w końcu piątego roku zauważyłem, że Halluciniemu wracają się napady złego humoru i goryczy. Raz wieczorem przyszedł do mnie rozgorączkowany, wszystkie drzwi pilnie pozamykał i po długim wstępie pełnym utyskiwań wyznał, że granice rozsądku, jakie sobie zakreślił, są nie do zniesienia, że pensja, którą mu wypłacam, nie wystarcza mu nawet na życie, a coś dopiero na poszukiwania naukowe, potem ręczył, że w doświadczeniach jest już bliski najwyższych odkryć, ale na zbudowanie ostatecznego przyrządu trzeba mu jednorazowej, dosyć znacznej sumy, i z tych powodów podejmuje się odstąpić mi zwierciadlanego sekretu za pewnym wynagrodzeniem. Kiedy zapytałem, jak wysokie ma być to wynagrodzenie, zaśpiewał mi tak bajeczne sumy, że prawie cały mój majątek byłby w nich utonął. Rozśmiałem się z oburzeniem i prosiłem: niech sobie poszuka amatora bogatszego ode mnie, dosyć bogatego, aby po zapłaceniu sekretu miał przynajmniej o czym żyć dalej. Potem dodałem poważnie, że za kawalerskich czasów może byłbym się posunął do takiego szaleństwa, ale teraz, kiedy mam żonę, dom i obowiązki, choćbym chciał, już nie mogę rozporządzać całością mego mienia.

Ta odpowiedź wydaje się prostą i rozsądną, a jednak... może byłbym rozsądniej zrobił, nie słuchając rozsądku i zgadzając się na to żądanie? Majątek i tak się rozmarnował, a co bym wiedział, tobym wiedział. Trudno... już przepadło. Wtedy mi się zdawało, że najlepiej robił.

Tu mówiący chwilę się zadumał, a ja zadrżałam, bo pani Marta z nie tajonym zniecierpliwieniem ruszyła ramionami. Szczęściem pan Cezary nie dostrzegł tego ruchu i opowiadał dalej z wielomównością, której szybkość i głośność wzrastała w sposób troszkę niepokojący.

— Myślałem, że mój Hierofant obrazi się tą odmową. Gdzie tam! Wysłuchał, jakby na nią był przygotowany, przyznał, że czynię roztropnie, i zakończył głosem szyderczym: „Istotnie, może znajdzie się jaki inny amator... lepszy znawca własnej korzyści... W każdym razie nie będziesz mógł powiedzieć, że nie chciałem się z tobą dzielić moimi zdobyczami. Nie, to nie. Jeśli kiedy pożałujesz, sam sobie winę przypisz.”

I odszedł, nie tylko wesoły, ale tryumfujący, jak człowiek, co ma za pasem jeszcze inne zamiary.

Istotnie, po kilku tygodniach przyszedł z tymi innymi zamiarami. Ach! moje panie, wstydzę się nawet opowiedzieć wam, co wtedy słyszałem. Chciał mię wciągnąć w jakieś oszukańcze przedsięwzięcia, w tak zwane *chantage*¹¹⁷, co według niego miało nam napędzić huk pieniędzy; chciał za moje fundusze zakładać jakieś „biuro przepowiedni”, a co gorsza, jakąś „rewolwerową” gazetę, gdzie mieliśmy grozić ogłaszaniem skandalów podpatrzonych w zwierciadłach, od czego by się ludzie grubo musieli wykupować. Słuchałem w osłupieniu, a gdy skończył, zmieszałem go z błotem, tylko co za drzwi nie wypchnąłem. Wtedy roześmiał się dziwnie, rzucił mi się na szyję, wyznał, że to wszystko były próby moralne i że odtąd już nie będę mógł nigdy poskarżyć się na niego. To wytłumaczenie obraziło mię niemal jeszcze więcej niż początek; oświadczyłem sucho, że nie lubię, aby mię brano jak dziecko na próby, że ubliża mojej uczciwości, kto śmie ją próbować, i wiele, wiele innych rzeczy. Ale gdym nagadał i nagniewał się, a on wszystko strawił z uśmiechem, coś miałem dalej robić? Bądź co bądź, był to zawsze ów dobroczyńca, któremu wdzięczność obiecałem do śmierci; nie mogłem z nim zrywać, tym bardziej że mi już nie dał powodów do zerwania, święcie dotrzymał słowa, od owego dnia już nigdy nie mogłem się na niego poskarżyć; pokorny, nie narzucający się i nic nie żądający, stał się nawet serdeczniejszym niż dawniej.

Pierwszy raz w stosunkach z nim odetchnąłem zupełną swobodą i ufnością; ale jednocześnie z tą ulgą pokazała się z innej strony niespodziana chmura.

¹¹⁶Polikrates — tyran wyspy Samos w latach 537–522 p.n.e., bohater ballady F. Schillera *Pierścień Polikratesa*. Uważany za uosobienie przekonań o przewrotności fortuny, przez kilka lat był niezwykle szczęśliwym władcą, wygrywał wojny i zawierał korzystne sojusze, a w końcu został podstępnie i hańbiąco zamordowany przez namiestnika perskiego. Według legendy próbował przekupić los, wrzucając w morze ulubiony, kosztowny pierścień, ale bogowie zwrócili mu jego ofiarę: pierścień odnalazł się w brzuchu ryby. [przypis edytorski]

¹¹⁷*chantage* (fr.) — szantaż. [przypis edytorski]

Dziwne przeobrażenie dostrzegłem w mojej żonie.

Ta kobieta, dotąd niczego dla siebie nie pragnąca, ta cicha, skromna marzycielka stała się nagle Harpią niesytą upominków, klejnotów, a nade wszystko pieniędzy.

Z początku byłem szczęśliwy, że cegokolwiek żądała, że mogłem czymkolwiek sprawić jej przyjemność, ale te żądania przybrały wkrótce niezrozumiałe rozmiary. Gdybym ją był taką znalazł nazajutrz po ślubie, powiedziałbym sobie: Ha, trudno! Lubi zbytek, dobrze to wiedzieć i mieć się na ostrożności. Tymczasem nie — przez pięć lat przyzwyczaiła mnie do innego o sobie pojęcia, purytańską bezinteresownością natchnęła mi cześć, której teraz boleśnie mi było się pozbywać. Mówiłem sobie, że ta nagła chciwość nie może pochodzić z jej charakteru, ale chyba z jakichś obcych wpływów. Kto na nią wpływał? Gdzie i kiedy? Nie mogłem ani zrozumieć, ani cienia domysłu schwycić, a jednak co dzień bardziej zmieniała się do niepoznania. Ona, dawniej taka pełna prostoty, samą prawdą żyjąca, teraz wszystko zdawała się obrachowywać; miewała napady ponurości i złego humoru, których dawniej nie znałem; wprawdzie jeszcze więcej było przymilań się i nadsłakiwań, ale kiedy zobaczyłem, że tak zasępienia, jak pochlebstwa kończą się zawsze jakimś targiem, smutki jej przestały mnie wzruszać, słodkie słówka przestały mnie rozczulać, zacząłem ją spod oka badać i przekonałem się z podziwieniem, że to wszystko było wykonywane niezręcznie, jakby lekcja źle wyuczona, w której nawet nieraz biedne dziecko się zapominało. Dziś powiadam: biedne, dziś rozumiem, że i ona musiała męki przechodzić, ale wówczas nie mogłem nic rozumieć i nawet w przeblaskach jej boleści widziałem dowody jakiejś winy. Nieraz dostrzegłem, że patrzyła na mnie ukradkiem jak gdyby z rzewną litością, a lzy stawały jej w oczach, nieraz rzuciwszy mi się nagle w objęcia, mówiła: „Przepraszam cię... przepraszam!” I nie chciała tłumaczyć, za co mnie przepraszła. Ja sobie powtarzałem: To chyba wyrzuty sumienia... jeszcze tyle jest niewinna, że się z nimi zdradza. I smutno mi się robiło — i gorzko. Kilka razy byłem dość okrutnym, ażeby powiedzieć: „Jakażes dzisiaj czuła! Czy znów jaka petycja?” Dziwna rzecz! Takie słowa ją widocznie raniły, i krwawo, a jednak nie mogły jej wyleczyć i znów szło dalej wyludzanie pieniędzy na wszelkie sposoby i we wszelkich kształtach.

Gdybym najmniejszą miał żylkę do skąpstwa lub nawet oszczędności, nie dziwiłbym się niczemu; żona skąpca jest tak nieszczęśliwą istotą, że rozpacz może ją doprowadzić do nadużyć i podejść wyradzających się z każdej niewoli. Ale tu nie śniło się o niczym podobnym; jeżeli do czego byłem skłonny, to raczej do zbytnej hojności, zwłaszcza dla Felicji, toteż dręczyło mnie nie żądanie funduszów, ale zagadkowe ich użycie. Gdzie się to wszystko podziwiał? Bo w domu nie było żadnego przybytku. Przez pierwsze pięć lat wypłacałem jej z własnej woli bardzo sutą pensję, niby na stroje, chociaż nie miała potrzeby o nich myśleć, bo sam jej znosiłem tyle strojów, tyle przepychów, że niepodobna było już nie powiem zedrzeć, ale nawet przenosić wszystkich. Nigdy też nie spostrzegłem, aby kupiła cośkolwiek, choćby na owinięcie palca, ani dla samej siebie, ani tym mniej dla domu, bo zarząd całym domem należał do mnie, podjąłem się go od razu, chcąc ją zostawić jej słodkiemu *far niente*. Myślałem nieraz: Nie ma na co wydawać, niech sobie zbija kapitalik, i nigdy nie ośmieliłem się zadać najmniejszego pytania. Ale teraz, kiedy oprócz pensji, oprócz szalonych strojów zaczęła wymagać sum coraz okrąglejszych, ogarnął mnie istotny, podziw. Jeszcze jednak nie mogłem się odważyć na żadną zmianę w postępowaniu; dawałem wszystko, co chciała, ile razy chciała, o nic się nie pytając i ciągle wyczekując na dobrowolne wyjaśnienia. Ale wyjaśnienia nigdy nie przychodziły. Felicja była coraz nienasyceńsza i coraz smutniejsza.

Po jakim roku zaczęły się odkrycia innego rodzaju. Ile razy na jaką zabawę chciałem, aby włożyła te lub owe klejnoty, zawsze mi odpowiadano, że są oddane do naprawy albo do przerobienia, i zawsze brakowało najpiękniejszych, a moja żona pokazywała się w samych wybiorkach. Najdroższe koronki wiecznie były w praniu, jeden szal turecki ogromnej wartości był nie do znalezienia, słowem takie dziwy się działy, że jednego dnia poprosiłem ją ze zdumieniem i żalostí, aby mi wytłumaczyła, co to wszystko znaczy. Po długich łzach przyszło wyznanie, że wszystko to... sprzedawała... dla tych, co potrzebują... że ona nie może... na żaden sposób nie może odmówić pomocy temu, który prosi...

Odpowiedź mię rozbroiła. Łagodnie ją strofowałem za taką nieogłędną litość, przedstawiałem, że nie potrafię rokrocznie kupować jej nowych brylantów i koronek, i zakończyłem.

czyłem solenną prośbą, ażeby najbardziej potrzebujących do mnie odsyłała, a własnemu miłosierdziu położyła jakieś granice, choćby dla mojej spokojności.

Prośba nic nie pomogła. Po jakich dwóch latach już chodziła tak skromnie ubrana, tak sobie widocznie na wszystko żałowała, dochody rozpraszając w niewidzialny sposób, że mię brał wstyd przed światem i obawa, aby mię nie posądzono o sknerstwo.

Jej zwyczaje także się zmieniały. Ta Kreolka niepodobna do rozruszania teraz dosyć często wychodziła z domu. Miała powozy i służbę na rozkazy, a szła zwykle pieszo i sama. Wprawdzie nieobecność jej trwała bardzo krótko, jeszcze się nie obejrzał, już wróciła; byłem przekonany, że odwiedza ubogich; uwielbiałem ewangeliczne uczucie, co jej się każe ukrywać z dobrymi uczynkami, a jednak czasem... czasem... ogarniał mię niepokój. Nadto jej niosłem szacunku, ażeby podpatrywać jej kroki. Miałem wprawdzie bardzo łatwy sposób śledzenia jej życia, jeżeli nie za domem, to przynajmniej w domu: nasze mieszkanie było pełne zwierciadeł, ale się brzydziłem podobnym szpiegostwem i obiecywałem sobie uroczyscie, że nigdy się do niego nie ucieknę. Co dzień sobie obiecywałem, a jednak co dzień, kiedy przechodziłem pomiędzy zwierciadłami, głos natrętny mi szeptał: One może wiele wiedzą?

Pożycie domowe stało mi się mniej miłe. Coraz więcej wracałem do mego Hallucinięgo, do rozpraw z nim i doświadczeń naukowych, przy których zapominałem o wszelkich kłopotach i niedobrych myślach. O! bo też wtedy profesor był zachwycający, bez żadnych wymagań, zawsze uśmiechnięty, coraz wymowniejszy i coraz poufalszy. Pewnego dnia, zauważywszy, że już dawno mię nie odwiedził, wybrałem się do niego. Było to w poniedziałek, pamiętam jakby dzisiaj... nie próżno poniedziałek... dzień feralny.

Zastałem go niesłychanie zajętego nowym i osobliwszym widowiskiem. Przyrząd magiczny był wycelowany jak zwykle, ale na co? Za czarną tkanką zamiast prostego zwierciadła stał manekin okryty zbroją zwierciadlaną. Dziwny ten sprzęt wyglądał na jakąś odwieczną starożytność, zwierciadelka składające misterną całość były już mgliste, w wielu miejscach popękane i poobtlukiwane; główne jednakże kawałki, ten zwłaszcza, który na piersiach tworzył rodzaj pancerza, zachowały się bez uszkodzenia.

Pierwsze moje pytanie było, ma się rozumieć: „Co to jest? Jakiego to rycerza średniowiecznego fantazja?” Profesor uśmiechnął się tryumfalnie i zawołał: „Aha! Co to jest? Ani mniej, ani więcej tylko skarb, unikat zawierający w sobie misterium pyszne i straszne. Tylko chodź i zobacz.” Przystąpiliśmy do rynsztunku i na blaszce łączącej naramiennik z napierśnikiem zobaczyłem drobnutko wyryty napis: *Jan Tauer anno 1557*. To nazwisko i ta data rozbudziły nagle moją pamięć. Chwytałem się za głowę i wołałem: „Czy być może? A to nieoszacowana pamiątka!”

Tu pan Cezary się zatrzymał, jakby i z naszych ust oczekiwał wykrzyknika.

— Cóż, panie jeszcze nic nie miarkujecie?

— Czekaj pan... czy by to było? Ale nie... Jakoś na ten raz moja znajomość historii mię zawodzi — odrzekłam nieco zawstydzona.

Pan Cezary, uśmiechając się równie tryumfująco jak niegdyś Hallucini, roztworzył czarną księgę i szybko trafiwszy na wiadomy sobie ustęp, zaczął czytać:

— „Za Zygmunta Augusta, w Warszawie, w roku 1557, w lochu na pogorzeliisku kamienicy Starego Miasta przesiadywał bazyliszek...”

— Przepraszam, kto taki? — przerwała pani Marta.

— Ba-zy-li-szek — powtórzył kładąc nacisk na każdą zgłoskę. — Przesiadywał bazyliszek. „Dwoje dzieci padło trupem od jego wzroku i dziewczyna wysłana po nie. Urząd miejski zaczął śledztwo, zmiarkowano, że musiał być w tej jamie bazyliszek. Siedział w więzieniu Szlęzak¹¹⁸ Jan Tauer, skazany na śmierć, temu obiecano darowanie życia, jeżeli miasto od tak zgubnego potworu¹¹⁹ uwolni. Przyjął chętnie to polecenie; okryto więc go, uważajcie panie, okryto go całego zwierciadłami¹²⁰ i wpuszczono do lochu. Po godzinie wyszedł zdrowo, niosąc w ręku nieżywego bazyliszka, który, przejrawszy się w zwierciadle, zabił się własnym wzrokiem.” Tak opisują kroniki. A teraz, przyznacie panie, że pomysł genialny. Jest to najdowcipniejsze, najmędrzeższe użycie zwierciadła, o jakim kiedykolwiek pod słońcem słyszano. O! bo też za Zygmunta Augusta mądrzy ludzie byli u nas!

¹¹⁸ Szlęzak — dziś popr.: Ślęzak. [przypis edytorski]

¹¹⁹ potworu — dziś popr. forma D. lp: potwora. [przypis edytorski]

¹²⁰ zwierciadło (daw.) — zwierciadło, lustro. [przypis edytorski]

Co to za pyszne skorzystanie z tej morderczości wzroku, odwrócić go przeciw samemu sobie! Nieprawdaż?

I pan Cezary znowu się zatrzymał, a patrzył we mnie wzrokiem tak upornie badawczym, tak szczerze mówiąc nieprzyjemnym, że zaczęłam się mieszać.

— Istotnie, panie — odpowiem — jak sobie teraz przypominam, czytałam to podanie gdzieś... w Zmorskim czy Wójcickim... ale zawsze je brałam po prostu za baśń... sami ci autorowie¹²¹ nie podają go inaczej, tylko jako tak zwaną *klechdę*...

— A co ja temu winien — krzyknął z gniewem pan Cezary — że Wójcicki albo Zmorski pomieszała prawdę z bajkami? Ja tu pani czytam daty, nazwiska, rzecz działa się w czasach niedawnych, doskonale znanych, a pani mi wyjeżdżasz z klechdą? Fakt historyczny i basta. I notabene, nie jedyny w historii — dodał uderzając pięścią o poręcz krzesła.

Wtedy pani Marta położyła dłoń na jego rękę, jak się czyni z osobą, którą się chce uspokoić, i spytała:

— Ale pan przecież nie mówisz na serio? Pan nie masz pretensji, abyśmy wierzyły w bazyliuszka?

— Mam nie tylko pretensję, ale mam prawo żądać i wymagać, abyście panie wierzyły — wołał, rozogniając się do najwyższego stopnia. — Mam prawo, a to prawo nadaje mi nauka, która bada i tłumaczy tam, gdzie nieuctwo rusza ramionami. Gdybym paniom wytłumaczył...

Ale tu pani Marta, ze swojej strony także zaperzona, przerwała wybuchem oburzenia:

— A za kogo to nas asan¹²² masz? Za dzieci, czy co? Czy to asan niańka, żeby opowiadać takie brednie? Jeszcze może nam każesz wierzyć w smoki, feniksy i salamandry?

Pan Cezary uśmiechnął się z dumą człowieka zupełnie pewnego siebie.

— Już to, proszę pani — odrzekł — dużo by mówić o tym wszystkim. W bajkach ludowych ukrywa się zawsze tło jakiejś prawdy historycznej albo naukowej. Weźmy na przykład takiego gryfa, pół lwa a pół orła; rzecz zdaje się śmieszna, nieprawdopodobna, zestawienie ptaka z czworonożnym zwierzęciem sprzeciwia się na pozór zasadom natury, a jednak, proszę pani, w ostatnich czasach podróżnicy odkryli, że na innym lądzie, w Australii, znajduje się zwierzątko ssące, czworonożne, z dziobem, z prawdziwym dziobem! Nawet nazwano je Dziobakiem, *Ornithorhynchus paradoxus*. A co? Reputacja gryfa uratowana. Albo smoki? Czyż te wszystkie *ichtyosaury*, *plesiosaury* i różne inne stworzenia z epoki przedhistorycznej, które Cuvier i jego następcy tak cudownie odbudowali, nie są wyraźnymi pierwowzorami potworów, o których lud gada? Jest nawet w ich liczbie pewny płaz olbrzymi, nastroszony rodzajem skrzydeł, którego dość zobaczyć na rysunku, ażeby zawołać, że to zupełny, najzupełniejszy smok! O, bo lud ma dobrą pamięć! Nic się dłużej nie przechowuje niż ustna tradycja, i ręczę paniom, dobrze poszukawszy, pokazałoby się, że wszystkie legendy o istotach, które niesłusznie zowiemy bajecznymi, są po prostu wspomnieniem jakiejś fauny zaginionej albo ginącej. Czy panie sądzicie, że za kilka tysięcy lat nie wyginą także z oblicza ziemi lwy, tygrysy, hieny i wszelkie drapieżne zwierzęta? Już dziś ich mniej daleko, niż bywało dawniej. Człowiek, przy coraz potężniejszym rozwielnianiu się na globie, rozmnaża istoty użyteczne, a niszczy i wytępia szkodliwe. Aż nastąpią wieki, w których figury lwa przyjdzie szukać w starej tablicy heraldycznej, i gdyby nie wysoka oświata, która teraz w opisach, pomiarach, fotografiach najdokładniej wszystko przechowuje, może by niejedno dzisiejsze nasze zwierzę uchodziło także kiedyś za bajeczne?

Styl naukowy pana Cezarego troszkę zachwiał stanowczość moich pierwszych powątpiewań. Ale na pani Marcie nie było znać zachwiania. Wcale nawet nie zdawała się słuchać jego uczonych wywodów. Jej wzrok wyrażał głębokie przerażenie; spoglądając to na niego, to na mnie, potrzasała głową jak osoba, co mówi:

— Już po wszystkim... Szkoda człowieka!

Pan Cezary musiał dostrzec to pogardliwe kiwanie, bo nagle poczerwieniał i zatoczył wzrokiem niezaprzeczenie błędnym. Złękałam się, czy ten wzrok nie objawia chorobliwego stanu; ale przyszło mi na myśl, że i rozpacz umie podobnie patrzeć, a pan Cezary musiał

Nauka, Wiara

¹²¹autorowie — dziś popr. forma M. Im: autorzy. [przypis edytorski]

¹²²asan a. acan (daw.) — starop. tytuł grzecznościowy: pan, waćpan. [przypis edytorski]

tyłe razy napotykać wzgardę i niedowierzanie! Zaprawdę, mógł być doprowadzony do rozpacz.

Czułam, że wchodzimy na ów grunt niebezpieczny, z którego zwykle słuchacze panu Cezaremu uciekali... Czułam, że i w tej chwili szyderstwo pani Marty gotowe mu zamknąć usta, a ja koniecznie chciałam usłyszeć koniec tej historii, postanowiłam bądź co bądź go zdobyć, chociażby chwilowym kosztem przekonań i rozsądku.

Nadając więc memu głosowi pełną powagę, zaczęłam:

— Dobrze, zgadzam się na twierdzenie, że w bajecznych legendach można odnaleźć niejako wycisk epoki dawno zapomnianej. Ale jakąż naukową podstawę pan dasz istnieniu bazyliuszka?

Zagadnięty odpowiedział zapytaniem:

— Wierzycie panie w *dżetatturę*¹²³?

Pani Marta odcięła się sucho:

— Nie wierzę w żadne zabobony ani głupstwa.

— A pani? — nalegał, zwróciwszy się do mnie.

Postawił mię w niemalym kłopotcie. Wstyd mi trochę było pani Marty, a strach mi było jego zrazić, a przy tym... z ręką na sercu... nie mogłam powiedzieć, że w nic a nic nie wierzę...

Wzięłam się więc na odwagę i rzekłam:

— Ja państwu tylko to powiem: przed moim wyjazdem do Włoch śmiałam się z *dżetattury*, od powrotu z Włoch już się z niej nie śmieję.

Moja towarzyszka wzdrygnęła się i spojrzała na mnie prawie tak jak na pana Cezarego... Ale za to panu Cezaremu oblicze rozjaśniło się zwycięsko.

— Otóż to! — zawołał. — Dość jest odrobiny doświadczenia, aby się wyleczyć z tej ciemnej pychy, co kładzie brzydką ironię w usta... Kiedy pani byłaś we Włoszech i rozumiesz, do czego może dojść straszna potęga wzroku, wiedz pani, że bazyliuszek jest to po prostu *kogut*, co ma *dżetatturę*.

Pomimo owego „po prostu” określenie wcale mi się nie wydało proste. Przy najlepszej woli ręce mi opadły. Cóż dopiero pani Marta! Zaczęła salopkę¹²⁴ naciągać na ramiona, mówiąc półgłosem:

— A, na rany Boskie! Jakże tu dalej wytrzymać?

I już miała wstać, ale ja za rękę ją chwyciłam.

— Kochana pani, przypuśćmy... co to pani szkodzi przypuścić... na chwilę... że to prawda? Jam taka ciekawa końca tej historii!

Spojrzała na mnie z uśmiechem litości jak na dziecko, któremu się nie ma serca odmówić przysmaczka, i siadła na powrót, ale odtąd aż do chwili pożegnań już ust nie otworzyła i głowę ciągle od nas odwracała, patrząc ku drzwiom z upragnieniem. Ja zaś, jak to zwykle w takich razach się dzieje, dla zamałowania jej straszego humoru stałam się dwakroć uprzejmiej.

— Łaskawy panie, mnie to bardzo zaciekawia... powiadasz więc pan, że to kogut, który... Ale najprzód, dlaczego?

— Dlaczego? To jakbyś pani pytała się, dlaczego grzechotnik jest wężem? Jest nim, bo jest. Czy bazyliuszek byłby zupełnie do naszych kogutów podobny, czy stanowił jakiś odrębny gatunek, tej wątpliwości nie podejmuję się rozwiązać, bo sam go nie widziałem; ale wszystkie tradycje przedstawiają nam go jako ptaka, i to z kurzego rodu. Wprawdzie wyobrażenia przestraszonych pokoleń dodała do tego wizerunku pełno różnych cudactw i te nauka odrzuca jako naleciałości późniejsze, ale one nic nie dowodzą przeciw samemu podaniu. Wszak i historia pełna jest później dorobionych przystrojeń? Stare pieśni opowiadają szczegółowo, jako cesarz Karol Wielki zdobył grób Chrystusowy; dziś wiemy, że to bajka, że stopa jego nawet nie powstała w Palestynie, a jednak z tej bajki nikt nie wyciągnie wniosku, aby Karol Wielki nigdy nie miał istnieć. Owszem, jest to jeden jeszcze dowód, jak mocno uderzył wyobraźnię narodów, kiedy na karb jego wielkości kładziono

¹²³*dżetattura, jetattura, zle oko* (mit.) — zabobon, wiara w to, że zazdrosny wzrok może zaszkodzić. [przypis edytorski]

¹²⁴*salopkę* (zdr.), *salopa* — długa, ciepła peleryna z kapturem i szerokimi rękawami, noszona przez damy w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

wszystko, co później po świecie działo się wielkiego. I tak bywa z każdym zjawiskiem. Jak dobrze mówi francuskie przysłowie: *On ne prête qu'au riche*¹²⁵.

Tu pan Cezary znów otworzył księgę i czytał na wyrwyki:

— „Bazyliszek, z greckiego *basileus*, król, od grzebyka na głowie, niby diadem... U starożytnych miał mieć ogon węża w górę zadarty, skrzydła nietoperza, ciało i głowę koguta, z narostem na głowie w kształcie korony, od której i nazwisko jego pochodzi. U nas postać jego przedstawiano, że był wielkości kury, z ogonem gadziny, szyją indyczą i żabimi oczyma. Wzrok miał tak morderczy, że na kogo spojrzał, ten padał nieżywy. Nawet kiedy się przejrzał, zabijał się własnym wzrokiem itd. itd...” Tu właśnie następuje anegdota o Janie Tauerze. Oto, jak panie widzicie, nie żądam, abyście wierzyły w nietoperze skrzydła albo żabie oczy, ale mam głębokie przekonanie, że między kurami trafiają się osobniki obdarzone siłą wzroku magnetyczną, elektryczną czy galwaniczną...

— Proszę pana, dlaczegoż tylko pomiędzy kurami? Czemuż inne zwierzęta nie mają tego wzroku?

— A niech mi pani powie, czemu *dżetatura* trafia się prawie wyłącznie na półwyspie włoskim? W innych krajach ludzie z urocznymi oczami są bardzo rzadcy. Pytanie nawet, czy wszyscy nie daliby się wywieść z jakich rodzin italskich? Wszelkie podania o tych oczach i sposobach odwrócenia ich wpływu rozeszły się pierwotnie z ksiąg etruskich¹²⁶. Widocznie więc jest to zjawisko czysto fizjologiczne, pochodzące z klimatu i temperamentu. Według mnie jest to *magnetyzm*¹²⁷ źle użyty, którym pewni ludzie są obdarzeni jak pewne węże, co umieją magnetyzować ptaszki, ażeby je pożreć.

— Przyznaję panu, że *dżetatura* może być nieprzyjemna, niezdrowa, nawet szkodliwa, jednak nigdy nie słyszałam, ażeby na miejscu zabijała?

— A wie pani, dlaczego? Bo cywilizacja przytępiła już w człowieku tę władzę, tak jak w nim przytępiła mnóstwo dziwnych instynktów, co pozostały nietknięte w zwierzętach. Pewien jestem, że człowiek z urocznymi oczami, wzięty w stanie zupełnie dzikim, potrafiłby zabijać wzrokiem. Teraz, po wiekach oświaty i uobyczajenia, wzrok ludzki dużo złagodniał; dziś nawet u najgorszego człowieka magnetyzm oczny zawsze jest okiełznany wolą i rozumem; ale włóżmy ten magnetyzm w oko bezmyślnego i rozżartego zwierzęcia, a ślepo uderzy, nie mierząc swego ciosu. Kur¹²⁸ jest sławnym złoślikiem; uchodzi za symbol czujności, a ja bym go raczej obrał za symbol gniewu. Cóż łatwiejszego niż podżęgnąć te stworzenia do najwyższej zapalczowości? Anglicy dziś jeszcze brzydko się bawią walkami biednych kogutów. Bardzo więc łatwo przypuścić, że były między nimi gatunki albo osobniki, które dosłownie piorunowały wzrokiem, tak na przykład jak... jak drętwa piorunuje dotknięciem. Wszak wiecie panie, co jest drętwa? Francuska *la torpille*, Linneuszowska *Raja torpedo*, gatunek ryb węgorzowatych, których uderzenie wstrząsa i ubezwładnia człowieka, a inne ryby na miejscu zabija. Aha! Widzę, że porównanie z *torpedami* zaczyna panią przekonywać. A czemu? Bo dotknąłem przedmiotu znanego i dowiedzionego. Gdyby drętwy należały do istot przedpotopowych, kopalnych, gdyby pisał o nich tylko Herodot albo Wójcicki, rzuciłabyś pani książkę, mówiąc: Ot, stary bajarz, plecie sam nie wie co. Ale że *Raja torpedo* należy do fauny żyjącej, to pani wierzysz i nawet nie bardzo się dziwisz, chociaż podług mnie drętwa jest równie zadziwiająca jak bazyliszek; jedno i drugie posiada w sobie rodzaj strasznego stosu Volty¹²⁹; cała różnica, że jedno go posiada w oku, a drugie pod płetwami.

— Istotnie, muszę przyznać, porównanie do drętwy uczyniło na mnie dość mocne wrażenie.

Byłabym jeszcze z godzinę chętnie rozprawiała o magnetyzmie wzroku i cudownych jego własnościach, ale widząc, jak pani Marta kręci się na ławce, jak chciwie ku drzwiom spogląda, ściągnęłam rozmowę na główny gościniec.

¹²⁵ *On ne prête qu'au riche* (fr.) — pożycza się tylko bogatemu. [przypis edytorski]

¹²⁶ czemu *dżetatura* trafia się prawie wyłącznie na półwyspie włoskim? (...) Wszelkie podania o tych oczach i sposobach odwrócenia ich wpływu rozeszły się pierwotnie z ksiąg etruskich — wiara w złe oko jest faktycznie o wiele starsza i bardziej rozpowszechniona, od starożytnego Sumeru i Babilonu po współczesną Amerykę Południową; takie zabobony funkcjonują jeszcze w Polsce na wsi. [przypis edytorski]

¹²⁷ *magnetyzm* — zjawiska, które dzisiaj znane są pod nazwą hipnozy, w XIX w. określano jako mesmeryzm (od nazwiska Franza Antona Mesmera, 1734–1815) lub magnetyzm. [przypis edytorski]

¹²⁸ *kur* (daw.) — kogut. [przypis edytorski]

¹²⁹ *stos Volty* — ogniwo galwaniczne, wynalazek Alessandra Volty. [przypis edytorski]

Ptak, Potwór

Zabobony

— Bardzo dobrze; już nie chcę panu przerywać przeczeniami ani pytaniami; wróćmy do owej zbroi, która mię niesłychanie zaciekawia. Czyżby to była ta sama?...

— A tak! Właśnie ta sama, która ocaliła życie Szlżakowi Tauerowi, a z nim razem nie wiem ilu warszawianom i warszawiankom.

— I jakże dostała się Halluciniemu?

— Najprostszym sposobem. Faktorowie¹³⁰ warszawscy, wywiedziawszy się o naszym guście do zwierciadeł, znosili nam ich pełno, tak nowych, jak starych, nawet głównie stare, bo o te dbaliśmy najwięcej. Otóż pewnego razu handlarz przyniósł mu i te dziwne kawałki, znalezione pod strychem jednej z najstarszych kamienic Starego Miasta. Profesor wziął je z początku za prostą zabawkę, ale dostrzegłszy napis pomiarkował, co się święci, i za marny pieniąż kupił ten nieoceniony zabytek. Ach, bodajby nigdy nie był kupował! Człowiek ani wie, jak sam nieraz biegnie naprzeciw nieszczęściu. Biedny profesor tak się cieszył swoją zdobyczą! Tłumaczył mi jej prawdopodobne koleje: musiała być przechowywana w rodzinie Tauerów albo może i w magistracie miejskim, a teraz mogła stać się ozdobą jakiego muzeum. Ale wartość historyczna była wedle Halluciniego jeszcze najmniejszą jej zaletą.

„Ja, mówił, znajdę w niej inne skarby, stokroć droższe. Rasa bazylijskich już widocznie wyginęła na świecie; ludzie póty je tępil, aż nie słyhać już o nich. Dla bezpieczeństwa ludzkiego to lepiej, ale dla nauki to niepowetowana strata. Otóż ta zbroja przedstawia już ostatni i pewnie jedyny pod słońcem sposób sprawdzenia istności bazylijska. Jeżeli legendy prawdę mówią, zwierciadło pokaże mi jego obraz, na żywe oczy zobaczę to, co już nigdzie nie istnieje, tylko w tym odbiciu; przekonam się, jak ów potwór wyglądał, i troszkę może nawet, jak spoglądał. Już studiuję wszystkie te lusterka od długich tygodni, ba! od całych miesięcy. Przeleciałem przeszło dwa wieki w tył; przegląd idzie szybko, bo dotąd mało było ciekawych widoków; zbroja leżała po strychach i salach, do których prawie nikt nie wchodził; ale teraz mi się wydaje, że jestem już bliski celu. Wystaw sobie, już widziałem ludzi w strojach z czasów Henryka Waleczjusza; jeden krok jeszcze, a stanę w epoce Zygmunta Augusta. Lada dzień, lada chwila zobaczę scenę z Tauerem, a po niej zobaczę bazylijska żywego!”

Zapał profesora i mnie z początku porwał. Jednak po chwili przyszła mi myśl przestraszająca: jeżeli wzrok bazylijska odbity w zwierciadle mógł jego samego zabić, czyż i terazniejsze jego odbicie nie groziło jeszcze niebezpieczeństwem dla widza?

Tu przerwałam panu Cezaremu:

— Czemuż nie położył ruty przed zwierciadłem? Przecież to wiadomy sposób. Ruta wyciąga cały jad z takich oczu. Onego czasu w Wilnie, kiedy bazylijszek wyglądał szczelinią z piwnicy zawalonej, rzucano do niej rutę; pierwsza wiązka zbieleła i uschła, następne coraz mniej, aż gdy wydobyto wiązkę zupełnie świeżą, bazylijszek już był nieżywy.

Odważając się na tę czarnoksiężską erudycję, przewidywałam, że wiele stracę w oczach pani Marty, która też spojrzała na mnie oczami mówiącymi: Jak to? I ty już zaczynasz? Ale za to ileż zyskałam w oczach pana Cezarego! Klasnął w rękę, wołając:

— Pani wiesz o tym? Ach, z panią aż miło mówić. Otóż przysięgam, ja mu słowo w słowo to samo radziłem, ale Hallucini odrzucił radę z pogardą, oświadczając, że chce widzieć wzrok bazylijska żyjący i działający, a nie wyspany przez rutę. Potem tłumaczył mi bardzo obszernie sposoby, jakimi ma nadzieję uniknąć niebezpieczeństwa; najprzód — wedle niego — po trzech wiekach przerwy odbicie wzroku musiało dużo utracić na swojej sile, niejako zblaknąć i wywietrzeć. Po wtóre, samo rozłamanie promienia na tylu ściankach zwierciadlanych mogło tę siłę podzielić. Na koniec zapewnił mię, że nie narazi się na sam promień, ale będzie zaglądał z boku. „Przecież, mówił, i na piorun można patrzeć i nie zginąć od niego, byle się nie znaleźć pod samym piorunem.” Miał nawet zamiar położyć żywą żabę przed zwierciadłem i zobaczyć, co się z nią stanie. Gdyby wzrok działał morderczo, chciał unieruchomić obraz, potem zaprosić uczonych z całej Warszawy i powtórzyć przed nimi doświadczenie. „Toteż to dopiero, wołał, będzie się miasto trzęsło od tyłu odkryć naraz!” Jednak w tych świetnych marzeniach nagle zwiesił głowę i biorąc mię za rękę, wyznał ze wzruszeniem, że jest inne niebezpieczeństwo, co go straszy więcej

¹³⁰faktor (daw.) — pośrednik, handlarz. [przypis edytorski]

od samej śmierci... „Wzrok bazyliuszka — pisze Valerianus — kiedy jest osłabiony i już nie może zabijać, wtedy jeszcze może człowieka pozbawić zmysłów.”

„O! to, wołał Hallucini, groźba gorsza od wszystkich... Ale trudno... Dla nauki trzeba się nieraz narażać; dla niej ludzie giną w pustyniach afrykańskich i lodach podbiegunowych. Jeżeli zginę albo rozum stracę, będę męczennikiem nauki, nie pierwszym i nie ostatnim.”

Przyznacie, panie, że ten zapal był piękny i szanowny, okupował niejedną wadę w profesorze. Toteż go słuchałem ze szczerym uwielbieniem. Gdyśmy w najlepsze rozprawiali, zapukano tu, do drzwi wejściowych. Uderzenia odzywały się lekko, ale w pewnych odstępach, jakby na umówiony sygnał, i jednocześnie głos kobiety przeze drzwi zapytał: „Czy można?”

Słowa były proste, jednak wzdrygnąłem się na nie jakby na trąbę sądną. Ach, bo w tym głosie poznałem, a przynajmniej wydało mi się, że poznaję głos dobrze mi znajomy. Wiele innych kobiecych głosów mogło być do tego podobnych, mogłem się mylić, jednak coś szeptało mi, że się nie mylę... Głos drogiej osoby tak żywo drga w sercu, że można go rozpoznać między tysiącem innych.

Najlepiej było wstać i sprawdzić od razu domysł, ale ja skamieniałem. Są chwile, w których człowiek chciałby, powinien by otworzyć oczy, a zamyka je z trwogi, aby nie zobaczyć prawdy, może strasznej.

Hallucini tymczasem rzucił się ku drzwiom gwałtownie, odchyliwszy je nieco, zamienił kilka słów przytłumionych, z których tonu zmiarkowałem, że odpędza natrętne odwiedzin; zatrasnął drzwi, suknia zaszeleściła po schodach, profesor wróciwszy do mnie śmiał się i utyskiwał na ciekawe damy, co mu nie dają spokoju, co go tu nawet w sanctuarium nauki nachodzą, żądając przepowiedni i sekretów piękności. Śmiał się i żartował, ale spod oka wciąż na mnie spoglądał; może chciał wymiarkować, czy domyślał się czego? A może tylko dziwił się mojej nagłej zmianie, bo musiałem być wielce pomieszany. Gdy na wszystkie sposoby usiłował dalej nawiązać rozmowę, gdy rozprawiał o zwierciadłach i bazyliuszku, ja rozbieierałem przypuszczenia, czy to ona, czy nie ona? Przecież Hallucini jej nie znał? Przecież stanowczo nie chciał się z nią poznać? I ona miałaby do niego przychodzić na tę nieznaną uliczkę, do tej zakłetej pracowni? Czy i ona szuka jakich czarów?

Ostatecznie powiedziałem sobie, że pewnie mię słuch omylił, że to śmieszne złudzenie. Jednak nie mogłem już odzyskać wesołości i wyszedłem, prawie nie pożegnawszy gospodarza. Ach, gdybym wiedział, co nas czeka, byłbym się z nim przynajmniej pożegnał!

W domu zastałem Felicję dumającą jak zawsze na swojej otomance. Mieliliśmy tego dnia u siebie wielki proszony obiad, goście zostali na cały wieczór; nie znalazłem ani chwili wolnej do rozmówienia się z Felicją; zresztą cóż tu powiedzieć? Czcze przypuszczenia, które mogła zbić jednym ruszeniem ramion. Śledziłem tylko ukradkiem jej rysy i ruchy: była zupełnie spokojna. Ta swoboda i mnie uspokoiła; jednak wpatrując się ciągle w jej twarz i postać, odkryłem rzecz dziwną: niejaki podobieństwo fizyczne między nią a Hallucinim, jakby pochodzili z tej samej rodziny, a przynajmniej z tego samego szczepu. Trudno wytłumaczyć, czemu to podobieństwo nigdy przedtem nie zwróciło mojej uwagi. Może z powodu, że nigdy ich obok siebie nie widziałem, nigdy ich w wyobrażeniu moim nie łączyłem. Owego dnia pierwszy raz w myśli ich zestawivszy, spostrzegłem tę wspólność typu, niezaprzeczoną, choć bardzo daleką, bo Felicja przedstawiała wszystkie jego strony miękkie i urocze, a Hallucini przedstawiał stronę potężną i niemłą.

To spostrzeżenie, choć samo przez się nic nie dowodzące, nabawiło mię nowego niepokoju; nazajutrz, jak tylko Felicja wyszła z domu, przeniosłem czarną zasłonę i skrzynkę do jej buduaru. Może źle robiłem? Ach, pewno, że źle. Kto chce za wiele widzieć, jak ten, co słucha pode drzwiami, najczęściej źle wychodzi na swojej ciekawości. Przez nią to może ściągnąłem cios najokropniejszy... Ale wówczas wydawało mi się, że mam zupełne do niej prawo, że mam nawet obowiązek wglądania w najskrytsze tajniki mego domu. Zresztą wmawiałem w siebie, że to jedyny środek na rozpędzenie czczych podejrzeń i utwierdzenie mojej wiary w Felicję.

Buduar jej pełen był zwierciadeł; jedno zwłaszcza, stojące, tak zwane Psyche, odbijało całą połowę pokoju, a z nią i otomankę, na której Felicja pół życia spędzała. Nastawiwszy przyrząd, spostrzegam ją niezdługo w lustrze, siedzącą na sofie i gorzko płaczącą; twarz ukryła w rękach, nie słyszę jej łkania, ale go się domyślam po konwulsyjnym ruchu, co wstrząsa tą prześliczną główką. Na ten widok rozrzewnienie chwytą mnie za serce, chciałbym przebić szklaną ścianę, pocieszyć ją, rzucić się do stóp jej, kiedy nagle... spostrzegam u tych stóp... kogo? Hallucinię! Klęczącą u jej kolan, wyciąga ręce, jakby ją zaklinał i błagał, a ona z oczami chustką zakrytymi daje znak odmowny, ale taki słaby, taki już mdlejący! Odjęła chustkę od oczu, przemawia do niego z błagalnymi ruchami, jakby się tłumaczyła, jakby go przeproszała! Ach, byłbym dał resztę życia, aby usłyszeć jedno słowo, jeden odcień ich głosu! Co się ze mną działo, tego i nie próbuję opowiedzieć. Po chwili inna scena. Felicja wstała, z szafy dobywa puzderko, otwiera je i pokazuje Halluciniemu. W puzderku widzę garnitur szmaragdowy, który jej przed miesiącem dałem. Hallucini ogląda go, uśmiecha się, garnitur mu się widocznie podobał, bierze go i po prostu chowa do kieszeni. Nogi się pode mną zachwiały, jakby ziemia się rozstępowała; zasłoniłem oczy, nie mogąc dalej patrzeć... Więc to tam ginęły wszystkie moje klejnoty, wszystkie moje dostatki! Chciałem odepchnąć przyrząd, rozbić w pył zwierciadło... Krwawa ciekawość jeszcze raz kazała mi zajrzeć. Scena znowu się odmieniła, ale obecny obraz trudniejszy do wytłumaczenia: teraz Felicja klęczy u stóp Hallucinię, teraz ona załamuje ręce i błaga, i zaklina, co dziwniejsza, jego po rękach całuje z jakąś osobliwszą pokorą, a on wyraźnie czyni jej wyrzuty i odwraca się obrażony. W jednej chwili oboje znikli, pokój został pusty.

Nie mogłem dłużej ustać, siadłem trzęsąc się jak w febrze, rozumiejąc tylko to, że byłem haniebnie zdradzony.

Więc się znali? Widywali się tu, w moim domu? Przypominałem sobie gwałtowny rumieniec Hallucinię, kiedy w zwierciadle pokazał mu Felicję. Widać, że wielkie, za wielkie sprawiła na nim wrażenie. Może jakiś czas bronił się od tych wrażeń, może przez uczciwość nie chciał się z nią poznawać; ale co potem zaszło? Gdzie się spotkali? Co ich zbliżyło?

Przystąpiłem raz jeszcze do otworu w zasłonie, chcąc wyczerpać kielich gorzkiej wiedzy, ale po chwili przyrząd zaczął warczeć i stanął. Pomimo nakręcania sprężyny nie chciał już nic pokazywać, bo zabrakło płynów i proszków, które stanowiły magiczną własność maszyny, a które Hallucini co czas niejaki dolewał i dosypywał. Zgroza mnie wzięła na myśl, że bez współdziałania tego człowieka nie potrafię już nic zobaczyć, że nawet chcąc zbadać jego własne postęпки, musiałbym do niego udać się o pomoc.

Wprawdzie po chwili powiedziałem sobie: A po co mi jeszcze badać? Czyż nie dość już zobaczyłem? I zacząłem sobie przypominać tysiące szczegółów, które mnie utwierdzały w moim przekonaniu. I tak, może przed rokiem, jednego razu przechodząc przez dom Roetzlera spostrzegłem, jak Hallucini w bramie rozmawiał z jakimś człowiekiem, co na mój widok szybko umknął; umknął, jednak w nim poznałem owego niby Węgra, co niegdyś mi sprzedał zwierciadło Felicji; a gdym spytał profesora, skąd zna tego człowieka, odpowiedział mi spokojnie, że to jeden z faktorów, co mu dostarczają zwierciadeł. Odpowiedź ta wówczas mnie zadowoliła, ale dziś we wszystkim dostrzegałem dowody potajemnych stosunków. Przyszło mi na myśl, czy i Felicja nie jest Cyganką, nasłaną na mnie jako narzędzie obcej woli. Wszystko teraz przeciw niej się obracało; sam dziwny gatunek jej urody, osobliwsze rozmówienie w beczynności, wszystko świadczyło za tym pochodzeniem.

Uczulem nie tylko rozpacz, ale wstyd na widok oszukaństwa, jakiego padłem ofiarą. Mówilem sobie: Oto para intrygantów od lat całych wzięła mię w obroty, a ja dawałem się łudzić i wyzyskiwać! Jeszcze Hallucini... ten przynajmniej w przeszłości miał zasługi, ależ ona! ona! której wierzyłem jakby aniołowi z nieba!

Wprawdzie sceny podpatrzone w zwierciadle mogły ulec różnym tłumaczeniom. Gdyby w takiej chwili można mieć sąd jasny i rozwagę, byłbym zrozumiał, że ta dramatyczna rozmowa nie jest podobna do rozmów czulej pary. Sam zresztą wiek Hallucinię powinien był odwrócić podejrzenia; ale ten dziwny człowiek, pomimo liczby lat nieodgadnionej, posiadał jeszcze tyle szatańskiej potęgi i wymowy, jego włosy sztucznie czy prawdziwie krucze nadawały mu taki fałsz młodości, że mówiłem sobie: Kto wie? Na

istotę mało wykształconą i dziecinną jak Felicja ten czarnoksiężnik mógł rzucić rodzaj uroku, rodzaj opętania, któremu uległa jakby duchowej *dżetaturze*. Zapłakałem nad nią i przekląłem godzinę, w której Hallucini zaszedł mi drogę jakby zły geniusz mego życia.

W tej chwili drzwi się otworzyły i Felicja, prawdziwa Felicja wbiegła w szalu i kapeluszu, wesoło wracająca z miasta. Zobaczywszy mnie w swoim buduarze, z radosnym okrzykiem rzuciła mi się na szyję, a w tym ruchu było tyle szczerości, w jej twarzy tyle niewinności, że zawahałem się i głos w mojej duszy zawołał: Chyba zwierciadło skłamało.

Jednak wkrótce sama na nowo obudziła moje podejrzenia. Zobaczywszy czarną zasłonę i nastawiony przyrząd, odsunęła się wołając z oburzeniem:

„Cóż to? Już i tu wtargnąłeś z twoją zwierciadlaną machiną? Do mnie? To nieszlachetnie!”

Zarzut nieszlachetności tak jest zawsze bolesnym, że nawet wtedy spuściłem przed nim oczy. Ale po chwili podniosłem je, trzęsąc się z gniewu na to nowe odkrycie.

„Aha! krzyknąłem, więc, ty wiesz, co to za machina? A dlaczegoż przez te wszystkie lata nigdy nie mówiłaś o niej? Udawiałaś, że nic nie wiesz? O! jak widzę, dużo tu było udawania.”

I wybuchnąłem przepełnionym sercem, opowiedziałem sceny widziane w zwierciadle, obsypałem ją wyrzutami i obelgami, a ona stała z głową spuszczoną, zupełnie jakby winowajczyni, aż gdy zacząłem wołać: „No, cóż tak stoisz? Nawet nie próbujesz się bronić?” podniosła zażawione oczy i składając ręce, rzekła:

„Mężu kochany! Ty, coś mi był zawsze i jesteś jedynie ukochany! Chwilkę cierpliwości... Mogłabym się obronić jednym słowem, ale mi tego słowa nie wolno wyrzec. Jestem związana przysięgą. Ale pobiegnę zaraz, teraz, będę póty błagała, aż mię rozwiąże z tej okropnej przysięgi, aż pozwoli mi się usprawiedliwić... Ach, ja zawsze przewidywałam, ja mu zawsze mówiłam, że te wszystkie sekreta skończą się na nieszczęściu; a on nie chciał wierzyć, mówił, że dla nas wszystkich lepiej, abyś ty nie wiedział... A teraz?”

I wybiegła jak wicher.

Zostałem, gubiąc się w domysłach. Niezadługo porwał mię śmiech gorzki.

Tak, powtarzałem, pobiegła go ostrzec, ułożyć z nim nową komedię. Mędrsza ona, niż się wydawała, ale im nie pozwolę spokojnie ról się uczyć, zamączę im spiszek...

I chwyciwszy za kapelusz, wybiegłem także. Właściwe mieszkanie Halluciniego było na Nowym Świecie. Tam pędzę. W pół drogi przypominam sobie, że profesor spędza zwykle cały ranek w swoim laboratorium... Felicja wie pewno dobrze, gdzie i kiedy go zastać. Jeśli więc mam ich znaleźć, to tylko na ulicy Mylnej... zmieniam kierunek, lecę jak szalony... ale droga długa... Ach, gdyby nie to opóźnienie, byłbym uprzedził może cios najopłakańszy!

Kiedy wbiegałem tu na schody, drzwi od tego pokoju z trzaskiem się rozwarły. Felicja z nich wyleciała trzymając się za głowę i krzycząc wniebogłosy: *Mio padre*¹³¹! *Mio padre*!

Pomimo pomieszanania wszystkich moich pojęć ten wyraz mię zastanowił, pierwszy raz nasunął mi myśl osobliwszą...

Tymczasem Felicja minęła się ze mną na schodach i nawet mię nie spostrzegłszy, uciekała przez sień na dziedziniec.

Chwilę zawahałem się, czy biec za nią, czy iść na górę. Druga chęć przemogła: chciałem spotkać Halluciniego i jeśli mam powiedzieć prawdę — zabić go na miejscu. Czemu? Jak? *Anim*¹³² wiedział; ta żądza ogarnęła mię ślepo i niosła bez namysłu.

Ale wpadłszy tu do pokoju zobaczyłem, że mię przeznaczenie uprzedziło. Hallucini leżał na podłodze nieżywy.

Ten widok nagle mię ostudził. Zacząłem się rozglądać. Nie miał na sobie żadnej rany, tylko był dziwnie nabrzmiaty i czarny. Leżał na wznak, z rękami rozkrzyżowanymi, jak człowiek, co upadł z przodu uderzony. Już najmniejszego znaku życia nie mogłem się w nim doszukać.

W pokoju panował nieład trudny do wytłumaczenia. W głębi zbroja zwierciadłana, potłuczona w tysiączne kawałeczki, świeciła na ziemi wokoło połamanego manekina.

¹³¹*mio padre* (wł.) — mój ojciec. [przypis edytorski]

¹³²*anim* *wiedział* (daw.) — ani wiedziałem; wcale nie wiedziałem. [przypis edytorski]

Czarna tkanina, rozdarta, wisiała strzępami. Bliżej wszystko było przewrócone i porozbijane, skrzynka z magicznym przyrządem, szkatułki z płynami i proszkami, wszystko sypało się i płynęło.

Nie mogąc nic zrozumieć, wybiegłem za Felicją, sądziłem, że od niej dowiem się powodów nieszczęścia. Ale jakże ją zastałem! Biegła po ulicy, zrzuciwszy kapelusz, z rozwianymi włosami, załamując ręce i krzycząc jakimś głosem nieczłowieczym... A ludzie, powychodziwszy przed sienie i furtki, wołali z przestachem: „Wariatka!”

Istotnie, kiedy ją dogonił, uchwycił za ręce i spojrzał jej w oczy, te oczy mię nie poznały. Felicja była obłąkana.

Pan Cezary zamilkł i zwiesił głowę, a ja przerażona zapytałam:

— Na miłość Boską! Cóż się to stało? Co się tam porobiło?

— O pani! Chyba jakieś oczy patrzące z nieba mogły widzieć, co się tam stało. Z dwóch osób, które były jedynymi działaczami i świadkami tej sceny, jedna umarła, druga utraciła zmysły i tajemnica przepadła między nimi.

Wprawdzie... gdybym odkrył zagadkę zwierciadlaną, tajemnica ta wyszłaby na jaw, bo owa scena, oprócz dwóch osób, miała jeszcze inne świadki¹³³: zwierciadła. Całe laboratorium było nimi obwieszone, one wszystko widziały, one mogłyby wszystko opowiedzieć; cóż, kiedy dotąd są to świadki nieme. Przechowałem je święcie, pilnując ich jak oka w głowie, pozbyłem się wszystkich rzeczy, byle nie stracić tych dokumentów. Patrzcie, panie, oto są te same zwierciadła, co wówczas tu wisiały, te same! I pomyśleć, że w nich odmalowana jest cała ta przygoda! Leży tu w szkłe, jakby fotografia w zamkniętym albumie, tylko otworzyć, a wyjdzie świeża i żyjąca... a już tak mało trzeba mi do otworzenia!

Pan Cezary wstał i pościągawszy latane opony¹³⁴, ukazał nam szereg różnokształtnych zwierciadeł, a ja zadrżałam na myśl, co się w nich ukrywa.

— Już więc teraz nie będziecie się panie dziwiły, że tak namiętnie szukam klucza tej zagadki; pędzi mię nie tylko naukowa ciekawość, ale bolesna żądza zrozumienia mojej własnej przeszłości.

Tymczasem karmić się muszę samymi domysłami. Nie zastąpią one czystej prawdy; jednak, po długich latach dumania i rozumowania, wyciągnąłem z nich wnioski, które nieledwie mogą starczyć za pewność.

Z początku sądziłem, że to mój gniew, moje wyrzuty stały się powodem wszystkich nieszczęść, że Hallucini i Felicja, widząc się odkrytymi i zgubionymi, wpadli w rozpacz, co jego doprowadziła do samobójstwa, a ją do obłąkania. To przypuszczenie było tak straszne, że o mało i mnie samego nie pozbawiło zmysłów.

Ale nagle przypomniałem sobie bazyliuszka i z tym przypomnieniem od razu wszystko się wytłumaczyło, wszystko stało się jak dzień jasne. Widocznie Hallucini dalej studiował zbroję i pomimo wszelkich swoich ostrożności trafił na wzrok potwora, który go spiorunował. Potwierdzało ten domysł nabrzmienie i szernienie trupa, zwykły znak śmierci zadanej przez bazyliuszka; potwierdzała i nieżywa żaba, którą znalazłem pomiędzy zwaliskami tej sceny, także odętą i prawie na węgiel spaloną. Biedny profesor stał się istotnie męczennikiem nauki.

Felicja, moja nieszczęsna Felicja wbiegła tam pewnie w chwili, kiedy już leżał martwy. Przerażona tym niepojętym widokiem, szukając bez wątpienia jego przyczyn, musiała oglądać się dokoła, musiała rzucić okiem i na zbroję, a w niej napotkać spojrzenie bazyliuszka, co wół wyczerpane, nie miało już dość mocy, aby zabić, ale jeszcze jej miało dosyć, aby odebrać rozum.

O, czemużem patrzył w tę przekłętą Psychę? — wołał pan Cezary, wskazując wysokie zwierciadło na nóżkach, co świeciło w kącie pokoju. Nie próżno ono się tak złowróżebnie¹³⁵ nazywa! Sama historia greckiej Psychy uczy, że nigdy nie trzeba przemocą wglądać w cudzą duszę. Gdyby nie ta moja zazdrosna ciekawość, Felicja nie byłaby się tu znalazła w chwili katastrofy, żylibyśmy dotąd szczęśliwi, tym szczęśliwsi, że właśnie zbieg wypadków umożliwiał jej wyznanie, rozwiązywał ją z przysięgi przez nagłą śmierć ojca... bo Hallucini musiał być jej ojcem.

¹³³inne świadki — dziś popr. forma B. lm: innych świadków. [przypis edytorski]

¹³⁴opona (tu daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

¹³⁵złowróżebnie — dziś popr.: złowróźnie. [przypis edytorski]

Na twierdzenie to nie mam żadnych dowodów autentycznych, ale mam przekonanie wyciągnięte z tysiącznych wyrażen i wykrzykników, jakie jej się wyrwały podczas obłąkania, a przekonanie takie, dla mnie, osobiście, posiada więcej wagi niż najwyraźniejszy dokumenta.

Ciągle powtarzała: *Mio padre! Mio padre!* Bo od chwili obłądki nie mówiła już innym językiem jak tylko włoskim, w którym pewnie była wychowana. Czasem wprawdzie używała także wyrażen z jakiejś mowy nikomu nie znanej, ale może to były dźwięki bez żadnego znaczenia, dzikie utwory pomieszania¹³⁶.

Powiedzcie, panie, skąd jej ta ciągle myśl o jakimś ojcu, o którym nigdy przy zdrowych zmysłach nie mówiła? Nieraz, w krwawej omyłce, mnie brała za tego ojca, kląkszy przede mną, całując mię po rękach, włócząc się u moich kolan (zupełnie jak w owej zwierciadlanej scenie), wołała z rozpaczą: „Ojczel! pozwól, abym powiedziała wszystko Cezaremu! On się nie obrazi... Zobaczysz, tobie niczego nie zbraknie... Ja od niego jeszcze więcej otrzymam niż dawniej... Tylko pozwól powiedzieć, bo w takim ludzeniu dalej żyć nie można, ja na niego spojrzeć nie śmiem.” A potem, zerwawszy się, z oburzeniem dodała: „Nie chcesz? Nie pozwalasz? Powiadasz, że nami pogardzi? A jeśli sam się domyśli albo dowie? O, wtedy jeszcze więcej pogardzi!”

Czasem zdawała się pamięcią sięgać w dawniejszą, przedślubną epokę; raz ją zastałem płaczącą i skarżącą się: „Pokazał mi go w zwierciadle, pozwolił mi go pokochać, a teraz mi nie pozwala nawet powiedzieć mu, kto jestem? Powiada, że on by się nie chciał żenić z córką Halluciniogo. Czemu? Czyż to taka hańba? Nie, nie rozumiem, a jednak muszę przysiąc milczenie... muszę, inaczej mię za niego nie wyda. Ale co to będzie potem? Czy ja potrafię całe życie udawać?”

Wprawdzie te wszystkie wyznania, które ja tu jasno i porządkiem wypowiadam, u niej snuły się bezładnie, przeplatane wybuchami dziwactw i śmieszności. Inni słuchali ich z litośnym uśmiechem, nie widząc żadnego między nimi związku, ale ja dopatrywałem w nich połamane szczątki przeszłości i z przerażeniem gromadziłem je w sercu, aby z nich odbudować jej bolesne dzieje.

Hallucini w ciągu swego awanturniczego życia mógł ożenić się i owdowieć. (Może i nie raz jeden?) Później, kiedy strwonił fortunę, kiedy wszelkie środki już wyczerpał, kiedy mojej cierpliwości nadużył i czuł, że wymykam się spod jego wpływu, sprowadził pewnie córkę w zamiarze, aby przez nią ten wpływ odzyskać. A dobrze rozumiał, że dla dopięcia celu musi ukryć jej pochodzenie, bo istotnie... gdybym od początku był wiedział, czyją jest córką, nie wiem, czy by mnie odwaga nie była odbiegła... tak przesądnie bałem się tego człowieka. Ach, ja, żeniąc się, byłem pewien, że jemu na przekór czynię, że daję dowód silnej woli, a ja tylko spełniałem jego własne plany! Dlatego to on tak upornie odradzał mi owo małżeństwo... Aha! znał mój charakter, wiedział, że niczym bardziej do niego mię nie popchnie. A ów rumieniec zagadkowy to był rumieniec tryumfu! Pewien jestem, że to on podsunął owego faktora ze zwierciadłem, on ułożył scenę z listem, ażeby bez niczyjej pomocy, niby przypadkowo, znalazł adres Felicji. Zdaje się, że i jej musiał najprzód pokazać mój obraz w zwierciadle, a później, kiedyśmy się poznali, kiedy jej serce przemówiło, biedaczka przystała na wszelkie warunki ojca, byle połączyć się ze mną.

I nie ma co mówić, cały ten plan był bardzo mądrze osnuty. Hallucini i córce świetny los zapewnił, i mnie uszczęśliwił, i sobie otworzył nowe źródła dostatku. Wszystko szło dobrze, może aż do końca byłoby przeszło bez chmury, gdyby ten człowiek zdolny był zachować w swoich żądaniach jakąkolwiek miarę. Przez pierwsze lata jeszcze się wstrzymywał, ale im dalej, tym więcej wymagał. Córka wszystko mu oddawała, a nigdy mu nie mogła nastarczyć. Pewnie oburzał się na jej nieśmiałość, radził i uczył, jak mnie wyzyskiwać. Ach, co ona musiała wycierpieć! Teraz rozumiem jej milczenie, jej niewytłumaczone smutki. Jak jej musiała ciężać ta wieczna tajemnica! A ojciec nie pozwalał i nie pozwalał na żadne zwierzenia, prawdę mówiąc nawet i nie mógł pozwolić; raz już zabrnąwszy w komedię, która się tak wybornie udała, lękał się popsuć wszystko niewczesnym wyznaniem.

Może i nie na próżno się lękał. Dziś, kiedy śmierć i tyle nieszczęść rozgrzeszyło go nieco w moich oczach, sądzę te wypadki spokojniej, ale wówczas, gdybym się był nagle

Podstęp

¹³⁶ *pomieszanie* — tu: obłąd. [przypis edytorski]

przekonał, że zostałem, jak to mówią, „złapany”, nie wiem, czybym nie zerwał z ojcem i nie stracił serca do córki.

A byłoby to największą niesprawiedliwością, bo ona mnie kochała głęboko, prawdziwie, mnie tylko jednego kochała. O, na to bym przysięgł! Gdyby jej serce zamykało w sobie najmniejszy cień zdrady, byłby się ten cień objawił w czasie oblędu, wtedy kiedy wola już nie stoi na straży instynktów i myśli, byłby wystrzelił jakimś imieniem, jakimś wykrzyknikiem, tymczasem ona tylko o mnie mówiła, tylko mnie szukała.

Tak, szukała! A chociaż stałem jej na oczach, nigdy już nie mogła mię poznać. Kiedy jej mówiłem: „To ja, twój Cezary!” odpowiadała: „Nie żartuj ze mnie, coś ty za jeden? Jak ty śmiesz udawać Cezarego? On odjechał, on mnie wypędził, on zabił mego ojca za to, że ja mu nie powiedziałam prawdy. Jak ja mogłam powiedzieć, kiedy przysięgłam? Ale teraz powiem. O ja nieszczęśliwa! Gdzie mój Cezary?...” I uciekała ode mnie, szukając mnie i nawołując. Ach, to było rozdzierające! Owo uciekanie zaczęło nawet przybierać coraz groźniejsze rozmiary, niezdługo przeszło w zupełną nienawiść, jeszcze jeden dowód jej dawniejszego przywiązania, dowód straszny, ale wymowny, bo wiadomo, że oblękani najmocniej nie cierpią tych, których niegdyś najbardziej kochali. Nieraz pamiętam, kiedyś na nią wołał: „Felicjo, moja Felicjo!” odpowiadała żałośnie: *No felice, ma infelice*¹³⁷.

Pan Cezary zasłonił ręką oczy i zamilkł.

Pani Marta na dobre zapięła salopę, po czym rzekła, wstając:

— No, smutnie się skończyło, ale z tym wszystkim nam już czas do domu.

— Chwilkę tylko!... — zawołałam. — Cóż Felicja? Czy jeszcze żyje? A maszyny Hallucinięgo, coż się z nimi stało?

— Felicja żyje dotąd, chociaż jakby nie żyła... stracona dla mnie i dla świata. Halluciniemu sprawiłem przyzwoity pogrzeb, jego laboratorium zaraz odnajdę dla siebie i zatarasowałem nic nie tknąwszy, w myśl że kiedyś do niego powrócę, ale dopiero kiedyś, bo w owej epoce zajęty byłem jedynie leczeniem Felicji. Z początku miałem nadzieję, że to łatwo pójdzie. Tymczasem, po kilku miesiącach, wyrok tutejszych lekarzy wypadł niepomyślnie. Zatrwożony, zacząłem ją obwozić po całej Europie, próbować wszystkich klimatów i kuracji. Nic nie pomagało, owszem stan jej ciągle się pogarszał. Dwóch przedmiotów zwłaszcza nie mogła znosić: widoku zwierciadła i mojej osoby; jedno i drugie przyprowadzało ją do najgwałtowniejszych wybuchów. Kiedy wszyscy doktorowie jednomyślnie uznali, że ten rodzaj choroby jest nie do wyleczenia, wpadłem w istotną rozpacz. Co tu dalej z nią robić? Musiałem tylko z daleka czuwać nad nią, bo na oczy jej nie mogłem się pokazać.

Na koniec trafiłem na rodzaj lekarstwa, które nie przywróciło jej zdrowia, ale przyniosło wielką ulgę. W przejeździe przez Wenecję zauważyliśmy szczególny i niemal cudowny wpływ, jaki to miejsce na nią wywierało; musiała chyba wiek dziecinny przepędzić w Wenecji, bo ledwo się tam odnalazła, wszystkie jej myśli zmieniły się i jakby cofnęły w przeszłość; zapomniiała zupełnie o swoim ojcu, o mnie, o latach zamełcia¹³⁸; wydawało jej się, że jest małą dziewczynką, i jeśli tylko nie widziała ani mnie, ani zwierciadeł, była swobodna jakby dziecko, nawet wesoła aż do figlów. Korzystając z tej prawdziwie opatrnej wskazówki, umieściłem ją w zakładzie oblękanych, który się znajduje pod Wenecją na pięknej, ozienionej wyspie. Przewidując, że Felicja może mię przeżyć, bo tacy chorzy długo żyją, zapisałem na jej imię część mego majątku, z której ma do dziś dnia wygodne, a nawet zbyt dobre utrzymanie. Jest dla niej osobne mieszkanko z ogródkiem, jest pieczołowita opieka. Felicja przekonana, że się znajduje w klasztorze na pensji, od lat całych odrabia lekcje, odmawia pacierze, polewa kwiatki, stroi lalki, bawi się z urojonymi rówieśniczkami i po swojemu jest szczęśliwa. Jeszcze niedawno dyrektor zakładu mi donosił, że coraz weselsza i zdrowsza.

Ja przez jaki rok siedziałem w Wenecji, zawsze oczekując co chwilę polepszenia. Ale przeświadczywszy się, że moja obecność tylko szkodę jej przynosi, powoli wróciłem do Warszawy, dokąd mię przyciągało laboratorium Hallucinięgo i zagadka zwierciadlana, jedyny już odtąd cel mojego życia.

¹³⁷*No felice, ma infelice* (wł.) — nie szczęśliwa, ale nieszczęśliwa. [przypis edytorski]

¹³⁸*zamełcie* (daw.) — zamełcie, małżeństwo (dla kobiety). [przypis edytorski]

Po stracie domu, szczęścia, wszelkich związków, długo chodziłem jakby struty, długo miałem nadzieję, że anioł śmierci przyjdzie mię wybawić. Ale śmierć nie przychodzi wtedy, kiedy jej żądamy. Widząc nieużyteczność moich oczekiwań powiedziałem sobie, że to życie złamane musi mieć chyba jeszcze jakiś cel do spełnienia, że muszę być jeszcze do czegoś na świecie potrzebny, i rzuciłem się na powrót w objęcia nauki. Ach, co to za dziwna czarodziejka! Nie powiem, aby mię pocieszyła — na rozdarte moje serce nie ma już na tym świecie lekarstwa — ale potrafiła mię ogłuszyć, przenieść w inne sfery i tak zająć, że czas, co mi w bezczynności śmiertelnie ciążył, teraz dzięki jej obietnicom nie wiedzieć gdzie mi się podziewa. Oto już kilkanaście lat, jak za nią gonię; kilkanaście lat, a mnie się zdaje, że onegdaj zacząłem. Anim się spostrzegł, jak mi włosy zbieleły, jak siły opadły; codzienne oczekiwanie wielkiego wypadku utrzymuje człowieka w naprężeniu, w jakimś wyzwoleniu od zmysłów, podobnym do stanu duchów nieśmiertelnych.

Mogłoby się zdawać, że posiadłszy wszystkie przyrządy profesora i po jego śmierci mając już prawo je rozbierać, badać, porównywać, powinien byłem prędko dojść do jego tajemnic. I mnie się tak z początku zdawało, ale szereg przeszkód czysto materialnych, jakiś drobnostkowy fatalizm, opóźniał mię na każdym kroku. Jak panie wicie, w laboratorium znalazłem wszystko zburzone. Czy Hallucini upadając przewrócił przedmioty, co go otaczały? Czy Felicja w pierwszym napadzie szału rozsiała wkoło siebie to zniszczenie? Dość, że zastałem istny chaos. Machina, którą Hallucini u mnie zostawił, była wprawdzie cała, ale jak na przekorę wyczerpana, a tutejsza w drobne szczęty rozbita. Z potłuczonych flaszeczek płyny się wylały. Gdybym jeszcze był od razu przystąpił do poszukiwań, kto wie? Kilka kropel ze dna wysączonych, kilka pyłków starannie pozbieranych byłoby może od razu dokonało cudu? Ale między katastrofą a moim powrotem do badań zaszła długa przerwa, całe cztery lata przejeżdżone z Felicją i przeplakane bez celu. Kiedy się odnalazłem w tym pokoju, wszystko w nim leżało niby zupełnie tak samo, a wszystko było już inne; cudowne proszki poginęły w grubych warstwach kurzu, ciecze się zsiadły i porozkładały, nawet czarne te tkanki¹³⁹, co u Halluciniego zawsze były miękkie i jakby tłuste, pozysychały się na istne wióry i nic nie mogło przywrócić im połysku.

Wziąłem się do chemii, do tej samej chemii, co w uniwersytecie tak mi się przykrzyła; teraz pożerałem jej tajniki. Zgłębiłem optykę. Nie ma prawie nauki, której bym na pomoc nie wezwał. Książki, narzędzia, doświadczenia dużo kosztowały... pochłonięły cały dostatek... oprócz działu Felicji, którego ma się rozumieć nie dotknąłem nigdy i nie dotknę, chociażby przyszło umrzeć z głodu, choćby przyszło wyrzec się odkrycia...

— O nie! — zawołałam. — Przeznaczenie nagrodzi tę szlachetność. Doczekasz się pan jeszcze dni lepszych.

— Przez kilka lat oprócz tej pracowni miałem w środku miasta moje własne, piękne mieszkanie, potem je porzuciłem i tu się zupełnie przenieśliśmy, byle zatrzymać ten pokój. Niepodobna przypuścić, aby Hallucini tu gdzieś nie schował swojego sekretu. Musi być czy w ścianach, czy w podłodze jakaś skrytka, a w niej rękopism albo narzędzie, albo flaszka?... Ja znajdę tę skrytkę. A jeżeli nie znajdę, to może i lepiej, sam dojdę do wynalazku. Już tyle zrobiłem! Gdyby tylko jeszcze jakaś ręka szlachetna...

Nie dokończył wyrazami, ale wzrokiem błagalnym.

— Aj! — zawołała pani Marta, dobywając zegarek — trzy kwadranse na piątą! Już ledwo, ledwo zdążymy na obiad. No, do widzenia. Wróć ja tu kiedy.

I nim zdołaliśmy się obejrzeć, już była za drzwiami. Poczekala na mnie dosyć długo, bo ja wynagradzając jej milczenie, musiałam za obie dziękować i obiecywać. Może nawet obietnic tych troszkę za wiele się sypnęło... Ach, to tak trudno, opuszczając nieszczęśliwego, matematycznie mu odmierzając nadzieję!

Wyszedł pod wrażeniem jeszcze nieokreślonym, ale pełnym oszałamiających marzeń.

Schodząc ze schodów, nie śmiałam oczu podnieść ani wszcząć rozmowy, z trwogi, aby pani Marta jednym słówkiem nie rozwiała tego upojenia.

W sieni znowu spotkałyśmy właścicielkę domu.

Nasze odwiedziny trwały tak długo, że przez te kilka godzin miała czas i przyrządzić obiad, i zjeść go, i przebrać się na przechadzkę; a nowy ubiór przemienił ją w inną oso-

¹³⁹tkanka (tu daw.) — tkanina. [przypis edytorski]

bę; ledwieśmy poznały zabiedzoną gosposię w tej prawdziwej warszawiance o wciętym fioletowym kostiumie i czupurnym kapelusiku.

Czekała na kogoś i uderzając o próg parasolikiem, wołała:

— Michał! A chodźże już, Michale!

Wytoczył się na koniec Michał, a raczej pan Michał, pewnie małżonek fioletowej pani. Brzegiem rękawa jeszcze doglądał swój cylinder, bo miał cylinder, i to świeżusienki, i pomimo buzi nieco buraczkowej wyglądał na pana właściciela i na człowieka mniej więcej edukowanego.

Spostrzegłszy nas, uśmiechnął się opiekuńczym uśmiechem gospodarza, co robi honory swego domu.

— Panie odwiedzaliście naszego biedaka? Bardzom wdzięczny. Zdałaby mu się pomoc, oj, zdała!

— Pomoc może się znajdzie — odrzekła pani Marta — ale i pan mógłbyś też choć troszkę odnowić tę szkaradną izbę.

— A! tego nie mogę — odparł pan Michał z majestatycznym oburzeniem. — Tam nic nie godzi się zmieniać ani tykać, to pokój historyczny.

— Z jakiego względu historyczny? — zapytałam, nadstawiając ucha.

— Przed laty kilkudziesięciu w tym domu, na tej facjacie, mieszkał sławny niemiecki autor Hoffmann¹⁴⁰.

— Jak to? Hoffmann, autor powieści fantastycznych? Ten czarodziej? Ten nieporównany Hoffmann?

— Ten, ten, proszę pani.

— I masz pan jaki dowód?

— Jakież mogę mieć dowód? Czyżbyś pani chciała, ażeby kontrakt o komorne przechował się od lat sześćdziesięciu? Pisanego dowodu nie mam, ale tradycja utrzymuje się ciągle.

Dom przez wiele rąk już przechodził, każdy właściciel przekazywał ją następnemu, a żaden nie tknął pokoju przez uszanowanie dla pamiątki.

Pomyślałam sobie: Osobliwszy sposób szanowania pamiątek! W każdym razie najtańszy. No i proszę? Taka znakomitość tu mieszkała, a my autorowie¹⁴¹ nic o tym nie wiemy... Ale bo też jeszcze pytanie, czy to prawda? A dlaczegoż by nie miała być prawda? Hoffmann, ożeniony z Polką, niezmiernie rozmiłowany w Polsce, a nade wszystko w Warszawie, za tak zwanych pruskich czasów spędził tu długie lata. A teraz pytanie, dlaczego pan Cezary nie chciał go wymienić? Aha, filut, zna ludzi... bał się, aby w wyobrażeniu pani Marty, a może nawet i w moim, nazwisko Hoffmanna wszystkiego nie popsulo...

Tak rozmyślając, zgubiłam wątek rozmowy. Kiedy oprzytomniałam, już moja towarzysza była za progiem sieni, a pan Michał kończył w te słowa:

— Tak, moje panie, tak, bieda z tym naszym lokatorem. Podobno i on był kiedyś literatem, nie dziwota, że dzisiaj w nędzy. Mówią nawet, że wiersze pisał; nie dziwota, że ma bzika.

Na te bluźniercze wyrazy obejrzałam się jakby sparzona, przez zaciśnięte zęby rzuciłam panu Michałowi w oczy straszne słowo: „Filister!” I przeszyłam go wzrokiem, któremu byłabym chciała nadać bazylijską potęgę.

Ale widać, że mój wzrok nie posiada podobnych gromów, bo pan Michał nie tylko nie padł spiorunowany, ale się nawet nie zachwiał, a mojej obelgi musiał nie dosłyszeć albo nie zrozumieć, bo ciągle wiewając kapeluszem, pożegnał nas jak najuprzejmiej.

Za furtką ją wybuchnęłam zgrozą, pani Marta śmiechem:

— A, wyborne! wyborne! — powtarzała. — Za twoje myto jeszcze cię obito. Na samym wyjściu ładny cię spotkał komplement za twoje pocziwe zajęcie się tym półgłówkiem...

— Jak to półgłówkiem? Więc i pani już przypuszczasz...?

— Nie, już nie przypuszczam, ale jestem pewna, ani wątpię.

¹⁴⁰ Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus (1776–1822) — niem. pisarz i kompozytor. Autor opowiadań fantastycznych, m.in. *Dziadka do orzechów*. Z zawodu prawnik. Był żonaty z Polką i wiele lat spędził na terenie dzisiejszej Polski, m.in. w Poznaniu, Płocku, Warszawie i Bambergu (Bydgoszczy). [przypis edytorski]

¹⁴¹ autorowie — dziś popr. forma M. Im: autorzy. [przypis edytorski]

— Jednak w całym tym naukowym sekrecie zwierciadeł i w samej historii nie widzę nic przeciwnego rozsądkowi, nic niemożliwego.

— Dobrze, ale bazyliszek?

— No, to prawda... przecież... dla jednego szczegółu trudno wszystko odrzucać. Przez tyle godzin mówił najprzystojniej, nawet bardzo pięknie. Sama pani słuchałaś go z zajęciem...

— Nie przeczę, dałam się złapać pozorom, bo też to nie żaden melancholik ani furiat, ale tak zwany fiksat. Z podobnymi ludźmi można czasem cały dzień mówić i jeszcze się nie spostrzec. Dopiero kiedy trącisz o ich strunę fałszywą, nagle ci wystrzela z konceptem. I ten długo się nie zdradzał, ale jak się też zdradził, to porządnie.

— Jakże jednak pani wytłumaczysz nagłą śmierć Hallucinięgo, nagłe obłąkanie żony?

— Wytłumaczyć niełatwo, przecież znalazłoby się jeszcze sto innych przypuszczeń prawdopodobniejszych. Nagła śmierć nie jest żadną nadzwyczajnością; mogła być apopleksja albo jakiś wybuch aptecznych substancji, którymi ów Cygan tak lubił się bawić.

— A Felicja z czego straciła zmysły?

— Ach, moja droga, przy takim mężu nie dziwno, że zwariowała; dziwię się tylko, że nie wcześniej.

Zwykłym tokiem rozpraw ludzkich, im silniejsze czułam natarcie, tym bardziej zacięłam się w oporze.

— Proszę pani, mówmy spokojnie, naukowo. Są w magnetyzmie, a nade wszystko w potędze wzroku ludzkiego rzeczy jeszcze nie wyjaśnione, siły jeszcze nie zużyte. Na przykład... pogromcy lwów. To fakt niezaprzeczony; a jednakże gdybyśmy skądinąd o nim nie wiedzieli, gdyby nam taki pan Cezary pierwszy raz o nim wspomniał, czyżbyś pani uwierzyła? Czyż to nie jest dziw prawie równy tamtemu, aby człowiek samym spojrzeniem ubezwładniał i niejako w kamień obracał dzikie, ślepo rozżarte zwierzę?

Uszczęśliwiona tym dowodem, który mi w samą porę na myśl przyszedł, chciałam go dalej tryumfalnie rozwijać, ale pani Marta ścisnęła mnie za rękę, mówiąc:

— Moja kochana, jeżeli chcesz bronić bazyliszka, to *adieu!* Wolę uciec, ażeby się na dobre z tobą nie pokłócić.

I rozeszliśmy się niby ze śmiechem, a w rzeczy samej z odrobiną goryczy.

Wróciłam do domu wzburzona i niespokojna.

Co rzeczywiście myślę o bazyliszku, tego wam jeszcze dziś nie powiem... z obawy, aby w łaskawych waszych oczach nie zaszkodzić albo panu Cezaremu, albo samej sobie.

Ale cała reszta opowiadania warta według mnie największej uwagi i współczucia.

Ach, jaka szkoda, myślałam sobie, siadając do obiadu, jaka szkoda, że dla kilku szczegółów rażących niejeden gotów jak pani Marta zwątpić o wszystkim i pana Cezarego nazwać...

Tu nie kończyłam, ale nazwa „półgłówka” dzwoniła mi w pamięci jak czapka trefnisia i nie pozwalała myślom swobodnie się rozwijać.

Na szczęście tegoż wieczora wpadła mi w ręce pocziwa książka Washingtona Irvinga: *Żywot Krzysztofa Kolumba*. Przerzucając ją, trafiłam na ustęp:

„Kolumb zabawił w Kordowie przez lato i jesień 1486 roku... Bliskim wtedy był zupełnej nędzy i z trudnością zarabiał na życie rysowaniem kart geograficznych. Miał nadto do walczenia z szyderstwem, wzdargą i dumą, tymi nieprzyjaciółmi, co zawsze stawają na przekór skromnej a nie przyznanej zasłudze. Jedni śmieli się z jego planów jako z marzeń dziwacznej głowy, inni gardzili nim jako awanturnikiem; mówią nawet, że dzieci naigrawały się z niego jak z wariata; kiedy przechodził, sięgały ręką do czoła, niby okazując siedlisko mniemanej jego choroby.”

Przeczytawszy, klasnęłam w ręce:

— Otóż to! Zawsze ta sama historia. A gdyby też Kolumb nie był dojrzał owego światelka, co go w ostatnim dniu ostrzegło o łądzie, gdyby się był wrócił o jeden dzień wcześniej, wszyscy byśmy to samo powiedzieli, co ulicznicy Kordowy? O, powodzenie! powodzenie! Straszne bożyszcze! W oczach ludzkich ten tylko ma słuszość, komu się udało.

Takie były pierwsze nasze odwiedziny u pana Cezarego. Pierwsze, ale nie ostatnie.

Pani Marta, wprawdzie oburzona duchami i bazyliszkiem, o wynalazku już ani słuchać nie chciała, wynalazcy jednak nie opuściła zupełnie. Uważając go za biedaka upo-

śledzonego na umyśle, zaopatrywała go w lekarstwa, w ubrania, zdrowe pokarmy, raz nawet sprowadziła doktora. Ten ostatni pomysł nie wypadł szczęśliwie; lekarz trafił na jedną z najgorszych godzin u chorego: wysłuchawszy i wybadawszy, ruszył ramionami, oświadczył na boku pani Marcie, że nauka nie ma tu już nic a nic do roboty, że to „organizm fenomenalnie rozstrojony i wyniszczony, który lada chwila zgaśnie”, co powiedziawszy, oddalił się ze złym humorem, dając do zrozumienia, aby drugi raz go próżno nie fatygowano.

Tymczasem chory, jak się to zdarza bardzo często na przekorę najmędrszym przewidywaniom ludzkim, żyje i żyje, nie dni ani tygodnie, ale rok cały już przeżył od owego czasu i ma nawet chwile, gdy zdaje się bliskim ozdrowienia.

Już to trzeba przyznać, że te chwile zawdzięcza nie pani Marcie, ale innym moim znajomym. Bo i ja też nie zaspalam sprawy; w kółku mi najbliższym póty rozprawiałam cuda o wielkim odkryciu, póty się rozczulałam nad niedolą opuszczonych geniuszów, aż znaleźli się pocziwi ludzie, co zebrali składkę, i to nawet kilkakrotnie.

W tym dopiero kształcie dana pomoc naprawdę uradowała pana Cezarego. Pani Marta i jej wspólnicy przynosili mu wszystko prócz pieniędzy. „Nie trzeba, mawiali, podsycać w nim czczych marzydeł i dawać mu broni w rękę.” Toteż ich dary przyjmował obojętnie, można by prawie powiedzieć, niewdzięcznie. Starania łożone około jego osoby obruszały go i niecierpliwiły, jakby odkradzione wyższym celom.

Dopiero kiedy za gotówkę mógł naskupować narzędzi i książek, a z nimi wrócić do swoich kochanych doświadczeń, zaczął w naszych oczach istnie zmartwychwstawać. Zrobił się czynny, żwawy, przestał wspominać o bazyliiskach i wszelkich cudactwach, czasem rozmarszczył się aż do żarciku, mówił rozumnie, naukowo, tak ściśle naukowo, że moje pióro nie potrafi nawet powtórzyć jego technicznych wyrażen. Ile razy sądził się już bliskim odkrycia (a taki dzień wracał kilkakrotnie), wtedy nagle głos jego nabierał brzmień spiżowych, spod wyblakłej cery występowały rumieńce i światła, aż rozkosz brała patrzeć na to magiczne odkwitanie pod różdżką nadziei. Moi przyjaciele przyznawali z rozrzewnieniem, że chwila podobnego widoku już im wynagradza ich ofiary.

Jedną z największych przyjemności, jakie można mu sprawić, jest wypożyczanie mu pism periodycznych i przelotnych utworów literatury bieżącej. Bardzo mu się podobały dzieła Flammariona¹⁴², zwłaszcza *Recits de l'infini*, gdzie odnalazł, chociaż pod innym kształtem, wiele pojęć dawno i dobrze sobie znanych. Ale już czego najchciwszy, to wszelkich przeglądów naukowych, opisujących nowe zdobycze w państwie przyrodzenia¹⁴³. Wynalazki, w które nasza epoka tak jest obfita, namiętnie go zajmują; we wszystkich umie dopatrzeć jakiś dowód na poparcie swoich poszukiwań, bo istotnie, wszystkie nauki za ręce się trzymają. Fonograf go zachwycał. „Patrzcie państwo, mówił, jeżeli można dźwięki utrwać i dowolnie wskrzeszać, czemuż by nie można tego samego czynić z obrazami? Dźwięk daleko niepochwytniejszy od kształtu. Zobaczycie, że niezadługo przyjaciele rozłączeni albo umierający będą zostawiali drogim sobie osobom nie tylko fonograf z żyjącą rozmową, ale i zwierciadełko z żyjącym, poruszającym się odbiciem swojej postaci i swoich czynności. A kiedyś... może jeszcze większa pociecha zaświta nad grobami... Może nauka zdoła rzucić choćby najlżejszy mostek na tę okropną przepaść, co dotąd rozdziela żywych od nieboszczyków. Jeżeli oto, kilka miesięcy temu, uczeni potrafili najlotniejsze gazy doprowadzić do stanu ciekłego a nawet stałego, kto wie, czy kiedyś nie zdołamy skrzystalizować i doprowadzić niejako do skrzepnienia tych postaci, które dotąd nazywano larwami, widmami, duchami, a które są po prostu istotami złożonymi z pierwiastków jeszcze lżejszych niż gazy? Nie próżno o takich postaciach mówi się, że są »eteryczne«”.

Wprawdzie w liczniejszym kole pan Cezary rzadko odzywa się z podobnymi wróżbami; dobrze on czuje, że taki styl odstręcza mu zwolenników. Przede mną jedną wywnętrza się bez ogródek i nie wiem, czy z tego zaufania mam się chlubić, czy mam go się wstydzić? Pani Marta powiedziała by, że to jeden dowód więcej duchowego pokrewieństwa między Parnasem a domem Bonifratrów.

Nie ma jednak światła bez cienia. Jeżeli nawet nowych wynalazków zachęca pana Cezarego, z drugiej strony nabawia go śmiertelnych niepokojów.

Szaleniec, Artysta

¹⁴² *Flammarion, Camille* (1842–1925) — fr. astronom, badacz m.in. atmosfery. [przypis edytorski]

¹⁴³ *przyrodzenie* — tu: natura. [przypis edytorski]

„Trzeba się śpieszyć, mówi on ze drżeniem, w naszym czasie, gdy wszystko pędzi, łatwo być wyprzedzonym. Okropnie się boję, aby kto nie wpadł na ten sam co i ja pomysł, i z lepszymi środkami nie odkrył go wcześniej... Bo to odkrycie jest w powietrzu, czuję wyraźnie, jak między nami krąży i samo się prosi o głośne wyjawienie. Ale cóż? Pewno przychodzi nie tylko do mnie jednego... Już może w Paryżu albo w Ameryce jaki uczony...”

Tu pan Cezary najczęściej nie kończy i gorączkowo bierze się do roboty. Nie dziwi mię wcale ta gorączka; jednoczesność odkryć w naukach przyrodzonych jest zjawiskiem bardzo częstym i bardzo zastanawiającym. Nie dalej szukając, owo skroplenie i ustalenie powietrza, którym się unieśmiertelniał rok 1877, zostało naraz odkryte aż przez dwóch uczonych, przez Cailleteta w Paryżu i Picteta w Genewie. Każdy z nich szedł odmienną drogą, a jednak obaj doszli do tych samych skutków. Światu nic nie szkodzi takie „bisowanie” prawdy, ale dla odkrywców nie musi być miłym przymusowe dzielenie się jej aureolą i chociaż gazety pocieszają ich zapewnieniem, że chwała tego odkrycia jest dość wielką, aby na dwóch starczyła, przecież każdy z nich może mieć żal do przeznaczenia i gorzko powiedzieć: Nie trzebaż prawdziwej feralności, ażeby przez tyle wieków nikomu się nie udało ustalić tlenu ani wodoru, dopiero w tym właśnie roku i miesiącu, kiedy ja wpadłem na mój pyszny pomysł?

Doprawdy, widząc tę psotę losów ciągle powracającą, przychodzi do głowy przypuszczenie, czy idee nie są także rodzajem jakichś mikroskopijnych grzybków, miazmatami umysłowymi, które w danych epokach krążą epidemicznie jak tyfus lub cholera i czepiają się mózgów skłonniejszych do tej genialnej zarazy? Albo też trzeba przypuścić z panem Cezarym, że to są istoty eteryczne, które w pewnych miejscach lub czasach tłumnie się zjawiają i wielu na raz ludziom podszeptują też samą tajemnicę?

W każdym razie bojąc się, aby kto z cudzoziemców nie ubiegł naszego rodaka w tak pięknym odkryciu, służyliśmy bardzo gorliwie, zwłaszcza z początku, wszelkim jego zachciankom. Legenda o Hoffmannie także nam przysłała w pomoc. Niejeden, co by się nie ruszył dla chorego biedaka, poszedł, aby obejrzyć pamiątkowe ustronie, a raz już tam zaszedłszy, zajął się i dzisiejszym jego mieszkańcem. Okoliczność ta nawet może przynieść naszemu piśmiennictwu bezpośrednią korzyść. Jeden z moich znajomych, młody literat wielce bystry i pracowity, a przy tym gorący miłośnik wszelkiej fantastyczności, pod wrażeniem tych odwiedzin rozkochał się na dobre w mistrzowskim autorze *Majoratu* i pisze bardzo ciekawe *Studium nad pobytem Hoffmanna w Polsce*. Praca ta niezadługo pojawi się w druku; nie wątpię, że mocne obudzi zajęcie, bo kreślona jest z błyskającym humorem i oparta na szczegółowych, z niemiecką sumiennością dokonanych badaniach.

Długo nie mogło mi się w głowie pomieścić, jakim sposobem Hoffmann, który w Warszawie prowadził życie sute i wystawne, mógł zamieszkiwać tak niziuchny domek? Wprawdzie za jego czasów okolice Leszna były najruchliwszą i najmodniejszą częścią miasta, i domek przed laty kilkudziesięciu stał w całym blasku świeżości, zawsze jednak wydawał mi się za skromny dla człowieka, co wyprawiał wielkie festyny muzykalne i żył ze śmietanką towarzystwa. Autor przyszłego *Studium* udzielił mi objaśnień, które godzą wszelkie trudności. Po bitwie pod Jeną¹⁴⁴, kiedy wieść piorunująca rzuciła popłoch między spokojnie roztasowanych przybyszów, kiedy zaczęli zbierać manatki i zmykać —

... każdy drży, blednieje,
Jako owad prusaczy, gdy wrzątkiem kto zleje...

— wtedy i Hoffmann przekonał się gorzko, jak jest niebezpiecznie gospodarzyć na cudzych śmieciach. Pewnego poranku znalazł się bez urzędu, bez pensji, bez festynów, jednym słowem na bruku. Jednak nie miał serca porzucić od razu swojej najmiłszej Warszawki, żonę i siostrzenicę wysłał do Berlina, a sam opuściwszy swój świetny apartament, przeniósł się na facjatkę jakiegoś cichego dworku. Otóż teraz już wiadomo, co to był za dworek.

¹⁴⁴bitwa pod Jeną — zwycięstwo wojsk fr. pod wodzą Napoleona Bonaparte nad armią pruską, odniesione 14 października 1806; jego skutkiem było zajęcie całego terytorium Królestwa Pruskiego przez Francuzów. [przypis edytorski]

Nie dość na tym: są dowody, że pamięć o znakomitym gościu przechowała się do dziś dnia u nas między miejscowym pospółstwem, wprawdzie przekształcona, scudaczona, jak wszystko, co przeszło przez usta gminu, jednak jeszcze łatwa do poznania. Na te dowody sama przypadkiem trafiłam.

Pewnego razu, idąc odwiedzić pana Cezarego, spotykam przy furtce stróża Grzegorza, który stanowi całą służbę dworku.

— Dzień dobry, Grzegorzu. Jakże się miewa nasz chory?

— A jakże ma się miewać? Źle i źle. Już on nie wydobyje, póki go moi państwo będą trzymali w tej tam izbie na górze.

— Ależ mój przyjacielu, przecież to owszem wielkie dobrodziejstwo ze strony twoich państwa?

— Piękne mi dobrodziejstwo dać komu pokój, gdzie nikt nie chce mieszkać!

— Jak to nie chce mieszkać? Dlaczego?

— Niby pani nie wie!

— Doprawdy, że nie wiem. Dlaczego nikt nie chce mieszkać?

— Ano... bo tam straszy.

— Doprawdy? Pierwszy raz o tym słyszę. I cóż to tam straszy?

— Ja tak słyszałem: Dawno już temu, że sto lat może, mieszkał na tej facjatce Niemiec jakiś, co umiał wielgie, bardzo wielgie sztuki, i od tego czasu niemiecki diabeł tam siedzi, tak że kto tylko dłużej w tym pokoju pomieszka, dostaje źle w głowie.

— Aha! Więc już niejeden mieszkał?

— A jakże! Był przecie ten wysoki, zły, podobny do kataryniarza wariat. Po nim przyszedł ten chudziuchny, dobry, ale także...

— No, jednak pan Cezary mieszka i nie boi się?

— A od czegoż byłby wariatem? Człowiek zwariowany już nie boi się duchów, żyje z nimi za pan brat, ale za to inni się jego boją.

— A wy, mój Grzegorzu, widzieliście kiedy stracha?

— To łaska niebieska, że ja jeszcze żyw... Przeszłego roku, coś tak około Świętego Michała... dobrze mówię, zaraz po imieninach naszego pana, z tym chorym było strasznie źle, zdawało się, że do rana nie dociągnie, pani mi kazała w nocy go pilnować. Siadłem, ale jak mię strach opanuje, tak i północa nie mogłem doczekać, i ledwo z duszą uciekłem.

— I czyście co widzieli?

— Proszę pani, o takich rzeczach niedobrze gadać. Po co wywoływać wilka z lasu? To pewna, że gdyby się inna porządna służba trafiła, poszedłbym stąd dzisiaj, chociaż państwo nieźli.

To rzekłszy, jął się miotły i nie chciał więcej gadać. Ale i to, co powiedział, naprowadziło mię na szereg zadziwiających pytań. Czemu Grzegorz, który nigdy Hoffmanna nie czytał, ani nawet jego nazwiska nie zna, doświadcza jednak w tym pokoju fantastycznych nagabań? Musi mieć słuszność pan Cezary: gdziekolwiek mieszkamy, tam zostawiamy twory naszej myśli i wyobraźni, które nawet po naszym wyprowadzeniu się, długo zawieszone w powietrzu, krążą na tymże samym miejscu i pod kształtem *wrażeń* otaczają każdego, co tam wchodzi.

Z tej to może przyczyny mieszkania znakomitych ludzi budzą tak powszechną i nienasyconą ciekawość. Nieraz nic tam nie ma prawdziwie ciekawego; kilka zniszczonych sprzętów, czasem tylko obnażone ściany. A jednak turyści napływają tam przez całe wieki; przecież nie dla samego obejrzenia i dotknięcia się martwych przedmiotów? Idą dla odczucia owych *wrażeń*, w których dawny mieszkaniiec zostawił część swojej duszy. Przez chwilę patrzą jego oczami, myślą jego myślami, żyją jego życiem. Toteż podróżnik mimowolnie złoży usta do uśmiechu i zobaczy świat w czarnej sylwetce, gdy mu *cicerone*¹⁴⁵ wskaże: Oto pokój Voltaire'a. A lza w oku zabłyśnie i uczuje powiew przelatujących aniołów, gdy mu przewodnik powie: Oto komnata królowej Jadwigi.

I na facjatce przy ulicy Mylnej niezaprzeczenie do dziś dnia panuje w atmosferze coś dziwnego, jakiś niepokój taki odurzający, jakby tam jeszcze były obecnymi wszystkie te istoty groźne, urocze, śmieszne i żalosne, które nieśmiertelny fantastyk zaklął w swoich powiastkach. Wprawdzie mieszkał on tu niedługo, ledwo kilka miesięcy, ale to były

Wierzenia

¹⁴⁵*cicerone* (wł.) — przewodnik. [przypis edytorski]

miesiące samotności i biedy, a wiadomo, że właśnie w takich epokach, pod naciskiem potrzeby, najwięcej tworzył i pisał. Choćby nawet i niewiele napisał, w każdym razie tu pewnie osnuł plan do niejednej opowieści, tu musiała się urodzić niejedna z tych postaci, którym umiał nadać taką odrębność, taką rodową cechę, że dzisiaj dość jest powiedzieć: „Hoffmannowskie typy”, aby każdy zrozumiał, o jakich postaciach mowa.

Tak, i mnie już w tym pokoju nagabują najosobliwsze wizje. Nieraz pan Cezary przez godzinę mówi, ja niby słucham uważnie, a w rzeczy samej ani wiem, o co chodzi, bo nadstawiam ucha na dźwięki zakłęte w tych ścianach, które dla *wysłuchanych* wygrywają całą olbrzymią symfonię. Stąd słyszę konające, a nigdy nie mogące skonać drgania owych skrzypiec kremieńskich, których dusza błąka się w piersiach suchotniczych dziewic, zowąd mię dochodzi lekkie a przerażające pukanie lunatyka Daniela, co jęcząc wiecznie wraca do drzwi zamurowanych. A tam, po mrocznych kątach, przesuwały się rozdziwaczone figury, nieszczęsna hrabianka polska w swojej kamiennej masce, Spallanzani w okularach buchających płomieniem, radca Krespel wiejący u kapelusza długą czarną krepą i pełno innych starców nasrożonych, panien wąskich jak lilie, młodzieńców ze strzałami w sercu, wszystko to rozszlochane, rozkochane i rozgrymaszone wiesza się po ścianach, wygląda spoza pieca, otacza mię szalonym kręgiem, który nie wiem jak nazwać, karnawalem duchów czy tańcem śmierci? Dreszcze mię przechodzą, a pan Cezary wciąż mówi spokojniutko. Czy ich nie widzi? Czy już do nich przywykł? Ja, przyznam się, nie mogę przywyknąć; często kończę jak Grzegorz, zrywam się i z duszą uchodzę.

A kiedy wrócę do domu, kiedy siadę w mojej bibliotecznej pracowni, tu mię znowu nachodzi myśl, czy i ten pokój nie jest pełen zaklętych istot? Powoli wkoło mego biurka zaczynają krążyć wszystkie te postaci, które ja sama we własnych książkach wymyśliłam. Już co tych, to się nie boję, bo twórca między swymi twórami jest jak patriarcha pomiędzy rodziną. Ale czasem napada mię inny postrach: a jeżeli też te postaci rzeczywiście żyją i mają poczucie swojej osobistości, któż wie, czy są mi wdzięczne za nadanie im bytu? Czy na jakimś ostatecznym sądzie duchów nie przyjdą czynić mi gorzkich wyrzutów, czemu im nadałam taki a nie inny charakter lub kazałam im żyć w takich a nie innych warunkach? Któż wie, czy i po śmierci, kiedy sama stanę się duchem, przez całą wieczność nie będę musiała ciągnąć za sobą tego świata mego utworu? I patrzeć na wszystko, co się będzie z niego wyradzało, a nie móc już nic odmienić? Bo człowiek może ideę stworzyć, ale nie może jej zniszczyć; raz przez niego stworzona idzie w świat, ani się pyta, działa, żyje, broi, lecz lub otruwa, buduje lub zwała, wszystko w imieniu swego twórcy, a wszystko bez końca, im większa, tym nieśmiertelniejsza. Fatalna odpowiedzialność! Doprawdy są godziny, w których przychodzi ochota złamać pióro i wyrzec się boskich zaszczytów twórczości.

A wszystkich tych postrachów napędził mi ów list bibulasty, z kolędową pieczęcią, którego obym nigdy nie była odebrała!

Ach... bo i sławny wynalazek jakoś dotąd bardzo tępo idzie. Pan Cezary, wiecznie coś prażący w tygielkach, wiecznie kujący jakieś blaszki, coraz więcej niestety! przypomina mi dawnych alchemików... U niego, podobnie jak i u tamtych, każda próba ma być „już ostatnią”, przed każdą zapowiada swój tryumf ze wszystkimi trąbami i kotłami wymowy, przyjaciele radują się z obiecanki, winszują sobie, że doczekali owoców swego siewu (i końca swoich wydatków), aż tu pokazuje się, że owa próba ostatnia była dopiero „przedostatnią...” A dlaczego? Wytłumaczenie zawsze się znajdzie bardzo proste: zapomniano jakiegoś szczegółu, pominięto jakąś ostrożność; na przykład: owa masa chemiczna była zanedo na światło wystawiona albo najpotrzebniejsza blaszka leżała w wilgoci; rzecz jasna jak słońce, że doświadczenie przy takich warunkach nie mogło się udać, ale to łatwo naprawić, trzeba tylko wszystko raz jeszcze rozpocząć, materiały kupić w lepszym gatunku, co by nie tak łatwo ulegały zepsuciu, soczewki mieć mocniejsze, jeżeli jeszcze można będzie wynaleźć tę a tę książkę, tego białego kruka, gdzie podobne manipulacje są opisane w alegorii bardzo wyraźnej — wtedy niezawodnie, no... już najniezawodniej wszystko się powiedzie!

Jednak po każdym takim rozczarowaniu gronko wiernych zmniejsza się i stygnie. Ci, co z początku byli najgorliwsi, teraz ruszają ramionami pytając: „Na miłość Boską, pókiż tego będzie?”

Ach, trudno im się dziwić. Istotnie ta sprawa to beczka Danaid. I gdyby przynajmniej dawcy wiedzieli, że swoją hojnością zabezpieczą przyszłość obdarowanego. Że choć na kilka miesięcy potrafią wyrwać go z nędzy? Ale gdzie tam! Najużyteczniejsze upominki znikają gdzieś bez wieści, najrozsądniejsza pomoc rozbija się o jakieś głuche, podstępne przeciwdziałanie. Tak, ten szlachetny pan Cezary, co by dla samego siebie i na żart nie skłamał, dla swojego odkrycia posuwa się do wybiegów, nieledwie do oszukaństwa...

Już kilkakrotnie zastawiono mu pokój schludnymi sprzączkami, odziano go od stóp do głowy — zdawał się uszczęśliwiony. W kilka tygodni później przychodzimy... oczom trudno uwierzyć! Izba znów obszarpana, ani śladu żadnego sprzętu, on znowu obdarty, w swoim wiecznym tabaczkowym tużurku. Co się stało? Czy zbójcy tędy przeszli? Pan Cezary spuszcza oczy, mieni się, szuka wykrętów, ale przy wrodzonej zacności te wykręty nie chcą mu się kleić. Po niejakiem badaniu odkrywamy, że samego siebie okradł... sprzedał komodę, aby kupić nowy przyrząd optyczny, sprzedał ciepły paltot dla nabycia starego manuskryptu. A wszystko to, ma się rozumieć, tandenciarze rozebrali za bezcen.

Właściciele dworku, ostrzeżeni, zaczęli podobnych gości nie dopuszczać. Cóż wtedy czyni pan Cezary? Z przebiegłością filuternego dziecka pod ubraniem wynosi pomniejsze przedmioty, kilka razy nawet potrafił tak zręcznie omylić wszelką czujność, że mebelki jeden po drugim w porze wieczornej powynosił, i on, ten cień, o którym sądziliśmy, że od muśnięcia wiatru się przewróci, na własnych plecach dźwigał je do innej części miasta, gdzie za marny pieniądź przepadały. Prawda, że wracając mógł w zamian zakupić garstkę jakiej soli albo próbkę nowego metalu, których przymieszka miała oczekiwany cud wywołać.

Po każdym takim herkulesowym dziele mówimy sobie: A toć on jeszcze dziesięć lat pożyje!

Ale za to po każdej nieudanej próbie nagle z sił opada, nędznieje, wraca do woskowej przejrzystości, dzień i noc siedzi nieruchomy, na wszelkie pytania odpowiada tylko błędnym wzrokiem i w oczach niknie, jakby miał jutra nie doczekać.

Aż znów oto się rozśmiał... Słuchajcie: wpadł na pomysł jakiejś kombinacji, której dotąd nigdy nie użyto, zrywa się i rzuca do pracy z większym niż kiedykolwiek zapałem.

Dla mnie ta wytrwałość jest najwspanialszym dowodem przeczucia, co mu zapowiada zwycięstwo, jednym z owych szanownych, głuchych przykładów bohaterstwa natchnionego przez miłość nauki, dla której człowiek wyższy gotów zaprzeć się wszystkiego i znieść wszystko, nawet piętno śmieszności. Toteż nic nie może we mnie zachwiać przekonania, że pan Cezary ostatecznie odkryje zwierciadlaną zagadkę, choćby w przeddzień śmierci — odkryje.

Cóż, kiedy nie wszyscy dzielą moją wiarę i wyrozumiałość. Kilka razy już słyszałam jak szepnięto groźny wyraz: „mania...” Lękam się nawet, aby kiedyś i dachu nie zabrakło biednemu samotnikowi... Szukając zawsze sekretów Hallucinięgo, nadwerżył on nietykalność pokoju; dla odnalezienia tajemniczej kryjówki w wielu miejscach powyklwał ściany, a choć otwory starannie zasłania zwierciadłami, już jednakże gospodarz dostrzegł ślady wandalizmu i drży o swoje drżące domostwo. Pewnej nocy, zaniepokojony niezwykłym trzeszczeniem w suficie, wybrał się ze stoczkiem na facjatkę i zastał swego lokatora wyjmującego ostrożnie kilka desek z podłogi. W pierwszej chwili gniewu chciał szkodnika na cztery wiatry wygnać; wprawdzie nim ranek nadszedł, przemogło dobre serce lub może jaki inny powód, bo zdaje mi się, że pan Michał jest wtajemniczony w wielkie dzieło i tylko dla niepoznaki udaje niedowiarka, a w duszy cieszy się nową sławą swego domu. Któż wie jednak, czy i jego w końcu nie zniechęci zbyt długi szereg niepowodzeń?

Wszystko więc odstępuje ginącego rozbitka...

Pani Marta od całych miesięcy wyjechała. Jej znajomi dawno go porzucili. Moim przyjaciółom także ręce opadły, już nie śmiem ich wyzyskiwać, sama też nie mogę podolać wszystkiemu.

A jednak szkoda byłaby opuścić przedsięwzięcie, które już tyle ofiar kosztowało, opuścić je może w chwili ostatecznego przesilenia.

Rozmyślając nad nowymi środkami ratunku wpadłam na pomysł, aby drukiem ogłosić zamiary i dzieje pana Cezarego. Tę myśl on mi sam podsunął, kiedy zaraz przy pierwszych odwiedzinach mówił: „Pewien jestem, że gdyby moja historia pokazała się w książce, powieściowym stylem opisana, niejeden by się do niej zapalił.”

Nie śmiałam jednak wykonać tej myśli, nie uzyskawszy jego zezwolenia. Z początku złąkł się niezmiernie.

„Jak to? zawołał, wyjawiać naumyślnie to, co ja dotąd kryłem tak starannie? A jeśli też kto skorzysta ze wskazówki i uprzedzi mię w wynalazku?”

Jednak po kilku dniach walki i namysłu, widząc, że już nie ma innej drogi, przystał na mój wniosek, upraszając tylko i kładąc za warunek, abym rzecz opisała ciemno, jak najciemniej. Zdaje mi się, że wiernie spełniłam to żądanie.

A teraz, kto pragnie dowiedzieć się więcej, ten ma wrota otwarte. Może jaki chemik lub fotograf będzie ciekawy nowej próby i raczy ją poprzeć światłą radą? Może który z panów psychiatrów zechce zbadać bliżej tę zagadkową osobistość? Może kto z podróży, przerzucając w wagonie moje kartki, sprawdzi pod Wenecją, czy żyje i jak się miewa nieszczęsna Felicja?

A może też nowe grono ofiarodawców będzie szczęśliwszym niż dawniejsze i doczeka się dnia tryumfu?

Nie przesądzając przyszłości, posyłam ten list otwarty do wszystkich ludzi dobrej woli. Wiem, że w mieście naszym nigdy ich nie zabraknie.

Adres macie dokładny. Może nie traficie od razu, może i wam złe siły będą przeszkadzały w spełnieniu dobrego uczynku, ale nie dajcie się zrazić, wróćcie raz drugi i dziesiąty, szukajcie, jak ja szukałam, a znajdziecie, jak ja znalazłam. Zupełnie tak samo, za to ręczę.

Gdybyście zaś wcale nie znaleźli, no! wtedy będziecie mieli prawo powiedzieć, co wam się żywnie podoba, nawet że całe to opowiadanie jest tylko szaloną fantazją, wśród Hofmannowskich duchów podsłuchaną.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zwierciadlana-zagadka>

Tekst opracowany na podstawie: Deotyma, *Zwierciadlana zagadka*, Wydawnictwa Alfa, Warszawa 1990

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dorota Kowalska, Paulina. Choromańska.

ISBN 978-83-288-0180-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).